

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126



57 2013



Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 57 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2013

Spis treści	Od redakcji
<ul style="list-style-type: none">• Ewa Ziółkowska <i>Zesłańcza wigilia Tomasza Zana</i>	<p>W mijającym roku obchodziliśmy 150. rocznicę powstania styczniowego. W jego historię wpisywały się artykuły publikowane w „Zesłańcu” dotyczące walki z rosyjskim zaborcą oraz recepcji powstania w narodowej pamięci wypełnionej nazwiskami jego przywódców i żołnierzy. Żyją oni w różnych jej formach – publikacje, konferencje naukowe, tablice memoratywne, cmentarze, wystawy, by przytoczyć tylko najistotniejsze z nich. Wpisuje się też w nie interesujący artykuł Jolanty Załączny przedstawiający syberyjskie losy powstańców styczniowych w świetle ich pamiętników. Dodajmy również niezmiernie ważny fakt, że założeniem ideowym tegorocznego XIII Międzynarodowego Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru (Białystok, 5-6. IX.) było także uczczenie 150. rocznicy powstania styczniowego oraz podkreślenie tego, jak szerokie były jego horyzonty w naszej historii i na patriotycznych szlakach wiodących do odrodzenia narodowego po latach zaborów.</p>
<ul style="list-style-type: none">• Jolanta Załączny <i>Syberyjskie losy powstańców styczniowych w świetle ich pamiętników</i>	<p>Podobnie jak w poprzednich 56 numerach kwartalnika, także w tym przewija się wiele wątków zesłańczych. Jednemu z nich poświęcony jest artykuł Olgi Zdybek o rodzicielstwie i macierzyństwie na zesłaniu, którego ważną konstatacją stanowi podkreślenie roli matki, o czym pisaliśmy kiedyś w monograficznym numerze „Zesłańca” (13:2003), stwierdzając, że „Macierzyństwo to sacrum! Dlatego postać matki, szczególnie w warunkach, jakie stwarzało zesłanie w głąb stalinowskiego imperium, nabiera pomnikowego znaczenia”. Raz jeszcze potwierdza to wspomniany artykuł absolwentki (2013) Wydziału Zamiejscowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II w Tomaszowie Lubel-</p>
<ul style="list-style-type: none">• Sylvia Trzeciakowska <i>Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku</i>	
<ul style="list-style-type: none">• Tomasz Augustynowicz <i>Okręg Kołymski</i>	
<ul style="list-style-type: none">• Olga Zdybek <i>Macierzyństwo i rodzicielstwo na syberyjskim zesłaniu</i>	
RELACJE Z ZESŁANIA	
<ul style="list-style-type: none">• Klara Rogalska <i>Z „niełudzkiej ziemi” do Polski</i>	
<ul style="list-style-type: none">• Zygmunt Fabiński <i>Nareszcie przyszedł ten dzień</i>	
<ul style="list-style-type: none">• Jadwiga Chorąży-Kwapiszewska <i>Wspomnienia wojenne córki leśnika...</i>	
<ul style="list-style-type: none">• Danuta Żukowska, Bogusław Żukowski <i>Zesłańcze wspomnienia z Gramatuchy...</i>	
KRONIKA	
<ul style="list-style-type: none">• Dagmara Dworak <i>Niezwykłe spotkanie...</i>	
<ul style="list-style-type: none">• Jadwiga Chorąży-Kwapiszewska <i>Spotkanie w Puszczy Białowieskiej...</i>	
<ul style="list-style-type: none">• Jolanta Hryniewicka, Walenty Jabłoński, <i>XIII Międzynarodowy Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru...</i>	

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Halina Wiśniewska, *Ścięte korzenie*,
Lublin 2013
(Małgorzata Dziura) **101**
- Jan Szubert, *Pamiętnik
częstochowanina...*, Częstochowa 2012
(Anna Zapalec) **102**
- Mieczysław Karaszewski,
Mam marzenia, Gdynia 2013
(Małgorzata Dziura) **105**
- *Сводный научный каталог
предметов материальной и духовной...*,
Suszenskoje 2013
(Anna Milewska-Młynik) **107**
- *Wspomnienia Sybiraków.
Zbiór tekstów źródłowych...*,
Bystrzyca Kłodzka 2013
(Małgorzata Ruchniewicz) **110**

Na okładce: Fresk przedstawiający adorację Dzieciątka – kaplica „Gloria in excelsis” na Polu Pasterzy w Bait Sahar, koło Betlejem. Fot. Maria Bożena Kuczyńska (s. 1); Druga strona zaproszenia na XIII Międzynarodowy Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru (s. 4).

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny
Związku Sybiraków,
ul. Mazowiecka 12
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,
A. Dzieńkiewicz, W. Krawczyński,
A. Kuczyński (red. nacz.), S. Sikorski,
P. Zworski
Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”
by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

skim, dopełniający fragment tej niezwykle smutnej, ważnej i złożonej mozaiki, jaką była zesłańcza rzeczywistość matek i dzieci. Artykuł dopełnia wiedzy o ofiarności i męstwie Matek Sybiraczek, przede wszystkim zaś ich oddaniu najwyższym humanitarnym wartościom. To właśnie One silne wiarą w przetrwanie i Bożą opiekę łagodziły dzieciom okrucieństwo utraty domu rodzinnego, tułaczego losu, chorób, głodu i zimna. Tego nie da się zapomnieć – zapomnieć nie można!

Podobne realia sybirackie powiększają skądinąd wielkie pożytki płynące z tekstów wypełniających stały dział naszego kwartalnika noszący nazwę „Relacje z zesłania”. Dziś, gdy publicystyka krajowa zauważalnie stroni od polskiej przeszłości zesłańczej za Uralem, wspomniane teksty nabierają ważnego znaczenia poznawczego. Do takich interesujących spraw należą, jakże mało znane, zesłańcze losy leśników i ich rodzin z Puszczy Białowieskiej, których obraz znalazł miejsce w tym zeszycie naszego kwartalnika.

Zespół redakcyjny „Zesłańca” oddany idei uchronienia od niepamięci zesłańczej faktografii przejawia stałą troskę o przejrzysty obraz poniewolnego bytowania na Syberii, zatem kolejny raz zwracamy się z prośbą o przysyłanie wspomnień z sowieckiego „domu niewoli”, o co prosi również powstające w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru, stanowiące odpowiednie ku temu miejsce, symbol „siły duchowej narodu polskiego”!

Publikacje ukazujące się w „Zesłańcu” świadczą o pamięci dotyczącej związków polsko-syberyjskich i skutecznie poszerzają panoramę tych dziejów. Jest to możliwe dzięki Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, która od lat wspiera nas finansowo w tym działaniu, za co serdecznie dziękujemy!

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

EWA ZIÓŁKOWSKA

ZESŁAŃCZA WIGILIA TOMASZA ZANA

Z dawien dawna święta Bożego Narodzenia w Polsce to czas dzielony z najbliższymi. Oddalenie od domu, od rodziny w te grudniowe dni przeżywane jest szczególnie boleśnie. Jakże często udziałem Polaków były święta na wygnaniu, w więzieniach, na zsyłkach, spędzane samotnie wśród wrogiego otoczenia. Trudno wyobrazić sobie dramat młodego, wrażliwego chłopaka, studenta, siedzącego w twierdzy gdzieś pod Uralem, w więziennej celi z pospolitymi przestępcami, w brudzie i hałasie. Taki los spotkał Tomasza Zana, przywódcę młodzieży wileńskiej, jednego z najbliższych przyjaciół Adama Mickiewicza, poetę, skazanego w procesie filaretów. W pierwszym, najtrudniejszym okresie zesłania, poddany cierpieniom fizycznym i moralnym, ratunku szukał w modlitwie i pisaniu dziennika. Z jego zapisków wiadomo, jak przeżywał pierwsze święta Bożego Narodzenia na wygnaniu:

– 24. Z przyczyny długiego w noc siedzenia wstaję pospolicie o godzinie 10-ej, chodzę, powtarzając modlitwy, prawie aż do obiadu. Znaczących postępów w moralnym sobie prowadzeniu, zdaje się, nabyłem, jako to cierpliwości itd. [...] Mimo to, że dziś kucja, jednakże dusza moja była dosyć spokojna.

– 25. Dzień bardzo przyjemnie przeszedł, prawie cały w religijnych i pobożnych uniesieniach, do których zawsze łączy się przyjemna boleść rozrzewnienia i szczęśliwych wspomnień przeszłości. Każdego dnia dwa razy wspominam z prawdziwym i najmocniejszym uczuciem w modlitwach moich ojca, stryja, braci, krewnych, przyjaciół, dobrodziejów, uczniów, uczennice, i najukochańsze imiona: Zofji, Marji, Maryni, Barbary. Cały dzień przeglądałem najmilsze pamiątki z najtkliwszym rozrzewnieniem i łzami, nieraz serce moje zadrżało boleśnie na myśl przygód ludzkich. Liczę dni od listu mojego, czekam od nich pisma, jako jedynej z nieba pociechy.

W carskim więzieniu 24 i 25 grudnia niczym nie różniły się od pozostałych dni. Polski więzień w sobie znajdował siłę przetrwania, wywołując z pamięci obrazy z dzieciństwa i lat wileńskich.

Tomasz Zan, Arcypromienisty, był synem Karola Zana i Katarzyny z Dylewskich. Ojciec po utracie majątku zatrudnił się jako ekonom u możniejszej szlachty. Tomasz przyszedł na świat w Miasocie na Mińszczyźnie, w przydrożnej gospodzie 21 grudnia 1796 roku, gdy przez kraj przetaczały się oddziały kozaków tłumiące Powstanie Kościuszkowskie. Nauki pobierał w okolicach Słucka, Mińska i Mołodecznie. W 1815 roku rozpoczął studia na Wydziale Fizyko-Matematycznym Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego. W czasie studiów, zdany na siebie, na chleb zarabiał korepetycjami. I tworzył poezję.

To on napisał pierwsze ballady: *Twardowski* i *Świtez jezioro*. Spod jego pióra wyszła krotchwila *Gryczane pierożki*, wiersze okolicznościowe, poematy oraz, szczególnie wówczas modne, jamby i triolety. Wielką niespełnioną miłością Zana była Maryla Wereszczakówna, co nieomal zniweczyło jego przyjaźń z Adamem.

Tomasz Zan mocno zaangażował się w sprawy stowarzyszeń studenckich. Był współzałożycielem, powołanego w 1817 roku, Towarzystwa Filomatów stawiającego sobie za cel „ćwiczenia naukowe, udzielanie wzajemnej w naukach pomocy”. Wiosną 1820 roku utworzył Zgromadzenie Przyjaciół Pożytecznej Zabawy, czyli Towarzystwo Promienistych. Stał również na czele, liczącego ponad dwustu członków, ściśle już tajnego Towarzystwa Filaretów. Ponadto był organizatorem związku Filadelfistów Błękitnych, należał do wileńskiej gminy Towarzystwa Patriotycznego i Towarzystwa Szubrawców.

Zan był młodzieńcem o niezwykle wrażliwej naturze, koledzy nawet zarzucali mu nadmierną uczuciowość. Dobrocią, otwartością i niezłomnością charakteru zyskał sobie z czasem sympatię i wielki autorytet wśród młodzieży wileńskiej, stając się jej charyzmatycznym przywódcą.

On pierwszy serca swego słodkimi przymioty
Przyciągnął nas za sobą, a szedł drogą cnoty.
Bawiąc się z nim – wspólnymy żywot polubili
Wśród igraszek – wielkieśmy rzeczy umyślili.

– pisał o Zanie Jan Czczot

Owe „wielkie rzeczy” okazały się być niebezpieczne dla carskiego aparatu władzy. Do Wilna zjechał senator Nowosilcow, aby osobiście zająć się śledztwem. Zan aresztowany nocą z 23 na 24 października 1823 roku, jako jedyny osadzony został w więzieniu na Łukiszkach, pozostałych ponad stu oskarżonych trzymano w celach klasztornych. W śledztwie, aby ratować przyjaciół, cały ciężar winy wziął na siebie. W III części „Dziadów” Tomasz mówi:

Ja stałem na waszego towarzystwa czele,
Mam obowiązek cierpieć za was, przyjaciele...

Wydano na niego najwyższy wyrok, skazany został na rok więzienia i bezterminowe zesłanie w głąb Rosji. Karę odbywał w twierdzy Kizyl, po zwolnieniu mieszkał w Orenburgu, gdzie był guwernerem, próbował zajmować się tłumaczeniami, twórczością literacką, korespondował z rodziną i przyjaciółmi. Uczestniczył też w pracach orenburskiej Komisji Granicznej, dzięki czemu mógł brać udział w licznych ekspedycjach naukowych, prowadzić badania geologiczne Uralu i zbierać minerały. Przyczynił się do utworzenia w Orenburgu muzeum geologiczno-przyrodniczego.

Po trzynastoletniej zsyłce i uzyskaniu prawa wyjazdu w 1837 roku, udał się nad Nową. Jego biografowie odnotowują, że „ciężka choroba i trudności finansowe spowodowały, że do kraju wrócił dopiero w roku 1841”. Wspomnienia rodzinne przechowały bardziej optymistyczną wersję wydarzeń: „We wrześniu 1837 roku Promienisty poprosił o dymisję z państwowej posady w muzeum orenburskim i wyruszył w drogę do Ojczyzny. Zimą postanowił przeczekać w Petersburgu, a ponieważ skończyły się pieniądze, podjął intratną posadę bibliotekarza w instytucie inżynierów górniczych, gdzie pracował prawie cztery lata”.



Tomasz Zan (1796-1855)

Do kraju wrócił w 1841 roku. Witany jak bohater narodowy tylko przez nielicznych bliskich przyjaciół, nie otrzymał od rodaków żadnego wsparcia. Sam musiał organizować swoje życie na nowo. Imał się różnych zajęć, pracował jako carski urzędnik niskiej rangi w charakterze lustratora dóbr rządowych w powiecie lepelskim, prowadził badania geologiczne w dolinie Niemna, uprawiał własny kawałek ziemi. W końcu osiadł w niewielkim majątku Kochaczyn (obecnie Kakowczino) w guberni mohylewskiej, który spłacał do końca życia. Ożenił się ze znacznie od siebie młodszą Brygidą Świętorzecką, która ujrzawszy pierwszy raz steranego zesłańca, ukłękła i ucałowała jego ręce. Mieli czterech synów: Abdoną, Stanisława, Wiktora i Klemensa. Tomasz Zan Promienisty złamany niepowodzeniami, schorowany, zmarł w zapomnieniu 19 lipca 1855 roku w Kochaczynie.

Pochowany został na cmentarzu katolickim w pobliskich Smolanach. Książę Władysław Lubomirski ufundował mu nagrobek w postaci dużego głazu w kształcie serca z epitafium:

Miły Bogu i ludziom
Tomasz Zan
którego pamiątka jest
w błogosławieństwie ekkl. X.L.V.1
Żył lat sześćdziesiąt
Umarł 7 lipca 1855 r.
w Kochaczynie
Z Świętorzeckich
Brygida Zanowa
Spoczęła obok męża swego
25 sierpnia 1900 r.
w wieku lat 81
Syn ich Staś niemowlę
umarł w 1854 r.

Obok spoczywa syn Abdon, który zginął tragicznie w niewyjaśnionych okolicznościach przy grobie ojca. Smolany, obecnie zapadła wieś na północno-wschodnich krańcach Białorusi, były niegdyś kwitnącym miasteczkiem, leżącym przez wieki w dobrach książąt Sanguszków. Do dziś widoczne są ślady dawnej świetności. Zachowały się ruiny renesansowego zamku oraz pięknego barokowego kościoła i klasztoru Dominikanów. W znacznie lepszym stanie są dwie zabytkowe cerkwie.

W połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku nagrobki Zanów zostały poddane pracom konserwatorskim przez specjalistów z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem dr. Janusza Smazy. Zrekonstruowano dwa żeliwne krzyże, uporządkowano teren i zrobiono ogrodzenie. W przededniu dwusetnej rocznicy urodzin Promienistego, 17 listopada 1996 roku odbyła się w Smolanach poruszająca uroczystość. Z Warszawy przybyły trzy praprawnuczki poety: Krystyna Stankiewicz, Teresa Falkowska i Monika Zan-Rozdeiczner oraz historycy literatury, geologowie, dziennikarze. Byli także mieszkańcy wsi, przedstawiciele białoruskiej inteligencji i miejscowych władz. Poświęcenia mogił dokonali księża z parafii rzymskokatolickiej w pobliskiej Orszy, z trudem odrodzonej w początkach lat dziewięćdziesiątych. Modlono się po polsku i po białorusku. Znany warszawski aktor Ryszard Bacciarelli odczytał *Requiem na śmierć Tomasza Zana*, pióra nieznanego autora.

Poza utworami literackimi Tomasz Zan pozostawił po sobie wspomnienia *Z wygnania. Dziennik z lat 1824–1832*, wydany nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie w 1929 roku. Losy jego rodziny przedstawione są we wspomnieniach spisanych przez Wojciecha Wiśniewskiego: *Pani na Berżenikach. Rozmowy z Heleną z Zanów Stankiewiczową* (wznowionych w 2003 roku) oraz *Ostatni z rodu. Rozmowy z Tomaszem Zanem*, (Editions Spotkania). Warszawa-Paryż 1989.

Gdy zbliżają się święta Bożego Narodzenia, w domach potomków Zana Promienistego szczególnie ożywa pamięć o Nim, 21 grudnia to dzień imienin Tomasza i rocznica Jego urodzin. U Zanów wigilie obchodziło się zawsze skromnie, ale bardzo uroczyście. Tradycja rodzinna wymagała, aby w ten wyjątkowy wieczór na najbardziej widocznym, honorowym miejscu umieścić wyciętą z opłatka filarecką gwiazdę.

JOLANTA ZAŁĘCZNY

SYBERYJSKIE LOSY POWSTAŃCÓW STYCZNIOWYCH W ŚWIETLE ICH PAMIĘTNIKÓW

Uczestnicy powstania styczniowego, którym dane było przeżyć, często stawiali sobie cel przekazanie kolejnym pokoleniom informacji o wydarzeniach, jakie były ich udziałem. Wielu sięgnęło po pióro, bo „każdy powinien pisać dla siebie, dla bliskich, a jeżeli ma po temu zdolności, to i dla ogółu”¹. Wśród autorów zapisków dominowali powstańcy, których władze carskie zesłały na Syberię. Pozostało po nich wiele pamiętników i wspomnień, część z nich udało się wydać drukiem jeszcze na początku XX wieku². Piszącym przyświecał jeden główny cel – utrwalenie przeżyć, zapisanie prawdy o losach powstańców, których władze carskie ukarały za udział w powstaniu. Jeden z autorów zapisków Wandalin Czernik³ wyznał, że „bez względu na interesy narodowe lekceważyć i ubarwiać faktów nie potrafię”⁴. Swoje przywiązanie do prawdy podkreślał wielokrotnie:

Chciałbym bardzo, aby mi ktokolwiek wytłumaczył, czy jest rzeczą niezbędną, mówiąc o polskich wygnańcach, ukrywać świętą prawdę, w zbrodni widząc heroizm, w przekraczaniu moralnych zasad swawolę itd.⁵

¹ J. N. Rostworowski, *Wspomnienia z roku 1863 i 1864*, Kraków 1900, s. 67.

² K. Zielonka, *Wspomnienia z powstania 1863 roku i z życia na wygnaniu w Syberii*, Lwów 1913; H. (Ostoja) Samborski, *Wspomnienia z powstania 1863 r. i pobytu na Syberii*, Warszawa 1916; L. J. Zielonka, *Wspomnienia z Syberii od roku 1863-1869*, Kraków 1906; A. Świętorzecki, *Ze wspomnień wygnańca*, Wilno 1911; J. Siwiński, *Katorżnik czyli pamiętniki sybiraka*, Kraków 1905; W. Zapałowski, *Pamiętniki*, Wilno 1913; W. Czernik, *Pamiętniki weterana 1864 r.*, Wilno 1914; L. Mężyński, *Wspomnienia z powstania styczniowego i sybirskiej katorgi*, Tarnopol 1910; W. Lasocki, *Na Syberii*, Kraków 1939, A. Iwański, *Pamiętniki 1832-1876*, Warszawa 1928. Niektóre wspomnienia zamieszczano na łamach prasy, np. notatki z podróży etapami na Sybir Józefa Hertza zostały wydrukowane w dodatku do tygodnika „Świat” (styczeń – marzec 1916).

³ Wandalin Czernik urodził się w 1842 roku w powiecie nowogródzkim. Był uczniem Szkoły Kadetów w Petersburgu, skąd wrócił w ojczyste strony i trafił do powstania. Dowodził oddziałami pod Miłowidami i Nowogródkiem. Po aresztowaniu zesłany na 8 lat. W Rosji ożenił się z córką zesłańca Adalberta Burzyńskiego: J. Maliszewski, *Sybiracy zesłani i internowani za udział w powstaniu styczniowym*, 1930, s. 15-16; obszerny biogram Czernika zawarł Jakub Gieysztor w swoim zestawieniu *Towarzysze wygnania 1863-73, jak i ludzie, z którymi bliższe listowne miałem stosunki*, [w:] W. Śliwowska, *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów – zesłańców postyczniowych*, Warszawa 2000, s. 165-166.

⁴ W. Czernik, op. cit., s. 6.

⁵ Ibidem, s. 68.

Zapiski Czernika powstały w 1912 roku, autor opisał swoje losy od momentu wyruszenia do powstania, przez sąd, wyrok i życie na wygnaniu. Przed wybuchem powstania był podchorążym wojsk rosyjskich, jego losy związane były z Litwą, w 1863 roku walczył w rejonie Nowogródka. Powstanie tam nie trwało długo, a jego uczestnicy trafili do więzienia. Na podstawie sfałszowanego protokołu sądowego autor został wysłany do Mińska, gdzie w budynku klasztorным Rosjanie zorganizowali więzienie. Zarzucano mu przede wszystkim – jako byłemu podchorążemu wojsk rosyjskich – dezercję i zdradę oraz wstąpienie do oddziałów powstańczych. Losy autora były typowe dla pokolenia powstańczego – sąd wojenny, wyrok – skazanie na rozstrzelanie, potem zamieniony na ciężkie roboty w kopalni. Droga na zesłanie prowadziła przez Wilno, Petersburg, Moskwę, Niżnyj, Kazań⁶.

Niezwykłe wzruszenie wywołało przekroczenie granicy między Europą i Azją. „[...] w końcu stycznia dotarliśmy do Uralu i tu oglądaliśmy pomnik z napisami po obu stronach: Europa – Azja. Pożegnaliśmy więc matkę Europę...”⁷.

Z Kazania statkami wysłano zesłańców Irtyszem i rzeką Ob do Tomsku. Podróż trwała 16 dni. Na zimę dotarli do Irkucka, gdzie Czernik spędził okres od 1881 do 1888 roku. Spotkał tam wielu rodaków – powstańców z Litwy, w zapiskach wymienia następujące nazwiska: Redych, Wojsiatycz⁸, Lebidziński, Świda⁹, Świętorzecki¹⁰, Ponset de Sandon, Małachowski. Duże wrażenie wywarły na nim wieczory literackie, podczas których uczestnicy koili smutek pracą umysłową i poznawali historię literatury słowiańskiej (prof. Julian Kędrzycki¹¹), ekonomię polityczną i prawo rzymskie (mec. Piotr Kobyliński¹²),

⁶ Na trasie spotykały zesłańców wydarzenia zgoła niezwykle. W więzieniu w Wilnie odwiedziły ich „jakieś stare panny, które pod pretekstem opieki i poświęcenia się łączyły sobie małżonków; w czasie mego tam pobytu w przeciągu tygodnia odbyły się w więzieniu trzy śluby. Widocznie pannom tym chodziło tylko o tytuł mężatek, bo wszak szczęścia małżeńskiego spodziewać się w takich warunkach nie mogły”; Ibidem, s. 22.

⁷ Ibidem, s. 25. Sceny takie opisywało wielu powstańczych pamiętnikarzy, utrwalił ją też malarz syberyjskiej kategorii – Aleksander Sochaczewski.

⁸ Józef Wojsiatycz, agronom, rodem z Królestwa, na Syberii uprawiał ogrody i na wystawie irkuckiej otrzymał medal za model ula ramowego, zastosowanego do miejscowego klimatu. Po powrocie do kraju zarządzał dobrami Krasińskich (Złotym Potokiem), później generałowej Kickiej (Jaszczowem), zmarł w Lublinie. Źródło: W. Lasocki, *Wspomnienia z mojego życia*, t. II, Kraków 1934.

⁹ Bolesław Świda – nauczyciel gimnazjum w Słucku, za udział w powstaniu zesłany do Usolu na 12 lat. Zajmował się tam hodowlą zwierząt przy warzelnii soli. Po amnestii wyjechał do Irkucka, skąd następnie dotarł do Tobolska i Permu.

¹⁰ Apolinary Świętorzecki – autor wspomnień z zesłania spisanych w 1911 roku, któremu Czernik zarzucał wielokrotne mijanie się z prawdą: Czernik, op. cit., s. 68-85.

¹¹ Julian Belina Kędrzycki – nauczyciel literatury polskiej w gimnazjum w Kijowie, zesłany za udział w powstaniu do Usolu, po amnestii w 1866 roku mieszkał w Irkucku, skąd wysłany został do Spaska w guberni tamborskiej. Powrócił do kraju w latach 70., zmarł w 1889. Jego podobizna została utwalona przez Aleksandra Sochaczewskiego w studium do „Pożegnania Europy”.

¹² Piotr Kobyliński – prawnik, członek Rządu Narodowego, pomimo ucieczki do Wiednia został ujęty przez Rosjan i skazany na 15 lat katorgi, którą odbywał w Usolu. Zmarł w 1866 roku.

a nawet anatomię. Ze szczególnym rozrzewnieniem wspominał słuchanie komedii Fredry, które czytał Lasocki. „Tak oto przekołatałimy zimę, wzbogacając umysł i łagodząc tęsknotę, za co byliśmy nieskończenie wdzięczni naszym profesorom”¹³.

Był Czernik świadkiem ogłoszenia manifestu carskiego, na mocy którego zesłańcy otrzymali złagodzenie kar. Jemu skrócono wyrok o połowę. Wkrótce zaczęto wysyłać skazańców w dalszą drogę, celem była stacja Miszycka.

Miejscowość była prześliczna, w niczym nie ustępowała Szwajcarii. Flora cudowna: olbrzymie cedry, modrzewie, błękitne świerki, pąsowe rododendrony rozlewały wokół swój kuszący zapach; a wśród skał i kamieni szumiały kaskady spadających strumyków. Rozradowała nam się dusza na widok tej cudnej przyrody¹⁴.

Tam dotarła do niego wiadomość o powstaniu zabajkalskim. Za udział w buncie wielu Polaków zostało straconych (Szaramowicz, Celiński, Kotkowski, Rejner). Innych, wśród nich i Czernika, zakuto w kajdany i pognano w dalszą drogę. Trzeciego dnia zesłańcy dotarli do Aleksandrowska, tam ulokowano ich w koszarach, a stamtąd skierowano do Usolu, gdzie „zgromadzona była sama inteligencja polskich wygnańców”¹⁵. W rejonie Usolu mieszkało około tysiąca Polaków, cała galeria postaci, które Czernik opisuje z właściwą sobie drwiną i ogromną wnikliwością¹⁶.

Na mocy carskiego manifestu Czernik został zaliczony do osiedleńców i skierowany do gminy iłgińskiej. Dotarł tak po kilkudniowej podróży (po 40 wiorst dziennie w czerwcowym upale), by potem – po 40-letnim pobycie na Syberii – w 1903 roku wyruszyć w podróż do kraju.

25. rocznicę powstania i jego uczestników uczcił poetycką opowieścią Tomasz Ostrowski¹⁷, który podkreślał, że wspomnienia z powstania i zesłania podnosił „niby leżące kłosa na ściernisku” i utworzył z nich małą galerię obrazów dla użytku publicznego. Autor brał udział w powstaniu pod komendą Czachowskiego. Pod Staszowem oddział został wzięty do niewoli, razem z innymi powstańcami trafił do więzienia, skąd wysłano ich przez Chmielnik do Kielc. Następny postój to Cytadela Warszawska, a stamtąd przez Wilno, Psków, Petersburg do Moskwy. Po 15 dniach pobytu ruszyli w dalszą drogę do Włodzimierza, gdzie spędzili 2 miesiące w więzieniu. Po śledztwie zapadł wyrok Ostrowskiego – z uwagi na młody wiek – skazano na rok w aresztanckiej rocie i popędzono do Niżnograda. Swoisty był to pochód:

Przodował szereg pod bronią żołnierzy,
Za nimi więźniów sznur długi się toczył,
W taktie brząkały kajdany zbrodniarzy
Za ręce, nogi łańcuchami spiętych,
Albo zamkniętych do wspólnego drąga;
Dalej szli nasi, co z pobudek świętych
Walcząc o wolność wpadli w ręce wroga¹⁸.

¹³ W. Czernik, op. cit., s. 29-30.

¹⁴ Ibidem, s. 32.

¹⁵ Ibidem, s. 44.

¹⁶ Wiele z tych postaci sportretuje potem Aleksander Sochaczewski.

¹⁷ T. Ostrowski, *Walka o wolność i pochód na Sybir opowiadanie wierszem*, Kraków 1889.

¹⁸ Ibidem, s. 68.

Trasa na zesłanie prowadziła do Kazania, po drodze wielu zesłańców zmarło z głodu i zimna. Pozostali dzielnie opierali się trudom marszu, znosili niedostatki, pomagali sobie wzajemnie.

To właśnie wroga najbardziej drażniło.
On zemsty, mordu i ofiary chciwy
Zazdrościł, żeśmy spokojnie i miło
Wszystko znosili...¹⁹

Ulokowano ich w kazańskim więzieniu, gdzie – jak ironicznie podkreśla autor – cztery izby czterystu więźniom dawały wygody. Niezależnie od pory roku byli powstańcy ciężko pracowali, z pokorą znosząc trudy zesłania. W 1865 roku pojawiła się nadzieja na odzyskanie wolności, ale radość była przedwczesna, Ostrowski został ponownie skazany na zesłanie, tym razem do Permy. I znów długi marsz i pożegnanie Europy:

Przeszliśmy pierwsza połowę Uralu,
Gdzie słup kamienny, zimny i ponury
Każę Europę pożegnać bez żalu.
Lecz Ciebie, Polsko! Wspominać będziemy²⁰.

Trasa wiodła do Tobolska, gdzie po miesiącu kazano wybrać miejsce dalszego pobytu. Wybór Ostrowskiego padł na powiat tarski. Tam:

carska wszelka ustała opieka,
Dzienne kopiejki dawać zaprzestano,
Skoro na wolność wypuszczono człeka²¹.

Nietrudno się domyśleć, jaka była ta wolność, z dala od kraju, w nieprzyjaznych warunkach...

Autorem kolejnych zapisków jest Henryk (Ostoja) Samborski²², którego *Wspomnienia z Powstania 1863 i pobytu na Syberji* wydano w 1916 roku w Warszawie.

Samborski walczył pod Suchedniowem, Św. Krzyżem, Staszowem. Wzięty do niewoli w lutym 1864, trafił do więzienia w radomskim klasztorze usytuowanym w sąsiedztwie cerkwi. Po kilkutygodniowym pobycie i przesłuchaniach przez komisję śledczą został oddany pod sąd wojenny. Wyrok brzmiał: pozbawienie praw i zesłanie na Syberię. W Radomiu autor pożegnał się z matką. Opis tej sceny daje wyobrażenie o postawie polskich kobiet. „Nie uрониwszy ani jednej łzy, by nie okazać żalu wobec wrogów, a mnie podtrzymać na duchu – pobłogosławiła na drogę...”²³. W kwietniu więźniowie zostali

¹⁹ Ibidem, s. 72.

²⁰ Ibidem, s. 93.

²¹ Ibidem, s. 98.

²² Urodzony w roku 1843 w Radomiu, wychowanek Szkoły Głównej, w powstaniu – jako podporucznik – walczył w oddziale Langiewiczza, Ćwieka i Hauke Bosaka pod Suchedniowem, Św. Krzyżem, Staszowem, Chełmem, Kowalem, Wirem. Podczas bitwy pod Borownem dostał się do niewoli. Potem do roku 1870 przebywał na zesłaniu; J. Maliszewski, *Sybiracy zesłani i internowani za udział w powstaniu styczniowym*, 1930, s. 39. Zmarł 6 stycznia 1918 roku i został pochowany na Powązkach.

²³ *Wspomnienia z Powstania 1863 r. i pobytu na Syberji. Skreślił Henryk (Ostoja) Samborski*, Warszawa 1916, s. 56.

przetransportowani do Cytadeli Warszawskiej, skąd w maju nastąpiła wysyłka. Samborski podkreśla, że

ceremoniał wywożenia z Warszawy zasługuje na opisanie. Zaraz po północy zbudzono nas, abyśmy przygotowali się do wyjazdu. Następnie zakuwano w kajdany [...], prowadzono nas piechotą przez ulice: Zakroczymską, Freta, wśród oznak współczucia i cichych owacyi rozbudzonych mieszkańców tej dzielnicy: dalej szliśmy około Zjazdu w kierunku Bednarskiej i przez most łyżwowy na Pragę, aż do dworca Petersburskiego. Brutalność żołdaków, odtrącających kobiety, zbliżające się do swoich krewnych lub znajomych, nie da się opisać, tak była oburzająca²⁴.

Droga na zesłanie prowadziła przez Petersburg, Moskwę, Niżny Nowogród, Tobolsk, gdzie urządzono tzw. przykaz o zsypanych, czyli urząd zajmujący się wyznaczaniem miejsca dalszego pobytu wygnańców. Z Tobolska ruszył Samborski kibitką (wraz z Ksawerym Wojno i Henrykiem Wohlem) etapami w dalszą drogę przez Irkuck, Krasnojarsk, Kańsk do gminy irbieńskiej. „Pierwsze dni pobytu na osiedleniu, pomimo odzyskania swobody ruchu i uwolnienia się od dozoru i rygoru więziennego przygnębiające i smutne pozostawiły wrażenia...”²⁵. Spod pióra Samborskiego wychodzą opisy miejsc i ludzi spotykanych podczas pobytu w Rosji, m.in. Eugeniusza Kondrackiego czy Zygmunta Chmieleńskiego (po powrocie został geometrą rządowym w Pułtusk), Józefa Białkowskiego, Feliksa Burzyńskiego. Na zesłaniu spotkał też potomków pierwszych zesłańców – konfederatów barskich.

Jakże przygnębiające i przykre wspomnienie zachowałem ze spotkania z ludźmi, którzy tłumnie gromadzili się na niektórych stacjach naszej wędrówki na Syberię, by nas zobaczyć i porozmawiać. Byli tam, niestety, potomkowie masowo zabieranych i pędzonych na Sybir konfederatów barskich, którzy posiadali zaledwie mgliste o swoich przodkach wiadomości, należeli już do wyznania prawosławnego i nie umieli po polsku. Zachowali jednakże nazwiska i niektóre formy ubrania, przypominające czamary z szamerowaniem i czapki do rogatywek nieco podobne, a w rozmowach z nami mianowali się Polakami²⁶.

W sierpniu 1870 roku przysłała informacja o zezwoleniu na powrót do kraju. „Ze wzruszenia prawie oniemiałem i zaledwie zdołałem utrzymać się na nogach. Pociemniało mi w oczach, pomimo że się tego spodziewałem, o tem marzyłem i oczekiwałem tej wieści z niecierpliwością”²⁷. Samborski wracał z Władysławem Helskim, podróż odbywała się znaną już trasą przez Kańsk, Krasnojarsk, Perm, Kazań, Niżny Nowogród, Moskwę, Wilno do Warszawy. Z rozrzewnieniem opisuje spotkanie z matką, która „prawie przez 7 lat oczekiwała z utęsknieniem jedynaka [...] Wrażenia serdecznego powitania i łyzy radości nie dadzą się opisać; te chwile zaliczam do najszcześniejszych w życiu”²⁸.

Powrót w rodzinne strony obfitował w trudne momenty, trzeba było zabiegać o utracone stanowisko i pracę. Tylko dzięki wsparciu „myślącego grona

²⁴ Ibidem, s. 56.

²⁵ Ibidem, s. 66.

²⁶ Ibidem, s. 75.

²⁷ Ibidem, s. 83.

²⁸ Ibidem, s. 88.

zacznych pań” i dawnych znajomych z zesłania udało się Samborskiemu nie popaść w kłopoty. Bogatszy o własne doświadczenia, współtworzy kółko towarzyskie złożone z weteranów powstania powracających z zesłania.

Udział w powstaniu i będące jego wynikiem zesłanie opisał inny autor – Kornel Zielonka w wydanych w 1913 roku we Lwowie *Wspomnieniach z powstania 1863 roku i z życia na wygnaniu w Syberii*. Pochodził z patriotycznej rodziny, wraz z trzema braćmi brał udział w powstaniu. Ludwik walczył na Lubelszczyźnie, awansował do stopnia majora, pod Fajslawicami został wzięty do niewoli i zesłany na Sybir. Kornel, Kazimierz i Józef trafili do oddziału Dionizego Czachowskiego. Po rozbiciu oddziału został przydzielony do Karola Kality „Rębajło” (b. oficera wojsk austriackich, również autora zapisków pamiętnikarskich), z którego oddziałem przedostał się w Góry Świętokrzyskie.

Po potyczce 29 października 1863 roku powstańców pojmano i popędzono do Bodzentyna, a stamtąd do więzienia w Kielcach, gdzie stanęli przed gen. Czengery (dow. rosyjskim). Każdego przesłuchano i spisano protokół, „za wydanie dowódcy lub oficera obiecywali uwolnienie lub nagrodę. Jednak nie znalazł się żaden, który by przełożonego zdradził”²⁹. Gdy konwój ponad 200 więźniów wyruszył do Radomia, żegnały go zapłakane i zatroskane kobiety.

Nareszcie dano sygnał do wymarszu. Pożegnaliśmy te wielkiego serca patriotki, jakimi to niewiastami mało który naród poszczycić się może, wyrzucaniem czapek do góry. Niech wam będzie cześć za waszą miłość i poświęcenie drogie naszemu sercu i niezatarte w pamięci, rodaczki!³⁰.

Po trzydniowym marszu więźniowie dotarli do warszawskiej cytadeli –

tej sławnej cytadeli, znanej ze swej grozy każdemu Polakowi. Otwierają bramę i wchodzimy w paszczę tego potwora, który już tyle ofiar pochłonął. Dreszcz przebiegł po ciele [...] Ponure budynki: to kazamaty; w oknach kraty, przy nich miejscami kosze domyślać się kazały, ile tam niewymownych boleści, ile niedoli przebywa. To ziemskie piekło tam!”³¹. Wejście do cytadeli spowodowało, że „odezwał się żal za dawną naszą potęgą, tak sromotnie złamaną, czy przez nemezis dziejową, czy z własnej woli? – dosyć, że my potomkowie tych bohaterów – dziś niewolnicy na własnej ziemi! Na tę myśl serce się krwawiło – i z żalu za dawną sławą majaczyło się nam, jakby nad bramą widniał złowrogi napis: «Vae victis»! Biada zwyciężonym”³².

Warunki w cytadeli były straszne,

wikt dawano bardzo zły, [...] wszelka komunikacja z miastem była surowo zabroniona, a widzenie się z kimkolwiek wykluczone. Żadna wiadomość z miasta lub w ogóle z kraju nie dochodziła”³³.

Z cytadeli droga prowadziła kolejną przez Wilno i Dynaburg do Pskowa, a potem dalej do Petersburga i Moskwy. Po Wielkanocy przetransportowano więźniów do Włodzimierza, „gdzie była ustanowiona komisja do sądenia”,

²⁹ K. Zielonka, op. cit., s. 25.

³⁰ Ibidem, s. 27.

³¹ Ibidem, s. 35.

³² Ibidem, s. 36.

³³ Ibidem, s. 37.

Zielonkę skazano na osiedlenie w guberni irkuckiej i wywieziono najpierw do Niżnego Nowogrodu, a potem etapami do Kazania, Permy, Kongur... A potem dramatyczne przejście przez granicę między Europą i Azją. „Aby się pocieszyć i smętne myśli odpędzić na pożegnanie Europy odśpiewaliśmy «Boże coś Polskę» i «Jeszcze Polska nie zginęła»”³⁴.

W swoich wspomnieniach Zielonka zawarł wiele szczegółowych opisów krajobrazu, przyrody, warunków życia, relacji z miejscową ludnością. Autor okazał się bystrym obserwatorem i dobrym literatem, skoro udało mu się wierne oddać obraz Syberii. Przedstawił też życie Buriatów, ich obyczaje, stroje, polowania, syberyjską gościnność, praktyki religijne.

Na Syberii zimą 1867/1868 doszło do spotkania ze starszym bratem Ludwikiem. A potem ukazał się manifest carski i można było wracać do ojczyzny. Droga prowadziła przez Irkuck. Do Warszawy dotarł autor w kwietniu 1869 roku witany przez panny Bieńkowskie (córki p. Lubienieckiej z pierwszego małżeństwa), a potem powitał Galicję – strony rodzinne.

Powstaniec Jan Siwiński pozostawił po sobie zapiski opatrzone obszernym tytułem: *Katorżnik czyli pamiętniki Sybiraka napisane przez Jana Siwińskiego zesłanego w roku 1863 na ośm lat robót katorżniczych w kopalniach Nerczyńskich, kraju Zabajkalskiego w Syberyi* wydane drukiem w Krakowie w 1905 roku.

We wstępie autor podkreślił, że sporządził te notatki, „aby mój ośmioletni pobyt w tym kraju boleści i nabyte wiadomości, odnoszące się tak do położenia naszego jako wygnańców, jako też opisu kraju, klimatu i ludów tamecznych, ich kultury i religii, nie poszły na marne”³⁵. Nadmieniał też, że inni jego koledzy nie spisali swoich przeżyć, a przecież społeczeństwo z wielką ciekawością czyta wszelkie wspomnienia, stąd decyzja o opisaniu wydarzeń od momentu dostania się do niewoli w roku 1863 w bitwie pod Ratajami aż do powrotu z Syberii w 1869 roku. Z całą pokorą podkreśla, że „pióro nieudolne nie potrafi oddać tego, co serce czuje”, prosi więc o pobłażliwość i zrozumienie, że pisze nie dla filozofów i uczonych, ale dla patriotów gorąco miłujących sprawę narodową. Niech spisane dzieje będą „przypomnieniem dla młodzieży, że śmierć lepsza od niewoli”. Swoją pracę składa

u stóp ołtarza ojczyzny ku czci i pamięci tych, którzy za idee wolności ponieśli śmierć w roku 1863, a zarazem tych kolegów i współtowarzyszy niedoli, z którymi odbywał ową straszną podróż w kajdanach, tudzież katorżne roboty w kopalniach Sybiru³⁶.

Jego szlak powstańczy rozpoczął się w Podgrodziu pod Dębicą, do potyczki z Moskalami doszło pod wsią Rataje. W bezpośrednim starciu z wojskiem rosyjskim Siwiński został ranny. Z oddziału pozostało przy życiu zaledwie 94 powstańców, wszyscy zostali wzięci do niewoli. Siwiński wraz z pozostałymi pojmanymi został popędzony przez Pacanów do Stobnicy. Na trasie marszu znalazły się Kielce, potem skierowano ich do Radomia, gdzie stanęli przed sądem wojennym. Trzej członkowie sądu (wśród nich Pisarzewski –

³⁴ Ibidem, s. 57.

³⁵ J. Siwiński, op. cit., s. 5.

³⁶ Ibidem, s. 6.

Polak służący Rosjanom) dążyli do tego, aby każdemu udowodnić, że należał do „żandarmerii wieszateliów”. Oskarżono wszystkich o przekroczenie granicy z bronią w ręku oraz udział w powstaniu i skazano na 4 lata robót przymusowych w fortecy w Iwangrodzie. Jednak namiestnik Berg zamienił ten wyrok – jako zbyt łagodny – na 8 lat katorgi. Dnia 13 października Siwiński wyruszył z Radomia do Warszawy, więźniów konwojowała eskadra z armatami. Punktem docelowym była Cytadela Warszawska, którą autor porównał do piekła opisywanego przez Dantego:

«Wchodzący we mnie zostawcie nadzieje!
W tych słowach napis na bramie czernieje»

Te wiersze nieśmiertelnego wieszacza, Dantego, wybrałem umyślnie, aby je zastosować najwłaściwiej do owej piekielnej bramy Cytadeli Warszawskiej. Kto raz przekroczy ową bramę, to już żywcem pogrzebiony, już się dostał w ów gród łez i mąk niezliczonych! [...] Już samo wejście jest przerażające; droga wiedzie od Wisły pomiędzy wysokie skarpy, pomiędzy mury, jak w otchłań jaką! Każdy krok w akustyczny sposób odbija się, odbija i dziwnie przejmuje trwożą! Również przygnębiające wrażenie wywierają te olbrzymie mury, te brudne kazamaty forteczne, a jeszcze większa ogarnia groza na widok owych ogromnych piramid kul armatnich [...] mimo woli przychodzi refleksja: kto tej potędze prosta?³⁷.

Z ogromną dokładnością opisał autor zakuwanie w kajdany:

W lochu spostrzegliśmy siedzących na ziemi brodatych szatanów, sadzą zabrukanych, z rękami zakasane, byli to kowale. Przed każdym leżała olbrzymia kupa kajdan [...] na ten widok serce nam zamarło, odrętwiliśmy z niemocy, strachu i żalu, i staliśmy bezradni i oniemiały. [...] Kajdany były krótkie, bo za ledwie na dwanaście cali długie, kroku tedy w nich nie można było zrobić; stapało się jak kura i co chwila upadało. [...] Brzęk, szczęk i łomot kajdanów wywołał głuchą grozę³⁸.

Potem załadowano ich do kibitek i około 3 w nocy konwój wyruszył na Pragę.

Jakkolwiek szczęk broni, turkot kibitek po bruku, hurkot armat, stukot końskich kopyt, wszystko to sprawiało wrzawę nieopisaną, to jednak dochodziły nas szlochania o lamenty niewiast warszawianek, które tym sposobem zegnały nas w naszą daleką podróż, w podróż piekielną!³⁹.

3 listopada 1863 roku więźniów przeładowano do wagonów aresztanckich. Warunki podróży były koszmarne, tłok, zaduch. Po 10 dniach pociąg dotarł do Petersburga. Skazańców zawieziono na dworzec główny, aby ich publicznie upokorzyć, „okazać na pośmiewisko, że takie szkielety, takie straszdyła śmiały się zbuntować na cara”⁴⁰. Następnego dnia wyprawiono pociągiem do Moskwy, dokąd dotarli 15 listopada. Potem 7 wiorst pieszo do więzienia w centrum miasta. Autor z rozpaczą wspomina ten marsz, kiedy to odczuł pogardę dla Galicjan – kajdaniarzy ze strony szlachciców z Królestwa. Więcej pomocy uzyskali skazańcy od rosyjskich żołnierzy niż od rodaków.

³⁷ Ibidem, s. 22-23.

³⁸ Ibidem, s. 25-26.

³⁹ Ibidem, s. 26.

⁴⁰ Ibidem, s. 29.

Wrażenia z Moskwy były zaprawione goryczą. Oto „Moskwa po raz pierwszy zobaczyła Polaków-buntowuszczyków, idących na Sybir w kajdanach za to, że ośmielili się podnieść rękę na białego cara...”⁴¹. Nie zabrakło w tekście opisów miasta i jego zabytków, bo – jak podkreślał Siwiński – Moskwa bardzo mu się podobała.

Dalej trasa zsyłki wiodła do Niżnego Nowogrodu, gdzie dojechali 18 listopada, a stamtąd kibitkami do Tobolska (22 dni i nocy, po 100 wiorst na dobę). Po drodze była przeprawa przez rzekę Surę, przez Swiągę i skutą lodem Wołgę. Potem był Kazań, przeprawa przez Wiatkę do Ochońska, przez Kamkę do Kunguru, a dalej do miejscowości Talice.

Mało jest miejscowości na tym Bożym świecie, które by były świadkami tylu łez wylanych, tylu westchnień, tylu rozdzierających serce i dusze scen okropnych, desperackich zawodzeń i lamentów jednych – a uciechy, szczęścia i radości drugich! Tu dwa przeciwstawieństwa, tu dwa światy panują: świat boleści i świat rozkoszy, świat smutków i świat radości, świat nadziei i świat zwątpienia... Tu jest granica Europy i Azji. Tu są owe dwa słupy murowane, owe martwe świadki ludzkich westchnień, łez i boleści! [...] Gdyśmy się tutaj wymodlili i wyłakali, pożegnaliśmy i ucałowali po raz może ostatni ziemię europejską i ów słup graniczny, mówiąc do niego: bywaj zdrów! Gdyż oko nasze może ciebie już nie zobaczyć!⁴².

Kolejna stacja to Bujeszatu, potem Ekattarinburg. Wreszcie 12 grudnia więźniowie dotarli do Tobolska „pierwszego w tej otchłani piekielnego miasta syberyjskiego”. „W Tobolsku już raz na zawsze utracą się i prawa i charakter człowieka, a nabiera się miana katorżnika”⁴³. Ten obraz utrwala strój skazańca: buty (katy) podobne do czółna – olbrzymie trzewiki z grubymi onucami, szarawary czyli spodnie z grubego szarego sukna z rozciętymi nogawicami, 2 koszule, 2 pary płóciennych gaci, kożuszek zw. półszubkiem i kożuch (szuba), czapka futrzana, długie rękawice futrzane i szynel zw. hałatem. Tak przyodziani ruszyli 20 grudnia 1863 roku w dalszą drogę. Patria więźniów wywiezionych z Tobolska liczyła 260 osób, otrzymali oni żołąd w wysokości 5 kopiejek na osobę. Zrodziło się więc pytanie, jak z tego wyżyć? Wystarczało na bochenek chleba i garnczek mleka, taki prowiant kupowany rano musiał wystarczyć na czterech. Wędrówka trwała 16 miesięcy.

I choć warunki były koszmarne, to autor – obok dramatycznych relacji – zamieszcza też opisy przyrody, zachwycając się Jenisejem czy rzeką Ob. „Są to bezwątpienia najpiękniejsze rzeki Syberii”. Trasa z Tobolska prowadziła przez Tomsk, Krasnojarsk... „okolice Krasnojarska to największa plaga Syberii” – moczary, moskity... A potem Irkuck – wielkie, europejskie miasto. Pobyt tam nie trwał długo, bo niebawem wyekspediowano ich za Bajkał. Droga wiodła wzdłuż Angary.

[...] nie widziałem w moim życiu drugiej takiej rzeki, nie widziałem takiej złośliwej wody, która by z takim zagniewaniem, z takim złowrogim pomrukiem i z taką wściekłością staczała się po kamieniach i niszczyła wszystko to, co napotka w swym szalonym pędzie!⁴⁴

⁴¹ Ibidem, s. 35.

⁴² Ibidem, 45-46.

⁴³ Ibidem, s. 50.

⁴⁴ Ibidem, s. 69.

Równie duże wrażenie wywarł na Siwińskim Bajkał – owo „Światoje morie” (święte morze).

Celem zsyłki był Kraj Zabajkalski. „... jak tylko Moskale partię aresztantów za Bajkał odwiozą, to już tak wygląda, jakby im cały ciężar spadł z serca i już wcale nie troszczą się o to, żeby im kto uciekł z drogi, bo pytam się, dokąd ma uciekać?”⁴⁵. Nie może więc dziwić fakt, że zesłańców ogarnęła apatia, szli obojętni na wszystko, szli jak na stracenie.

Kolejny etap prowadził z Czity do Nerczyńska. Na drogę zaopatrzone ich w suchary i herbatę i tym żyli przez 18 dni. W Nerczyńsku było najwięcej Polaków osiadłych tam po odbyciu kar więziennych. Ale Siwiński przebywał tam tylko 8 dni, bo władze carskie wyznaczyły na pobyt stałą miejscowość Kliczkę, dokąd wysłano cały transport. Kliczka położona była na granicy Mandżurii, to okolica naga, pagórkowata, dzika i smutna. Tam znajdowały się więzienia, do których skierowano zesłańców, 60 Polaków przebywała w nich 2 lata. Zakuci w kajdany pracowali przy żarnach. Po dwuletnim pobycie skierowano ich do Kary, gdzie znajdowała się kopalnia złota, zatrudniająca 4 tys. skazanych.

Po roku pracy w kopalni zesłańców wysłano do wsi Beklemieszówka, gdzie mieli zbudować nową szosę, „każdy miał odmierzonych cztery sążni bieżącej długości, bez względu na to, czy kto trafił na kamienie, czy na drzewa...” Zimą, gdy prace przy budowie drogi były niemożliwe, zesłańcy byli umieszczani w osadzie zw. Murawiewskaja Gawań. Mimo panujących mrozów (42 stopnie poniżej zera), pracowali w porcie przy naprawie statków. Nie lada wydarzeniem był przyjazd ks. Oldenburga – carskiego wysłannika z aktem amnestii.

Dla wysłuchania owej amnestyi, czyli najwyższej carskiej łaski, jak ją nazywano, kazano nam ubrać się w co miał kto najlepszego: zarządzono też poprzednio, aby każdy i to pod karą był w łaźni wymyć się i wykapać; kazano dalej, aby ci co nie noszą brody, byli ogoleni i ostrzyżeni, słowem miała to być wielka parada i wielka uroczystość⁴⁶.

Księżę odczytał akt, podkreślając dobroć i łaskawość cara. A potem było kolejne oświadczenie, które brzmiało tak:

A ponieważ nie zachowaliście się przyzwoicie, przeto nie będziecie zaraz korzystać z ogłoszonej wam amnestii, lecz zostanieie powtórnie zakuci w kajdany za nieposłuszeństwo i będziecie za karę pracować jeszcze przez trzy miesiące, a gdybyście się jeszcze poważali zbuntować, to zatrzyma się was jeszcze rok!⁴⁷.

W tej sytuacji więźniom pozostało pogodzić się z wyrokiem i unikać powodów do przedłużenia kary, aby po 3 miesiącach uzyskać upragnione zwolnienie. Potem mieli do wyboru: powrót etapami (18 miesięcy) lub samodzielnie na własny koszt. Siwiński miał szczęście, nie mając ani kopiejki przejechał tysiąc mil przestrzeni syberyjskiej dzięki temu, że udało mu się zostać lokajem państwa Samojłow, którzy podróżowali przez Rosję. Zimą opuścił Irkuck i udał się w podróż. W Warszawie – zamiast wymarzonej wolności – nowy problem, Siwiński znów trafił do więzienia, a potem jako poddany austriacki został

⁴⁵ Ibidem, s. 78.

⁴⁶ Ibidem, s. 109.

⁴⁷ Ibidem, s. 109-110.

oddany przed oblicze konsula, gdzie musiał udowodnić swoje pochodzenie i został wraz z 8 towarzyszami odesłany do Krakowa. Przez Radom (dwutygodniowy pobyt w szpitalu) 25 lipca 1869 roku dotarł do Krakowa i zameldował się w Komitecie pomocy Sybirakom, otrzymując legitymację nr 256.

Z kart prezentowanych pamiętników wyłania się tragiczny obraz życia, które było udziałem byłych powstańców – zesłańców syberyjskich. W 150. rocznicę wybuchu powstania warto nie tylko przypominać przebieg walk z wojskami carskimi, ale też przybliżyć popowstaniowe losy ich uczestników. Wszak na wschód wyekspediowano po upadku powstania niemal 40 tysięcy osób, do wielu z nich odnosiły się gorzkie słowa Czernika: „katorżnik to nie człowiek, to rzecz skarbowa, numer i nic więcej”⁴⁸

⁴⁸ W. Czernik, op. cit., s. 41.

Dawna Wigilia

Przyszła mi na Wigilię, zziębnieta
głucho ciemna,
z gwiazdy jak z jasną twarzą -
Wigilia przedwojenna
z domem, co został jeszcze na
cienkiej fotografii,
z sercem, co nigdy umrzeć
porządnie nie potrafi,
z niemądrym bardzo piórem
skrobiącym w kałamarzu
z przedpotopowym świętem –
z Piłsudskim w kalendarzu
z mamusią, co od nieszczęść zasłonić
chciała łzami –
podając barszcz czerwony, co
śmieszył nasz uszkami,
z lampą, z czajnikiem starym
wydartym chyba niebu
z całą rodziną jeszcze, to znaczy
sprzed pogrzebów...

(ks. Jan Twardowski)

*

SYLWIA TRZECIAKOWSKA

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU W BIAŁYMSTOKU – GŁÓWNE ZAŁOŻENIA

Muzea są świątyniami pamięci i od zawsze stanowiły obiekt społecznego zainteresowania. Zwiedzanie stanowi bowiem wkład w nasz rozwój i doświadczenie: intelektualne, poznawcze, czy wręcz duchowe. Należy zastanowić się jednak, czy rzeczywiście jest ono potrzebne społeczeństwu oraz czy jest w nas potrzeba „rozdrapywania” przeszłości, niezagojonych może jeszcze często ran? Jak przedstawiać przeszłość, żeby nie była nudna, patetyczna, monumentalna?

Muzeum jako placówka kultury nie może być jedynie biernym depozytariuszem materialnej i duchowej spuścizny kulturowej miasta, czy kraju. Wprost przeciwnie, powinno angażować mieszkańców do współpracy w dokumentowaniu dziejów oraz w ochronie dziedzictwa kulturowego. Muzeum jest bowiem nie tylko depozytariuszem pamięci o przeszłości, ale również powinno aktywnie uczestniczyć w procesie kształtowania świadomości historycznej, postaw estetycznych i społecznych ludności.

W zmieniającej się nieustannie rzeczywistości, muzea są instytucjami, których zadaniem jest niejako zatrzymanie czasu, zachowanie wiedzy o przeszłości dla przyszłości i przekazanie jej następnym pokoleniom, a jednocześnie służenie współczesności poprzez upowszechnianie tej wiedzy za pomocą wystaw, zajęć edukacyjnych, odczytów i publikacji.

Druga połowa XX w. i początek XXI w. to „epoka upamiętniania”, czas „erupcji pamięci”. Za prekursora badań nad „miejscami pamięci” uznać należy Pierre’a Norę – francuskiego historyografa. Już w latach 70. postulował konieczność badań nad „miejscami pamięci”. Terminu tego nigdzie dokładnie nie zdefiniował, ale jak się wydaje, rozumiał go wtedy przede wszystkim jako zinstytucjonalizowaną formę zbiorowych wspomnień przeszłości. „Miejscem pamięci” mogło być dla niego zarówno archiwum historyczne czy pomnik bohatera, jak i prywatne mieszkanie, w którym spotykają się kombatanci, by obchodzić uroczystości upamiętniające ważne dla nich wydarzenia.

Takim właśnie miejscem pamięci, upamiętniającym doświadczenia wygnańcze setek tysięcy Polaków, ale i osób innych narodowości, stanie się Muzeum Pamięci Sybiru (dalej: MPS) – instytucja o zasięgu ogólnopolskim, której celem będzie edukacja i poszerzanie wiedzy na temat dobrowolnego osadnictwa oraz zesłań na Wschód począwszy od XVII w., aż do XX w. Powinniśmy dbać o zachowanie i przekazywanie przyszłym pokoleniom prawdy historycznej i szacunku do pamięci o ofiarach oraz miejscach martyrologii osób wywiezionych na Syberię, do Kazachstanu i innych regionów carskiej

Rosji i ZSRS. Narracja, którą się posłużymy przy budowie Muzeum będzie językową, obrazową, przestrzenną, a nawet multimedialną formą pamięci o historii i o przeszłości. Oba te rodzaje pamięci (narracja historii i narracja pamięci) kształtują bowiem tożsamość zbiorową, jak i indywidualną.

Pierwsze zesłania na ziemie rosyjskie zaczęły się już w XVII wieku lecz dopiero w XVIII i XIX w. przybrały masowy charakter. Pojęcie Sybiru bardzo gwałtownie ożyło po 17 września 1939 r., kiedy Armia Czerwona zajęła Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej. Kolejne pokolenie zetknęło się z doświadczeniem wywózek, zesłań, upodlenia. Rozpoczęły się sowieckie represje: aresztowania, deportacje, skazywanie do obozów pracy, wcielanie do Armii Czerwonej. W ciągu kilkunastu miesięcy okupacji sowieckiej doszło do czterech wielkich masowych wywózek Polaków i obywateli innych narodowości na Syberię i do Kazachstanu. W literaturze wspomnieniowej, autorzy wiernie odtwarzają tamte chwile: gwałtowne stukanie do drzwi w środku nocy, wtargnięcie uzbrojonych funkcjonariuszy NKWD i rozkaz natychmiastowego opuszczenia własnego domu. Potem była podróż do miejsca zesłania trwająca kilka tygodni. W jej trakcie osoby starsze, niemowlęta umierały z zimna, bądź z pragnienia. Od zwątpienia chroniła modlitwa i nadzieja.

Doświadczenie Sybiru odcisnęło piętno również wśród mieszkańców miasta, gdyż masowe, przymusowe przesiedlenia z lat 1940-1941 pochłonęły kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców naszego regionu. Temat ten przez wiele lat był białą plamą w polskiej historiografii i dopiero przemiany po 1989 r. pozwoliły „odkryć” – ten wcale niezapomniany – temat. W 1990 r. w Muzeum Historycznym w Białymstoku otwarto wystawę „Sybiracy”, której pokłosiem były relacje w lokalnej prasie. Siedem lat później, przy kościele pw. Ducha Świętego, odsłonięto monumentalną budowlę – Grób Nieznanego Sybiraka. Natomiast od 2001 r. w Białymstoku odbywa się co roku uroczystość patriotyczno-religijna, upamiętniająca Golgotę Wschodu – Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru. Uczestniczą w nim tysiące osób z wszystkich stron Polski i z zagranicy, dziesiątki pocztów sztandarowych, uczniowie białostockich szkół oraz szkół noszących imię Zesłańców Sybiru. Marsz jest inicjatywą Zarządu Głównego Związku Sybiraków w Warszawie. Białystok nie został wybrany przypadkowo. Jest bowiem największym miastem leżącym w obecnych granicach Polski, z którego w latach 40. wywożono obywateli polskich do ZSRS. Załadunek mieszkańców miasta i okolic następował na Dworcu Poleskim (dziś Białystok Fabryczny). I właśnie w jego pobliżu – obok istniejącej rampy kolejowej powstaje dziś Muzeum Pamięci Sybiru.

Realnym załączkiem MPS stała się jedna z sal ekspozycyjnych Muzeum Wojska w Białymstoku (dalej: MWB). We wrześniu 2010 r. otworzono wystawę „Na nieludzkiej ziemi – losy Polaków zesłanych na Sybir od XVII w do 1956 r.”. Od tamtej pory w naszym mieście zaczęto „mówić” o Sybirze. Kolejnym etapem było wydzielenie z istniejących struktur muzealnych Działu Badań Zsyłek i Deportacji, który zajmuje się pozyskiwaniem dokumentów i pamiątek oraz zbieraniem materiału wspomnieniowego i ikonograficznego dotyczącego wywózek obywateli polskich na Wschód. Budowa kolekcji syberyjskiej, w oparciu o przekazywane przez Sybiraków dary, jest w chwili obecnej naszym priorytetowym zadaniem!

Sybir upamiętniają prezentowane w MWB wystawy. Co roku – w lutym – upamiętniamy rocznicę pierwszej masowej deportacji na Syberię do Kazachstanu i w inne rejony Związku Radzieckiego. W 2011 roku na szczytowej ścianie Muzeum zawisł wielkoformatowy baner z datą „10 lutego 1940”. Rok później przygotowaliśmy wystawę czasową „Zesłańcy – Sybiracy – Deportowani”, która stała się jednym z punktów ogólnopolskiej kampanii edukacyjnej „Pamiętajmy o Sybirakach”. Do realizacji projektu budowy Muzeum Pamięci Sybiru, chcemy zaangażować również mieszkańców Białegostoku, gdyż nadal nie wszystkim jest znana historia zesłań. Do tego celu wykorzystaliśmy autobusy miejskie. Z okazji 72 rocznicy deportacji kwietniowej w kilkudziesięciu z nich przygotowaliśmy, we współpracy z KPKM, mini-ekspozycje planszowe. Przybliżyły białostoczanom tematykę Sybiru oraz zachęcały do odwiedzenia muzeum. Jednak najważniejszym wydarzeniem wystawienniczym była dla nas ekspozycja „Skazani na Sybir. Deportacje obywateli polskich na Wschód 1940-1941”, którą przygotowaliśmy w siedzibie Sejmu Rzeczypospolitej w Warszawie. Honorowy patronat nad nią objął Marszałek Sejmu. Wystawa składała się z ok. 30 kartonowych pudełek. Każdy element wystawy stanowił ilustrowaną opowieść o losach konkretnego Sybiraka.

Bardzo ważnym zadaniem jest w chwili obecnej nagrywanie Sybiraków i stąd szczególnie nacisk w naszych działaniach kładziemy na historię mówioną. Tym sposobem sięgamy do korzeni. Przecież najpierw było słowo – opowiadane, zapamiętywane, przekazywane. Dopiero w późniejszych okresach było spiswane. Bo historia to nie tylko przeszłość – to, co minęło, ale i, a może przede wszystkim, wspomnienia. Wspomnienia ludzkie, prawdziwe, nierzadko z ogromnym ładunkiem emocjonalnym. Dzięki wywiadom historia nie jest zunifikowana, nie ma jednej wersji zdarzeń. Wprost przeciwnie, dzięki temu obserwujemy różnorodność zjawisk, ludzkich doświadczeń, emocji. W ten sposób chronimy kolejne składowe pamięci przed zapomnieniem. W chwili obecnej nasze archiwum historii mówionej liczy ok. 200 nagrań, zarówno audio, jak i video. W przyszłości zostaną one wykorzystane na portalu internetowym sybir.com.pl. Jednym ze sposobów przekazywania pamięci o Sybirze są również odczyty i prelekcje związane z tematem represji sowieckich. Pracownicy Muzeum wygłaszają je zarówno dla młodzieży, jak i dla osób starszych np. dla słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

W Muzeum Pamięci Sybiru w szczególności sposób chcielibyśmy oddać hołd matkom i dzieciom wywiezionym z Podlasia. Ludzie ci często nie mieli szans powrotu do własnych domów, nie mogli zamieszkać w tym samym powiecie, z którego byli deportowani. Nie z własnej woli musieli wyjeżdżać na Ziemię Odzyskane i tam dalej się realizować. Prezentując autentyczne losy Sybiraków będziemy uczyć młodzież patriotyzmu, wierności własnemu krajowi i solidarności.

Możemy postawić sobie dziś pytanie: czy ma jakikolwiek sens przypomnienie po tylu latach o tych tragediach, które dotyczyły naszych dziadków i babci, czy mówić o tych nieszczęściach, męce, wygnaniu, nierzadko przecież śmierci... Przecież te czasy stają się coraz bardziej odległe. I kolejne wątki, które przychodzą na myśl... jak mówić o tym, że to często najbliżsi sąsiedzi pomagali funkcjonariuszom NKWD w układaniu list wywozowych? Jak pisać

o tych wydarzeniach i równocześnie nie szkodzić wzajemnym relacjom między narodami? Oczywiście jest odpowiedź, że tylko prawda może wyzwolić. Trzeba umieć mówić nawet o najtrudniejszych kwestiach, by przekazać świadectwo i prawdę. Podkreślić należy, że we wspomnieniach, czy nagrywanych przez nas wywiadach nie ma nienawiści do ludzi, do Rosjan. Wprost przeciwnie – często Polacy zawdzięczali swoje życie osiadłej na Syberii ludności. W większości opowiadań przebija tylko i wyłącznie ocena nieludzkiego systemu totalitarnego, komunistycznego. Zresztą, Polacy są chrześcijanami i może dlatego jest im łatwiej przebaczać. Należy jednakże podkreślić, iż termin „przebaczać” nie równa się słowu „zapomnieć”. Muzeum Pamięci powstaje po to, by nie zapominać...

Obawy przed zapomnieniem mieli już nawet zesłańcy dziewiętnastowieczni. Stąd często sami nawoływali do pamiętania o rodakach – męczennikach, co znalazło swoje odbicie na kartach literatury romantycznej. Utrwalali pamięć o zesłaniach w pamięci rodaków, zaś wracający z wygnania patrioci stawali się żywym symbolem polskiego buntu, powstań narodowych i niezgody na niewolę. Przed niepamięcią ratowali m.in. Agaton Giller, Jakub Gieysztor, August Kręcki, Aleksander Sochaczewski, Artur Grottger, czy Jacek Malczewski. Wspomnienia niektórych zesłańców, np. Rufina Piotrowskiego były tłumaczone na wiele języków i dzięki temu docierały do Europy Zachodniej.

W dzisiejszych czasach wielu nie chce o historii pamiętać. Słowa łacińskiej sentencji *Historia magistra vitae est* brzmią dziś pusto. Pamięć może przybierać różne formy: nienawiści, bólu, rezygnacji, ale i przebaczenia. Tylko ta ostatnia prowadzi do pojednania między narodami i warunkuje nową przyszłość. Muzeum Pamięci Sybiru nie chce jątrzyć. Będziemy dążyć do tego, by w duchu przebaczenia budować pamięć. Pamięć żywą, rozumiejącą i przebaczącą. Pamięci nie można utracić. Dobrze o tym wie naród żydowski, który stale pielęgnuje pamięć o Holokauście, stale przywołuje ją kolejnym pokoleniom.

Powstające Muzeum Pamięci Sybiru będzie doskonałym uzupełnieniem mapy muzealnej zarówno Białegostoku, jak i kraju. Na przykładzie losów mieszkańców miasta i regionu ukazywać będzie dramat wywózek, których doświadczali Polacy i inne narody tej części Europy. Poprzez swój przekaz ma przede wszystkim poszerzać i uzupełniać wiedzę na temat losów Polaków, którzy znaleźli się na terenach dawnego imperium carskiego, a potem Związku Sowieckiego od XVII w. po lata 50. XX w. To właśnie historia stanowi element tożsamości i dziedzictwa pamięci Białegostoku, a jednocześnie otwiera przestrzeń dialogu z innymi narodami współczesnej Europy. Nie możemy zapominać, że Polacy stanowili tylko ułamek w mozaice narodowościowej zesłanej na Sybir. Główny nacisk będzie położony na kwestie polskie, jednak odwoływać się będziemy do doświadczeń innych narodów Europy czy świata. Zależy nam na pokazaniu wspólnoty losów i dążeń do wolności i zachowania własnej tożsamości.

Pragniemy, by Muzeum Pamięci Sybiru zachowywało pamięć o zesłańcach i gromadziło dla następnych pokoleń pamiątki związane z pobytem na „nieludzkiej ziemi”. Będzie to miejsce, w którym każdą myślą, i każdym wspomnieniem ożywimy historie ludzkie, gdyż: „życie, które się skończyło a nie zostało zapomniane, nadal trwa”. Trwa też i pamięć, trwa dopóki będziemy przywoływać osoby, miejsca, fakty, informacje. Jako, że najlepiej znana

i udokumentowana jest historia XX w., główny trzon narracji muzealnej stanowić będzie opowieść o wywózkach z lat 1939-1956.

Według zakładanych planów, pierwsi zwiedzający przekroczą próg Muzeum w 2016 r. Ekspozycja stała zostanie ulokowana w dawnej składnicy wojskowej. Gotowa jest już koncepcja architektoniczno-budowlana wykonana pod kier. arch. inż. Jana Kabaca. Obecnie trwają prace nad aranżacją wnętrza.

Na dwóch piętrach (na powierzchni 2,5 tys. m.) pokażemy genezę (pakt Ribbentrop-Mołotow, agresja sowiecka 17 IX 1939 r.), przebieg i konsekwencje zesań dla polskich obywateli. W oddzielnej części ekspozycyjnej (w byłym schronie OPL) znajdzie swoje miejsce opowieść o zbrodni katyńskiej. Naszym zamiarem nie jest jednak budowa kolejnego muzeum martyrologicznego. Na piętrze (doświetlonym przez specjalne świetliki w dachu) odnajdziemy mniej znane wątki, czyli piękno syberyjskiej przestrzeni, zadziwiający świat flory i fauny, opowieść o ludziach i narodach Syberii. Być może mało kto dzisiaj wie, że to m.in. polscy badacze-zesłańcy popowstaniowi wnieśli olbrzymi wkład w rozwój cywilizacyjny i kulturowy Syberii. Będzie to zaskoczenie, albowiem gros ludzi kojarzy prezentowany temat, tylko i wyłącznie, z cierpieniem, głodem, męką. Muzeum powstaje m.in. po to, by pokazać Sybir, Syberię w każdym wymiarze. Nie będziemy podważać mitów i stereotypów krążących wokół tego tematu, ale opowiadać prawdziwe dzieje tych ziem, ludzi, wydarzeń. Każda historia osnuta będzie w kontekście konkretnej osoby. W ten sposób, zastąpimy klasyczną w muzeach metahistorię, narracją złożoną z opowieści wielu, pojedynczych świadków historii. Bowiem, osobiste przeżycia zwykłych ludzi, najbardziej przemawiają do zwiedzających.

Opowieść o Sybirze zakończymy modułem traktującym o pamięci. Pamięć o Sybirze po II wojnie światowej była przez dziesiątki lat przemilczana na kartach historii, a oficjalna historiografia i propaganda PRL celowo pomijała ten wątek. To tylko i wyłącznie dzięki publikacjom i wspomnieniom wydawanym na Zachodzie, przez rozproszonych po świecie Sybiraków, prawda o represjach stalinowskich mogła ujrzeć światło dzienne. Dopiero po przemianach politycznych w 1989 r. rozpoczęło się „odkrywanie Sybiru”, honorowanie Sybiraków, zaczęto wydawać wspomnienia. Należy przywrócić pamięć tym, którzy musieli znieść sowieckie represje, łagry, deportacje, głód, zimno, często bezimiennym Sybirakom, którzy zostali na „niehumanitarnej ziemi”.

Narzędzia, których użyjemy, aby pokazać całą złożoność zagadnienia, to oprócz szerokiej gamy środków multimedialnych również film, teatr, fotografia, graffiti. W tworzeniu ekspozycji chcemy wykorzystać potencjał tkwiący w naukach społecznych i szeroko rozumianych programach edukacyjnych. Taka koncepcja warunkuje realizację programów wykraczających poza działania czysto muzealne. Duży nacisk będziemy kłaść na realizację projektów o znaczeniu społecznym, skierowanych do lokalnej społeczności, otwierających naszą placówkę na wymianę z innymi organizacjami z kraju i ze świata. Oprócz działalności wystawienniczej i edukacyjnej, MPS stanie się ośrodkiem naukowo-badawczym oraz miejscem wymiany myśli, doświadczeń wszystkich narodów, które zostały naznaczone piętnem Sybiru. Wierzmy, że Muzeum Pamięci Sybiru okaże się za kilka lat niezwykle cenną dla miasta, jak i dla kraju instytucją kultury. Mamy ambicje, by przyjscie do muzeum nie było jednoraz-

zowe. Co więcej, pragniemy, by było to miejsce, w którym KAŻDY, bez różnicy na wiek, zainteresowania znajdzie coś wyjątkowego i zechce tu wrócić ponownie.

*

Już teraz zachęcamy i apelujemy o wspólną pracę na rzecz powstającego MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU! To od Was, Sybiraków – mieszkających zarówno w kraju, jak i rozsianych nie z własnej woli po całym świecie – zależy kształt i wygląd ekspozycji muzealnej. Prosimy Państwa o dzielenie się swoimi spostrzeżeniami, uwagami.

Jednak najbardziej zależy nam na Państwa świadectwach – wspomnieniach, pamiątkach, dokumentach, fotografiach z zesłań, przymusowych przesiedleń, aresztowań, pobytu w łagrach...

RAZEM zbudujemy MIEJSCE PAMIĘCI O SYBIRZE !

APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 rok, ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRS. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *niehumanitarnej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!!!**

Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku

ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok

tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl

www.sybir.com.pl

TOMASZ AUGUSTYNOWICZ

OKRĘG KOŁYMSKI

Okręg kołymski zajmuje całą północno-wschodnią część Jakucji leżącą po obu stronach kręgu polarnego na obszarze 557.859 wiorst kwadratowych. Jest to jeden z najbardziej oddalonych okręgów obwodu jakuckiego, który kończy na północy azjatycką część Rosji. Jego granice to: od zachodu okręg wierchojański, od południa okręg ochocki obwodu przymorskiego, od wschodu Góry Jabłonowe, a od północy brzegi Morza Lodowatego. Klimat jest tutaj surowy, lecz przy spokojnym stanie powietrza w okresie zimowym chłód nie szkodzi zdrowiu tubylców, którzy przywykli zakrywać otwór ustny oraz szyję długimi szalami z wiewiórczych ogonów. Bez takiej zapobiegliwości u ludzi szybko się pojawia kaszlanie krwią oraz zapalenie dróg oddechowych. Zima rozpoczyna się w drugiej połowie października, trwa ponad osiem miesięcy, a kończy 23 maja, kiedy na Kołymie topnieją lody.

Na początku i pod koniec zimy dni są bardzo krótkie (nie trwają dłużej niż pięć godzin), a w pozostałe zimowe pory nie ma dnia w ogóle, za wyjątkiem przebłysków krótkich, cichych błyskawic pomiędzy jedenastą rano a pierwszą po południu. O tej porze wychodzące zza horyzontu jasne promienie słońca tworzą wspaniałą lunę. Północne lśnienie zdarza się tutaj dość rzadko i nie jest niczym szczególnym. Ma charakter światła elektrycznego zbitego w jedną wielką masę, rosnącą bądź malejącą stopniowo i będącą w ciągłym ruchu, dopóki w końcu oderwane wybuchy światła nie skryją się za nieprzeniknioną mgłą. Czasami w marcu pojawia się blask z północy w formie pojedynczych światel rozproszonej na wielkiej przestrzeni nieboskłonu; one w tempie błyskawicy, to podnoszą się, to opadają zawsze w jednym pionowym kierunku.

W 1876 r. północnych przebłysków było bardzo mało. Lato było bardzo krótkie (dwa niepełne miesiące), licząc okres od połowy czerwca do 10 sierpnia. Przez cały ten czas słońce nie schodzi z horyzontu, a luna nie pojawia się na nim wcale. Tym samym trwa nieustannie dzień, dopóki nie zmieni go długa i skrajnie nużąca ośmiomiesięczna zimowa noc. Upał latem w stopniu swego nasilenia jest porównywalny do zimowych mrozów; jednak sądząc po wpływie jednego i drugiego na organizm żywy, różnią się one siłą swego oddziaływania. O ile tubylcy z łatwością znoszą zimowe mrozy, to letni upał skrajnie ich osłabia. Jednak jest on niczym wobec natręctwa tutejszych komarów żyjących w nizinnych, błotnistych miejscach i tworzących gęste chmury w powietrzu. Nie można się przed nimi nigdzie schronić. Szyte dla ochrony siatki zasłaniają głowę i twarz, lecz przynoszą niewielki pożytek. Ich użądlenia są do tego stopnia nieznośne, że zmuszają bydło, renifery, a także niedźwiedzie do pławienia się w wodzie lub tarzania się w po ziemi. Krwiożerczość tych owadów nie zna

granic; nierzadko zdarza się, że ofiara, nie będąc w stanie wytrzymać nienasylenia tych polarnych wampirów pada martwa od utraty dużej ilości krwi.

Niewiele dobrego można powiedzieć na temat warunków glebowych w tym kraju. Cały teren jest zajęty przez kłębiaste bagna i tundry, wśród których sporadycznie można spotkać gdzieś na wyżynach skrawki dobrej ziemi, ale też tej nieurodzajnej. Miejsca nizinne po lewej stronie Kołomy, wszystkie bez wyjątku, pokryte są tundrowymi bagnami i jeziorami. Powierzchnię grzbietów górskich porasta tylko cienka warstwa kłębiastej tundry, przez którą na zewnątrz przedostaje się woda. Od takiej gleby nie można oczekiwać obfitej roślinności; jest ona tak uboga, a na obrzeżach okręgu tak zastygła od zimna, że spotykane tam pojedyncze egzemplarze talnika nie przekraczają swą wysokością trzech werszków.

Ogólny stan tutejszej roślinności można określić kilkoma następującymi słowami: bagna porośnięte są głównie talnikiem (jodła, wierzba), małosłą brzoza oraz olchą syberyjską, pośród których skupione krzaki głogu czerwonej poręczki tworzą w niektórych miejscach gąszcz nie do przebycia. Tutaj, pomiędzy różnymi odmianami talnika, rośnie osina, topola i modrzew; ta ostatnia ma często zwiędły wygląd i nie osiągając wieku dorosłego, więdnie przed czasem. Taki los spotyka również modrzewie rosnące obficie w suchych miejscach wyżynnych, a także na grzbietach górskich, np. na grzbiecie alazejskim, gdzie przejeżdżającemu rzucają się w oczy wielkie tereny obumarłych modrzewi. Przy bliższym oglądzie okazuje się, że jest to cienki jak włos mech, pokrywający całe drzewo i zwisający z suchych gałęzi. Grzbiety górskie oraz ich odnogi ciągną się nieprzerwanym łańcuchem po prawej stronie Kołomy wzdłuż Morza Lodowego i są porośnięte tylko przez modrzewie, pomiędzy którymi na kamiennej glebie rzadko można spotkać jałowiec. Zwykła, biała brzoza w ogóle nie występuje w środkowej i północnej części okręgu; spotykana w górnych odnogach Kołomy wygląda ubogo, gdyż jej obwód wynosi 1½ werszka średnicy. W całym okręgu nie spotyka się sosny, świerku, dębu, klonu ani lipy. Tym samym do wszelkiego rodzaju budowli gospodarskich wykorzystuje się tutaj tylko modrzew. Uprawa ziemi jest całkowicie nieznaną ludności okręgu kołymskiego, ponieważ zarówno niesprzyjające warunki glebowe, jak i surowy klimat uniemożliwiły uprawę zbóż czy ogrodnictwo. Przeprowadzone w południowej części okręgu eksperymenty przekonały jakucką administrację, że wszelkie próby uprawy ziemi na tych terenach są skazane na niepowodzenie.

Pod względem topograficznym okręg kołymski dzieli się na trzy części: wyżynną (południową), środkową oraz nizinną (północną). Miasto okręgowe to Średniekołymsk, a Wyżnie i Niżniekołymsk są uważane za osady. Średniekołymsk leży pod 66 stopniem, po lewej stronie Kołomy, na terenie wyżynnym o powierzchni nie większej niż jedna wiorsta kwadratowa. Od południowego zachodu i północy jest otoczony bagnami porośniętymi talnikiem i olchą syberyjską, a czasami niewielką ilością modrzewia, pomiędzy którymi rozległe gąszcze małosłej brzozy, głogu i innych roślin krzaczastych w wielu miejscach utrudniały przejście. Miasto bez żadnego rozplanowania położone jest na nierównej powierzchni złożonej ze wzniesień i zabudowanej domami to zgrupowanymi w jednym miejscu, to stojącymi pojedynczo; wszystkie miejsca nizinne pozostają puste. Domy nie wyglądają estetycznie, zbudowane z modrzewiowych belek, nie mają ani dachów ani szklanych okien, a miejsce tych ostatnich zajmuje papier, rybia skóra lub gruby lód. Lodowe szyby

są wymieniane dwa lub trzy razy w ciągu zimy w miarę, jak się topnieją pod wpływem ciepła wydostającego się z izby.

Po środku miasta, w najwyższym miejscu, stoi drewniana cerkiew otoczona drewnianym płotem, a na przeciw niej niewielki domek parafialnego duchownego. Średniekołymsk jest na tyle osobliwym miastem, że nie ma w nim ani jednej ulicy; brak rozplanowania wziął się stąd, że każdy mieszkaniec przy pierwszych próbach zaprowadzenia gospodarstwa starał się zbudować swój dom na terenie wyżynnym, aby uchronić go od powodzi spowodowanej wylewem Kołomy. Wylewy rzeki zdarzają się każdego roku, począwszy od pęknięcia lodu na przełomie 23/24 marca. Jeśli powódź trwa dłużej (około dwóch tygodni), woda nie podchodzi tylko do cerkwi i jeszcze do dwóch domów stojących na wzniesieniach; wszystkie pozostałe zalewa, a po mieście snują się małe i większe łodzie prowadzone przez zręcznych wioślarzy Jakutów oraz kozaków.

Znamienne, że pęknięcie Kołomy każdego roku ma miejsce o tej samej porze dnia, tzn. około trzeciej po południu, dlatego mieszkańcom miasta udaje się zawsze przywitać to przebudzenie wiosny na czas, co trwa około pół godziny. Porzucają wówczas swoje codzienne zajęcia i biegną nad brzeg rzeki, aby poobserwować masy lodu tworzące z każdą minutą coraz większe góry i przewracające jedna drugą, płynąc powoli w kierunku Morza Lodowatego. W ślad za nimi suną się pojedyncze kry, oderwane od brzegów wraz ze zmarzniętą ziemią i porastającymi ją krzewinami talnika i olchy. W kolejne dni, kiedy Kołomy wystarczająco oczyści się już z lodu, bystry nurt wody pośrodku rzeki niesie z góry dużo drewna wykorzystywanego jako materiał budowlany oraz na opał, w które zaopatrują się w tym czasie tutejsi mieszkańcy. Zdobywanie tego darmowego drewna stało się swego rodzaju przemysłem. Każdy mieszkaniec posiadający łódkę płynie nią poza miasto w górę rzeki po drewno, a przywiązawszy schwyte drzewo do łódki, taszczy je pod same drzwi swego domu. Przy takich domkach nierzadko można spotkać ogromne modrzewiowe kłody o długości około 8 sążni i grubości 1 arszyna w obwodzie.

Kilka dni po pęknięciu lodu na Kołymie, jeśli tylko jej wylew nie spowoduje powodzi, wszyscy mieszkańcy Średniekołymaska wraz ze swymi rodzinami ruszają w górę i w dół rzeki, aby łowić ryby, co trwa do połowy sierpnia. Pozostawione na ten czas domy z zamkniętymi na głucho oknami oraz drzwiami zewnętrznymi przedstawiają żałosny wygląd. Wydaje się, że całe miasto wymarło z powodu jakiejś epidemii, która oszczędziła tylko psy zawodzące żałośnie na pozostałych w mieście urzędników. Lecz oprócz tego, liche to miejsce (niewarte nawet nazwy wieś) we wszystkie pory roku nosi piętno skrajnego zaniedbania; jest to głuchy kąt odizolowany od całego żywego świata, który może służyć tylko jako schronienie dla zesłanych tu przestępców.

Półow ryb jest dla mieszkańców okręgu kołymskiego tym samym, czym dla mieszkańców krajów rolniczych uprawa zbóż czy hodowla bydła. Ryba to ich główne pożywienie i jedyny pokarm psów zaprzęgowych. Niepomysłny półow niesie za sobą takie same skutki jak nieurodzaj zbóż czy pomór bydła, czyli powoduje głód. Dlatego na przemysł rybny zwraca się tutaj prawie wyłączną uwagę na niekorzyść w przemyśle ptasiego i zwierzęcego, którymi zajmuje się tu niewielu. Natomiast połowem trudnią się wszyscy bez wyjątku:

Jakuci, Jukagirzy, kozacy, mieszczenie, chłopci, a także rodziny kupieckie mieszkające w Średniekołymsku, duchowni oraz urzędnicy służący w okręgowym oddziale milicji.

Połowy odbywają się bezustannie w ciągu całego lata, ale nie zawsze w tych samych miejscach. Występowanie w określonych okresach letnich znanych gatunków ryb wypływających z Morza Lodowatego i kierujących się w górę Kołomy zmusza rybaków do każdorazowego wyboru nowego miejsca dla swoich działań i uciekania się do wymyślnych sposobów połowu. Każde takie przejście rybaków w inne, znane im miejsce pojmują jako osobny przemysł, którego liczą aż pięć, a mianowicie:

Pierwszy odbywa się na początku wiosny w dolnych dopływach Kołomy na tak zwanych połowach, tj. w miejscach na rzece, gdzie zazwyczaj wpadają do sieci nelma i czyr. Nelma waży od pięciu funtów do dwóch pudów, a czyr od pięciu do siedmiu funtów. Drugi połów zaczyna się w połowie czerwca, kiedy po wylewie wód utworzyły się już stałe granice rzeki, i trwa on do końca czerwca. Do połowu używają niewodów, którymi łowią głównie omula ważącego od trzech do pięciu funtów. Trzeci przemysł to połów moksunów. Zaczyna się na początku sierpnia i trwa do końca lata. Wykorzystuje się do niego także niewody. Moksun waży od czterech do sześciu funtów. Czwarty to połów szczokura odbywający się o każdej porze lata przy użyciu niewodu. Waga tej ryby nie przekracza dwóch funtów.

Piąty i główny przemysł to połów śledzi na początku września. Śledź w ogromnych ilościach pojawia się pod koniec maja lub na początku czerwca wypływając z Morza Lodowatego i płynie w górę Kołomy. Stąd powraca jesienią, nie zdążywszy czasami dopłynąć do Wierchniekołomska z powodu swojego bardzo wolnego tempa (około 2/3 wiorsty na dobę). Łowi się je niewodami. Śledzie są wykorzystywane nie tylko jako pokarm dla ludzi, lecz również jest jedyną karmą dla psów. Te z pierwszego połowu suszą na powietrzu i przyrządzają z nich jukołę lub juchałę; śledzie z ostatniego połowu chowają do skórzanego tumoka po 200 sztuk do każdego, przechowując je tak przez zimę. Każdy tutejszy stara się zrobić taką ilość zapasów śledzi, jaka jest potrzebna na osiem zimowych miesięcy do wykarmienia swoich psów, licząc po pięć śledzi na dobę na jednego psa. Mieszkańcy Niżniekołomska posiadają trzy razy więcej psów niż Średniekołomska i za ich pomocą wożą drwa, wodę, rybę z połowów, a poza tym przewożą towary kupieckie. Jazda psami w tutejszych miejscach jest dużo wygodniejsza niż jazda konna. Chodzi zarówno o tempo, jak i o to, że utrzymanie psów w drodze jest dużo tańsze od utrzymania koni. Psy z Niżniekołomska robią od października do pierwszego maja wraz z ładunkami ponad 3000 wiorst, podczas gdy jeden koń nie jest w stanie przebiec aż tyle w takim samym czasie. Te same psy (12) z dwoma pasażerami przebiegły bardzo swobodnie w ciągu dwóch dób 500 wiorst od Niżniekołomska do Średniekołomska, a zdarzało się, że na przejazd 250 wiorst potrzebowały tylko 19 godzin, wliczając w to czas postojów po drodze. W porze letniej także wykorzystuje się te zwierzęta do przewozu ciężarów. Powożący zaprzęga je do łodzi załadowanej rybą lub innymi towarami o wadze około 100 pudów i cztery psy ciągną je z łatwością. Na drogę lądową zaprzęgają je jak konie, zawieszając im tłumoki o wadze od 20 do 30 funtów.

Niezależnie od wspomnianych już pięciu oddzielnych przemysłów rybnych na Kołymie każdego dnia odbywają się połowy za pomocą niewodu lub sieci. Wydobywają szczupaka, okonia, czebaka, sarogę, nalima i czukuczana. Ten ostatni nie jest większy od śledzia, a dolną wargę ma jak u jesiotra. Poza tym, ryby łowi się okresowo w tak zwanych kamiennych rzekach wypływających z grzbietów górskich, wpadających do Kołymy z jej prawej strony. Tutaj łowi się moksuny, jesiotry (waga od pięciu do 35 funtów). Do połowu wykorzystują sieci i tak zwane zajezdki, do których wkładają mereżki (rodzaj sieci utkanej z konopi), jakimi łowią czyra oraz inną drobną rybę.

Jesienny połów ryb na Kołymie rozpoczyna się około 21 lub 22 września, kiedy rzeka już nie płynie. Polega to na tym, że w niektórych miejscach w poprzek rzeki, na niewielkiej odległości od siebie, wbijają przez lód w dno, możliwie najgęściej, młode modrzewie albo talnik (jedno obok drugiego), pozostawiając na ważnych odcinkach otwory. Nazywają je wrotami, w których umieszczają owe mereżki. W ten sposób łowi się białe ryby, takie jak nelma, czyr, omuł i moksun; połów odbywa się w określonym czasie, dlatego że od ósmego września ryba zaczyna powracać z górnych koryt rzeki w dół, a niektóre gatunki ryb płyną do morza, inne zaś pozostają w głębinach rzek. Ryba z tego połowu nigdy nie jest tłusta, dlatego wykorzystuje się ją głównie jako stroganinę. Jest to zamrażnięta ryba oczyszczona z łusek i pokrojona wzdłuż na cienkie kawałki. Służy nie tylko jako przekąska, lecz także jako poczęstunek dla gości po wieczornej herbacie w domach bogatszych Jakutów. Bywa też jedynym prawie pokarmem na zimę dla biednego Jakuta. W tym samym czasie na Kołymie odbywa się połów nalima. Ryba ta jest długa na ponad półtora arszyna i znana ze swojej tłustej i smacznej wątróbki nazywanej maks. Skórę nalima wstawia się do okien zamiast szkła; Jukagirzy robią z niej woreczki. Istnieje jeszcze jeden sposób połowu nazywany toras. Jest to rodzaj wielkiego skupiska lodu płynącego pod naporem silnego nurtu rzeki. Na jego obrzeżach rybacy wypatrują spokojnych miejsc wskazujących na głębokość rzeki i tam zarzucają swoje sieci. Trwa to około tygodnia.

Chociaż połów ryb całkowicie pokrywa zapotrzebowanie mieszkańców okręgu kołymskiego na żywność, to jednak także łowiectwo odgrywa tutaj dość ważną rolę. Polowanie na ptaki odbywa się o konkretnych porach roku, w terminach ich przelotów – wiosną i jesienią, a także latem w okresie linienia, kiedy tracą opierzenie i nie mogą latać, gromadzą się w duże stada i osiadają na niektórych jeziorach. Wiosenny przelot ptaków w okręgu kołymskim ma miejsce pod koniec kwietnia i w tym czasie trzymają się one brzegów rzeki, a latem rozpraszają po jeziorach i bagnach. Pierwsze przylatują tutaj łabędzie (czasami około 18 kwietnia), po nich gęsi i kaczki, a z nimi czajki, kuliki, bekasy i inne. Na wszystkie te ptaki w okresie ich przelotów poluje się przy pomocy strzelby. Polowanie na łabędzie, kaczki i gęsi odbywa się latem, kiedy ptaki te linieją. Wtedy jednego lata zabija się dziesiątki tysięcy kaczek i gęsi, tak jak to bardzo często bywa w niektórych szczególnych miejscach, do jakich należy jezioro Driachata, gdzie w okresie polowania w ciągu trzech dób zabija się około 40 tysięcy kaczek.

Najwcześniej linieją gęsi, które z jakiegoś powodu pozbyły się swoich jaj. Jest ich tutaj bardzo dużo z takiej przyczyny, że w pewnych miejscach,

a szczególnie koło Niżniekołomska, tubylcy zajmują się wyszukiwaniem ptasich gniazd, z których wyjmują jaja, aby wykorzystać je jako pożywienie dla siebie, a także w celach handlowych. Jaja zebrane późną wiosną są już zleżałe i nie nadają się do spożycia i dlatego się je wyrzuca. Widząc to obwodowa administracja jakucka, kazała kołowskiemu okręgowemu oddziałowi policji tropić niszczycieli gniazd i nakładać na nich kary; jednakże wszelkie próby wyeliminowania tych szkodliwych praktyk kończą się niepowodzeniem, ponieważ starostowie i „plemienni, którym nakazano się tym zająć, nie uważają niszczenia ptasich jaj za coś złego i tym samym sprzyjają tym złym postępkom”. Linienie gęsi rozpoczyna się 29 czerwca i w tym czasie zaczyna się sezon polowań, w których miejscowi biorą udział całymi rodzinami w swoich łodziach i wietkach; lepsze są te pierwsze, ponieważ można je łatwo przemieszczać po suchym terenie, gdy trzeba przejść od jednego jeziora do drugiego. Wyruszając na łowy, wiozą w łodziach także tresowane psy. Nie zabierają ze sobą broni palnej, gdyż są przekonani, że w następnym roku gęsi nie zatrzymałyby się nad jeziorem, gdzie słyszały wystrzały. Dlatego myśliwi uzbrajają się tylko w łuki oraz w pały o długości dwóch arszynów i grubości palca. Na końcu pałki znajduje się główka z wetkniętym w nią ostrzem, poniżej którego w drzewo są wsadzone trzy żelazne zębki mające formę półstrzały o długości trzech werszków. Pałkę tę celują w gęś z taką zręcznością, że zabijają ją na miejscu, choć płynie ona w dość dużej odległości.

Łowy na leniące się gęsi są organizowane w następujący sposób. Gromadzi się jak najwięcej ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. Wybierają doświadczonego i dobrze znającego miejsce przewodnika, którego zadaniem jest wyszukiwanie na jeziorach leniących się gęsi. W tym czasie, kiedy ludzie penetrują jeziora na odległości 10 czy 15 wiorst, pozostali myśliwi w punkcie zbiorczym przestrzegają ciszy oraz zawiązują psom pyski, aby nie zakłócały ciszy szczekaniem. Zabronione jest palenie tytoniu i zapalanie ognisk. Po wypatrzeniu gęsi kierujący polowaniem dzieli myśliwych albo na grupy, albo pojedynczo i wskazuje kierunek, w jakim powinni się udać do jeziora przy zachowaniu całkowitej ostrożności. Do tego ataku wybiera się zazwyczaj późną porę. Nikt nie ma odwagi podejść do brzegu jeziora przed umówionym sygnałem dawanym przez samego kierownika; sygnał ten polega na kilkukrotnych poświstywaniach naśladujących odgłosy wydawane przez łabędzie. Wtedy wszyscy myśliwi otaczają jezioro i żeby przeszkodzić ucieczce gęsi, które po przybyciu ludzi rozpierzchają się po całym jeziorze, zaczynają biegać wokół niego z krzykiem, do czego najbardziej przydają się dzieci. Jednocześnie wypuszczają na brzegi jezior psy, które swoim szczekaniem straszą gęsi, zmuszając je tym samym do oderwania się od brzegów i osiedlenia na środku jeziora. W taki sposób czatują na nie do tej pory, dopóki się nie uspokoją i nie zgromadzą w jednym miejscu, na co potrzeba czasami więcej niż doby. W tym czasie organizują dla nich pułapkę w następujący sposób.

Na samym skraju jeziora, w znanym miejscu, wbijają dwa kołki na odległość od pięciu lub sześciu kroków i od nich zaczynają prowadzić z brzegu w otwarte miejsce dwa płoty z talnika w formie schodzących się boków trójkąta. Mają one długość od 30 do 60 sążni. W miejscu, gdzie kończą się płoty, pomiędzy którymi pozostaje tylko wąskie przejście, z wysokiego bierwiona robi

się wysoki próg, za którym ustawiają pułapkę przylegającą ciasno zarówno do niego, jak i do końcowej części płotu. Jest to czworokątny plac ogrodzony wysokim talnikiem, plecionym w poprzek tak ciasno, że gęsi nie mogą przecisnąć przez nie swojej głowy. Na wybudowanym progu kładą długie gałązki talnika zwrócone czubkami do matni. Są one tak ułożone, że ich gałęzie, wystające za próg, zawsze są zwrócone do góry i nie mogą utrzymać ciężaru ptaka, który po wstąpieniu na nie wpada do środka. Po zakończeniu tej budowy starają się zapędzić do pułapki wszystkie gęsi, zabierając się do tego z dużą ostrożnością, a szczególnie nie spiesząc się i dając im czas na wędrówki po jeziorze. Wtedy część myśliwych oraz dzieci ustawia się w znanych punktach wokół jeziora, aby zapobiec ucieczce gęsi, a czasami z braku ludzi zasilają swój patrol strachami, rozwieszając na kijach odzież wierzchnią. Druga grupa łowców uzbrojonych w pałki ukrywa się na zewnątrz i oczekuje napływu gęsi. Pozostali kierują się na przeciwległy brzeg matni i stąd na swoich łódkach płyną najpierw bardzo powoli na środek jeziora, starając się skupić w jedną grupę rozproszone gęsi, a potem zaczynają gnać je w kierunku matni, pokrzykując od czasu do czasu: haj, haj, haj. Gęsi, które dopłynęły do przodu i zobaczyły wyjście pomiędzy dwoma płotami, szybko płyną w kierunku pułapki, a w tym czasie ukryci za płotami stróże, zagradzając im drogę powrotną do jeziora, zabijają je kijami. Takie polowanie dostarcza myśliwym średnio około 1500 sztuk gęsi, które dzielą między sobą (nie wyłączając dzieci) na równe części. Gęsi hodujące pisklęta zaczynają linieć w drugiej połowie lipca lub na początku sierpnia i wraz ze swoim potomstwem odlatują. Polowanie na leniące się kaczki wygląda podobnie, z tą tylko różnicą, że po pierwsze, zamiast dwóch parkanów używa się sieci rozciągniętych na palach, a po drugie, do otoczenia brzegów jeziora potrzeba mniej ludzi, ponieważ kaczki nie są na tyle odważne, aby szukać wyjścia, lecz stale trzymają się środka jeziora.

Linienie łabędzi rozpoczyna się 15 lipca. Łabędzie morskie tracą opienie na morzu, gromadząc się w wielkie staje, a górskie – na jeziorach po kilka par razem – od pięciu do dziesięciu. Polowanie na łabędzie górskie odbywa się bez jakiegoś szczególnego sposobu, a łowi się je pojedynczo w następujący sposób. Trzech albo czterech myśliwych spotyka się razem – każdy na swojej łódce i starają się oni otoczyć pływającego łabędzia, który uciekając, zaczyna od czasu do czasu nurkować, zanurzając tylko głowę i szyję, a pozostawiając na powierzchni wody tułów. Myśliwi wykorzystują ten moment, starając się przewrócić łabędzia brzuchem do góry i chwytają go za nogę i za skrzydło, po czym zabijają kijem. Jeśli przewróconemu łabędziowi długo nie uda się powrócić do poprzedniej pozycji, to, aby nie tracić czasu, zostawiają go niedobitego i szybko płyną za pozostałymi. Łabędzie przewracają na plecy dlatego, że po podpłynięciu do niego łódką, może on przewrócić ją skrzydłami i zatopić myśliwego. Jeśli łabędziowi uda się umknąć z jeziora na brzeg, to wtedy łatwo go schwytać, ponieważ nie biegnie tak szybko jak gęś, a w pierwszej wysokiej trawie chowa swoją głowę, czując się bezpiecznie. Często się zdarza, że pies wytropi tak ukrytego łabędzia i odgryza mu ogon do krwi, lecz ten się nawet nie poruszy w nadziei, że oprawca uzna go za martwego i pozostawi w spokoju. Łabędzie pozostawiają swoje pisklęta na tak

zwanych głuchych jeziorach, które nie są połączone z innymi za pośrednictwem potoku. Przecina im się przeponki na nogach oraz podcina skrzydła, pozostawiając je po takiej operacji bez żadnego nadzoru do pierwszych dni września. Tutaj rosną i się tuczą. Nikt z Jakutów, który znajdzie się na takim jeziorze nie zabiera ich, uznając je za cudzą własność, dopóki nie przyjdzie myśliwy i nie urządzi na nie polowania. Przychodzi mu to bardzo łatwo, ponieważ łabędzie nie uciekają z jeziora na brzeg i nie trzeba tracić czasu na wyszukiwanie ich w trawach, a w czasie łowów na jeziorze nie ma konieczności przewracania ich na plecy, ponieważ podcięte skrzydła nie mogą przewrócić łodzi myśliwego. Poza tymi sposobami łowów jest jeszcze jeden praktykowany tylko przez Tunguzów w tundrach, a mianowicie polowanie na białe gęsi.

Rybołówstwo, jak wspomniano już wcześniej, całkowicie zaspokaja zapotrzebowanie na żywność tutejszej ludności, a jeśli niektórzy polują na dzikie renifery, łosie i zające, które w określonych porach zapewniają wyżywienie ich rodzinom, to robią to bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Tylko połów zwierząt futerkowych stanowi osobny przemysł zapewniający środki do życia Tunguzom, Lamutom, a czasami także Jakutom, którzy poprzez wymianę futer kupują sobie żywność oraz inne niezbędne w gospodarstwie domowym przedmioty. Poluje się także na niedźwiedzie, ale tylko po to, by pokazać swą zuchowatość, walcząc jeden na jednego; specjalnych polowań na tego zwierza się nie urządza, dlatego, że nie przynoszą one myśliwym wielkiego pożytku, a poza tym jest go tutaj mniej niż w sąsiednim okręgu wierchojańskim.

Tutejsza fauna polarna obejmuje niewielką ilość gatunków, które można podzielić na dwie grupy: pierwsza to dziki renifer, łoś i zając, a do drugiej należy: gronostaj, lis, wiewiórka, piesiec, wilk i niedźwiedź. Łoś żyje w odosobnieniu na prawym brzegu Kołomy w wąwozach pomiędzy grzbieciami gór, a także na wyspach tej rzeki. Wiosną, poczynając od ostatnich dni marca do 15 kwietnia, poluje się na łosie na nartach, zabijając je za pomocą strzelb i łuków. Zamroz to także stan śniegu, kiedy wiosną w czasie przymrozków pokrywa się on twardą skorupą, która utrzymuje na swojej powierzchni myśliwego na nartach oraz psa gończego. Łoś prawie na każdym kroku przebija tę skorupę i zapadając się w śnieg staje się łatwym łupem myśliwego. Jesienią na ścieżkach, którymi chodzą łosie, ustawiają łuki, szczują je psami, kiedy wybierają się na polowanie pieszo. Zdarza się, że ubijają łosia latem, kiedy ten, chcąc uchronić się od komarów, przepływa rzekę z jednego brzegu na drugi. Wtedy myśliwy podpływa łodzią, chwytą go za rogi i zabija nożem. Najczęściej przepływa on rzekę jesienią, poszukując swojej samicy, z którą żyje w stałej rozłące. Mięso łosia jest dość smaczne, lecz twarde; najcenniejsze są wargi, będące smacznym daniem, którym częstują najważniejszych gości. Renifery żyją w całej północnej części okręgu jakuckiego, jednak częściej można go spotkać w dolnych biegach Kołomy aniżeli w innych miejscach. Poluje się na nie o każdej porze roku. Wiosną biegają po zamrożonym śniegu, latem zastawia się na nie łuki i pętle, a zimą tylko łuki.

Renifer domowy w odróżnieniu od dzikiego nazywany jest tabą; jest mniejszy, a kolor jego sierści bywa różny. Nie wszyscy mieszkańcy okręgu kołomyjskiego hodują renifery, ponieważ nie wszędzie rośnie mech, którym się

żywią. W północnych i w północno-wschodnich częściach okręgu, gdzie mech występuje nadzwyczaj obficie w rozległych tundrach, koczujący tam Czukczowie i Tunguzi mają wielkie stada, podczas gdy Jakuci, żyjący stale na innych terenach, trzymają zaledwie po kilkadziesiąt sztuk ze względu na brak pożywienia. Mieszkańcy Średniekołymaska i okolic w ogóle nie hodują reniferów, a zamiast nich trzymają psy i konie. Nabywają je u Czukczów i Tunguzów, którzy sprowadzili z tajgi niewielkie stada i zatrzymują się na Kołymie, 10 wiorst od miasta, gdzie sprzedają renifery sztukami, zabijając je na miejscu ze wstępnym uzgodnieniem ceny. Za jednego płacą od czterech do dziesięciu rubli. Wszyscy już wiedzą, jaki pożytek czerpią miejscowi z hodowanych reniferów: dostarczają one pożywnego mięsa, tłuszczu służącego do oświetlania oraz skór do szycia odzieży. Skóry tych zwierząt służą także jako pościel oraz są wykorzystywane przez Lamutów oraz Czukczów do obszywania na zewnątrz ich urasów. Poza tym wyrabia się z nich rowdugę, która niczym nie ustępuje rosyjskiemu zamszowi.

Lisy żyją po obu stronach Kołymy. Polowania na nie urządza w się w różny sposób: to szczują psami, to ustawiają łuki na ścieżkach, którymi lisy biegają w poszukiwaniu pożywienia; pułapki robią z modrzewia, umieszczając w nich jako przynętę rybę bądź ptaka. Zasadzki te ustawiają na małych rzeczках i potokach, a jeden myśliwy stawia takich około 200 sztuk na odległości 300 wiorst. Oglądają je po kolei dwa lub trzy razy w trakcie całego polowania; ostatecznie trują lisy chlorkiem rtęci. Taki sposób polowania można tutaj spotkać jednak bardzo rzadko.

Piesiec mieszka w wielkiej tundrze przyległej do Morza Lodowatego. Wiosną robi sobie nory, w których hoduje małe i ukrywa się przed niesprzyjającą pogodą. Na pieśca polują tylko Tunguzi, szczując je zimą psami. Latem i jesienią wykopują szczeniaki z nor i polują na młode.

Wiewiórka ciemno-szara żyje w lasach porastających grzbiety gór na prawym brzegu Kołymy. Żywi się różnymi jagodami, zwłaszcza borówkami oraz ziarnami szyszek modrzewiowych, czasami też orzeszkami czy rosnącym tutaj grzybem surojadką. Część zebranych latem zapasów przechowuje w gniazdach, które wije sobie na wysokich, modrzewiowych drzewach. Na zwierzę to polują Lamuci, Jukagirzy, a czasami Jakuci, strzelając do nich niewielkimi kulami ze strzelby i zawsze starają się trafić w głowę zwierzęcia, aby nie uszkodzić skóry. Futro tutejszych wiewiórek jest puszyste i ciemne; ich cena wzrosła w poprzednich latach, ponieważ za jedną skórę płaci się teraz od 15 do 16 kopiejek, a nie jak dawniej – 10.

Gronostaj jest hodowany w całym okręgu kołymskim i mieszka w odosobnieniu, w norach: latem – w ziemi, zimą – pod śniegiem. Poza tym ryje sobie nory pod jurtami, skąd nocą skrada się do środka, gdzie myszkuje po wszystkich kątach w poszukiwaniu jedzenia. Jest to bardzo śmiałe i zwinne zwierzątko. Często też niszczy sianie pozostawione przez przyjezdnych na dworze koło powarni w lesie, rozrzuca gryzie wszelki znajdujący się w nich dobytek w poszukiwaniu pożywienia. Gronostaje nie trzymają się jednego miejsca, a przechodzą z jednej strony Kołymy na drugą, przeprowadzając się nie tylko zimą, ale i latem. Niebezpiecznie spotkać się z gronostajem na rzece, a jeszcze niebezpieczniej próbować go ubić wiosłem: w jedną sekundę znajdzie się na nim, prześliznie pod rękaw i zacznie niemilosiernie kąsać. Ból zmusza

człowieka do gwałtownych ruchów, przez co łódź może się przewrócić, a człowiek nie mogąc się uwolnić od tego zwierzęcia, może utonąć. Na gronostaje polują tylko zimą, wykorzystując do tego czerkany, które stawiają koło nor. Ich futro nie jest drogie: jedna sztuka kosztuje od 10 do 15 kopejek.

Niedźwiedź jest niewysokiego wzrostu, ma krótkie nogi, długi tułów i jest prawie czarny. Występuje w całym okręgu kołymskim, częściej jednak można go spotkać na prawym brzegu Kołymy, pomiędzy grzbietami gór, gdzie buduje dla siebie legowisko na całą zimę. Przy niechcianym spotkaniu z człowiekiem rzadko kiedy go atakuje, oddalając się w las; za to często napada na bydło domowe. Żywi się głównie jagodami i rybą, którą wydobywa z niewielkich rzeczek i potoków, wykorzystując do połowu następujący sposób. Znajdując w potoku wygodne miejsce z dość szybkim nurtem, kopie w nim niewielki dołek, w którym zanurza obie przednie łapy, składając jedną w drugą w taki sposób, jak człowiek składa ręce do mycia twarzy, odwróciwszy je dłońmi do góry. Swoją zdobycz niedźwiedź natychmiast zjada, po czym ponawia łowy, spędzając w ten sposób kilka godzin z rzędu. Nie zadowolając się jednak tylko tym łupem, kradnie ryby z tak zwanych „mord”, które rybacy ustawiają w potokach. Wyszukawszy ją, niedźwiedź wyciąga z wody i wysypuje na brzeg ryby, po czym odstawia z powrotem na miejsce. Nie potrafi jednak ustawić jej tak, jak należy i po tym można poznać, że miała miejsce kradzież. Nie organizuje się osobnych polowań na niedźwiedzie, dlatego że jest ich tutaj niewiele, a poza tym nie czynią one wielkich szkód mieszkańcom. Zabija się je czasami w legowisku, kiedy zostaną wykryte podczas polowania na lisy; wtedy zbiera się kilka osób i razem starają się rozbudzić zwierza, szturchając go długimi kijami przez otwór w śniegu nad legowiskiem. Rozzłoszczony i przestraszony niedźwiedź wyskakuje z zamiarem napaści na swoich prześladowców, ale w tym czasie jeden z myśliwych posyła mu strzałę lub razi go strzelbą. Najczęściej łowy odbywają się jeden na jednego, a polowanie bywa niebezpieczne tylko wtedy, gdy niedźwiedź wpadnie w złość od zadanej mu lekkiej rany, co zdarza się bardzo rzadko, ponieważ tutejsi myśliwi przy swojej zręczności, śmiałości i opanowaniu robią tak celne wystrzały, że zwierzę od razu pada martwe. Nie mniej skuteczne bywają uderzenia zadawane ostrym żelazem podobnym do oszczepu. Mięso niedźwiedzie jedzą tylko mieszkańcy Kamczatki, a ci wykorzystują jedynie tłuszcz i żółć jako lekarstwo na przeziębienia. Skóra niedźwiedzia kosztuje od czterech do sześciu rubli.

Wilk żyje tylko nad brzegami Morza Lodowatego, skąd przypadkowo trafia także do środkowej części okręgu kołymskiego. W wielkich tundrach oraz w miejscach położonych tam, gdzie Kołyma wpada do morza, wilki chodzą niewielkimi stadami (po pięć lub sześć sztuk), atakując stada domowych reniferów, powodują w nich duże spustoszenie. Krwiożerczość tych zwierząt jest tak wielka, że nie poprzestają tylko na zaspokojeniu głodu, lecz duszą renifery dziesiątkami jednego za drugim, wiele kaleczą, wygryzając im kawałki mięsa i rozpędzają całe stada na wszystkie strony ogromnej tundry. Takie napady polarnych wilków przynoszą ogromne szkody dobytkowi Tunguzów i Czuczów, których całe bogactwo stanowią reniferowe stada. Ludność okręgu kołymskiego, w porównaniu z jego przestrzenią, jest do tego stopnia nieliczna, że na 105 wiorst kwadratowych przypada jeden człowiek. Skład narodowościowy to: Jakuci, Czuczki, Czuwasze, Lamuci, Julagirzy, Omocy i Rosjanie. Ci ostatni to stanicowi kozacy,

mieszczanie, chłopci oraz kilka rodzin kupieckich i niewielka liczba zesańców na mocy ukazu administracyjnego. Kozacy należą do warstwy, która znajduje się w sytuacji szczególnej; wszyscy bez wyjątku po osiągnięciu określonego wzrostu idą na służbę do Jakuckiego Pułku Kozackiego, stacjonującego w Jakucku. Z tutejszych Kozaków uformowano miejscową drużynę kozacką, do której obowiązków należy: ochrona punktów skupu zboża, cekhauzów i prochowoni, także nocny patrol w mieście. Poza tym, w charakterze listonoszy przewożą pocztę ze Średniekołymska do Jakucka i odwrotnie; są wyznaczani jako przewodnicy dla urzędników przydzielanych na służbę do okręgu kołymskiego na ich przejazd pomiędzy Średniekołymskiem a Jakuckiem, a w końcu znaczna liczba kozaków jest delegowana do twierdzy aniujskiej (ponad 700 wiorst za Średniekołymskiem) celem utrzymania porządku podczas jarmarku czukockiego. Za służbę otrzymują od rządu płace oraz racje żywnościowe.¹

Tutejsi mieszczanie oraz chłopci mieszkają w Średniekołymsku, osadach i wsiach, lecz niektórzy z nich znaleźli gdziekolwiek miejsce sprzyjające rybołówstwu oraz hodowli bydła, osiedlają się całymi rodzinami w tak zwanych zaimkach. Ich właścicielami są bogaci ostatni osadnicy rosyjscy, będący jednocześnie właścicielami stacji pocztowych. Ze stanu kupieckiego w całym okręgu kołymskim żyją nie więcej niż trzy-cztery rodziny, które zimą mieszkają w Średniekołymsku, a latem w pobliżu miasta w osadach, gdzie zajmują się rybołówstwem. Trzeba oddać sprawiedliwość tutejszym kupcom, że swoją sumiennością potrafili zdobyć całkowite zaufanie tubylców, a udzielając stałej zapomogi ubogim Jakutom, zorganizowali tutejszy handel wymienny tak, że wcale nie przypomina on stosunków kupieckich, a bardziej przyjacielskie, a nawet rodzinne.

Tubylcze plemiona okręgu kołymskiego dzielą się na dwie grupy: osiadli (Jakuci, Jukagirzy, Czuwańcy, Omokowie) i koczujący (Tunguzi, Lamuci, Czucze). O Jakutach, jako dominującym plemieniu w obwodzie jakuckim, opowiedziałem już wyżej przy opisie Jakucka, jego stosunków handlowych, przemysłowych, administracyjnych itd. Jest ich ponad 3000 osób obydwu płci przynależących do 10 różnych rodów. Starsi rodem nazywają się rodowiczami i są wybierani każdego roku w obcoplemiennym urzędzie. Osady Jakutów nazwane „naslegami” są położone na tych terenach, gdzie znajdują się pastwiska do wypasu bydła i koni, a mianowicie po lewej stronie Kołymy.

Tutejsi Jakuci są nadzwyczaj gościnni. Każdego przyjeźdnego przyjmują z nieudawaną szczerością czym chata bogata i przy rozstaniu obdarowują go pożywieniem, nie żądając za to żadnego wynagrodzenia. Odmowę przyjęcia ich podarków uważają za obrazę, a darowany im prezent pamiętają bardzo długo. Przy tym są bardzo poczciwi i usłużni, nieskorzy do obłudy, jednak skryci i nieufni. Nigdy nie dochodzi między nimi do poważnych kłótni. Nie słyszałem także o przestępstwach. Wszystko to przemawia na korzyść niezepsutej jeszcze moralności tutejszych Jakutów, którą nie mogą się pochwalić ich współplemieńcy, mieszkający po sąsiedzku w mieście obwodowym. Tutejszym Jakutom można zarzucić lenistwo i skrajne niedbalstwo we wszystkim. Ta ostatnia cecha naraża

¹ Składa się ona z 1½ puda mąki żytniej oraz ½ puda kaszy jęczmiennej bądź gryczanej.

ich na liczne niebezpieczne przypadki kończące się czasami śmiercią, do której mają jednak obojętny stosunek. Do tej charakterystyki Jakutów trzeba jeszcze dodać, że niektórzy z nich mający stałe miejsce zamieszkania, zaczęli w wielu dziedzinach naśladować Rosjan. Wszyscy Jakuci są wyznania prawosławnego.

Jukagirzy dzielą się na kilka odrębnych rodów; nie jest to plemię niezależne, które już dawno zatraciło swój język z wyjątkiem jednego rodu jukagirskiego; pozostałe rody przyswoiły sobie język tunguski. Wszyscy członkowie znają rosyjski, a niektórzy potrafią nawet czytać i pisać w tym języku. Umiejętność tę zaszczeplił im 80 lat temu Jukagir Wostriakow, który kształcił się w Niżniekołymsku. Dawniej to koczujące plemię zasiedlało tylko górne dopływy Kołymy, potem część z nich oddaliła się z tych terenów w dół rzeki na skutek epidemii ospy. Doszedłszy do jej ujścia koło Gór Sucharnieńskich, przenieśli się na najbliższe wyspy Morza Lodowatego, gdzie się w końcu osiedlili. Inna część Jukagirów skierowała się do tundry i tam została przemieszana z Tunguzami. Jeśli chodzi o umiejętności umysłowe, to stoją oni na dużo wyższym poziomie od Tunguzów, od których różnią się także dbałością o higienę, wesołym usposobieniem i pracowitością.

Jukagirzy są średniego wzrostu, szczupli oraz ruchliwi. Na ich fizjonomiach nie widać żadnego śladu typu mongolskiego, ale za to mieszkankę rasy obcoplemiennej i rosyjskiej. Mają pociągłe twarze z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi; oczy, w porównaniu z innymi plemięciami, dość duże, o spokojnym, pokornym wejrzeniu zwłaszcza u kobiet; nos długi, cienki, u niektórych garbaty, z wypukłymi nozdrzami, czoło dość wysokie, włosy ciemnon Blond, u niektórych tylko czarne, sztywne; zdarza się spotkać mężczyzn i kobiety o kolorze włosów jasno-blond. Policzki, wąsy i podbródek u mężczyzn nie są gęsto zarosnięte. Kobiety są wzrostu średniego, dość zgrabne. Jukagirzy nie mają swego narodowego stroju; noszą rosyjską kamizelkę, półkaftan szyty z rowdugi i podbity zajęczym futrem, inni noszą jakucką odzież, a ci żyjący wśród Tunguzów – tunguską. Jesienią i zimą mieszkają w niewielkich domach podobnych do jakuckich jurt, a latem przemieszczają się w inne miejsca w celu połowu ryb. Budują szybko z długich patyków stożkowate urasy, które są dużo wyższe, pojemniejsze i schludniejsze od tunguskich, przy tym niewypełnione dymem dlatego, że nie palą oni w środku ognisk, a jedzenie przygotowują na otwartym powietrzu. Na pożywienie składa się przede wszystkim ryba, a tylko sporadycznie polują na kaczki czy dzikie renifery i łosie. Główne zajęcie Jukagirów to rybołówstwo oraz polowanie na lisy za pomocą sideł. Poza tym polują także na wiewiórki. Strzelają bardzo celnie i z wielkim wyczuciem kładą odpowiednią ilość prochu do strzelby, zatem kula zawsze pozostaje w zwierzęciu, nie przesywając go na wylot. Dwie albo trzy takie drobne kule wystarczą im, aby polować z nimi przez całą zimę i zabić kilkaset wiewiórek.

Jukagirzy są ogólnie uczciwi, pokorni oraz wesołego usposobienia. Bardzo lubią tańczyć; latem urządzają codziennie tańce, koło swoich domostw, gdzie pod odkrytym niebem spędzają większą część nocy, która na tych terenach niczym się nie różni od dnia. Muzykę tworzy wesoły śpiew kilku młodych mężczyzn oraz kobiet. Jukagirzy wyznają prawosławie, choć można wśród nich spotkać szamanów zwanych znatokami, którzy potajemnie praktykują swoje obrzędy. Śluby zawierają według obrządku prawosławnego, lecz tak jak w innych plemionach żony zdobywają po obustronnym porozumieniu się rodziców narzeczonego i narzeczonej. Zmarłych chowają w grobach. Jeśli chodzi o zabobony, to Jukagi-

rzy wierzą we wróżby. Przykładowo, z przejściowych i przypadkowych zachowań, takich jak skurcz w nodze, dzwonienie w uszach, ziewanie, migrena itp. przepowiadają sobie przyszłość, złe czy dobre, powodzenie albo klęskę w swoich przedsięwzięciach związanych z tym, czym się zajmują.

Czuwańcy zamieszkują dolną część okręgu kołymskiego; liczą około 250 osób. Z tej liczby kilka prowadzi osiadły tryb życia w Niżniekołymsku, gdzie zajmują się rybołówstwem i przemysłem zwierzęcym. Czuwańcy są powyżej średniego wzrostu, dobrze zbudowani; ich pociągła twarz rysami przypomina Czuczów, nie noszą zarostu jak inni plemięcy; włosy mają czarne i sztywne. Noszą odzież kroju jakuckiego. Stylem życia niczym się nie różnią od osadników. Stale mówią po rosyjsku, chociaż posiadają własny język. Mieszkają w jurtach. Wyznają prawosławie. Ich zdolności umysłowe są dość rozwinięte; są pracowici, pokorni i uczciwi; szczególnych cech plemiennych, które wyróżniałyby Czuwanców wyraźnie od tutejszych plemion, nie zauważa się, ponieważ odchodzą daleko od swojego prototypu.

Pierwszy, drugi i trzeci ród jukagirski (200 osób obydwu płci) to w obecnym okręgu kołymskim potomkowie liczne go niegdyś plemienia Omoków. Ich etnogeneza sięga jeszcze epoki kamienia, tych prastarych czasów, kiedy nieznaną była obróbka metalu, a wszystkie przedmioty codziennego użytku wykonywano z kamienia. Znajdowane przez ludność tubylczą od czasu do czasu po obu stronach Kołymy, w tundrze oraz w górskich masywach różnej wielkości kamienne topory świadczą o tym, jak stare jest to plemię, które obecnie dożywa ostatnich dni swego istnienia. Egzystująca do tej pory niewielka liczba Omoków zachowała właściwie tylko swą nazwę, gdyż ostatecznie złąła się z osadnikami rosyjskimi, przyswoiwszy sobie język rosyjski, krój odzieży, religię chrześcijańską, a częściowo także styl życia i tylko takie cechy, jak zręczność, pracowitość oraz uczciwość odróżniają ich od tutejszych osadników rosyjskich.

Tunguzi są dość liczny m plemieniem rozproszonym po całym obwodzie jakuckim. Według ostatniego, dziesiątego spisu liczą 11 000 osób, których najwięcej żyje w okręgu jakuckim, a najmniej w kołymskim. Tunguzi dzielą się na koczujących i włóczęgów. Są to osobnicy wzrostu średniego, dobrze zbudowani, jednak bardzo leniwi, niechlujni i niezręczni. Reprezentują typ mongolski, niezbyt urodziwy. Twarz mają szeroką, z wystającymi kośćmi policzkowymi, nos lekko zadarty, wąskie usta, niskie czoło, dość wypukłe, włosy czarne, sztywne; mężczyźni strzygą je naokoło, a kobiety zaplatają w warkocz. Mężczyźni nie noszą zarostu na twarzy. Tunguskie kobiety są wzrostu poniżej średniego, niezbyt urodziwe i zaniedbane. Swoje dzieci wychowują niedbale i od najmłodszych lat przyzwyczajają do zimna, pozostawiając prawie nagie zimą koło swych urasów, bez żadnej opieki, gdzie przez dwie albo trzy godziny bawią się na mrozie z dziećmi z sąsiedztwa. Odzież ich jest taka sama u mężczyzn jak u kobiet.

Tunguzi prowadzą koczowniczy tryb życia i mieszkają w zbudowanych na krótki czas urasach, bardzo niechlujnych, ciasnych, niskich i ciągle napełnionych dymem palącego się pośrodku ogniska, do którego używają talnika, a ogień rozdmuchują futrami. Urazy mają formę stożkowatą. Są budowane z bardzo długich i grubych talnikowych kijów, a tylko w rzadkich przypadkach z modrzewiowych obciążonych z zewnątrz reniferowymi skórami; w górze pozostawiony

jest otwór dla ujścia dymu. W ściankach urasy robi się dwa otwory: jeden na przeciw drugiego służące jako wejście oraz wyjście z urasy; w obu tych przejściach zawieszają reniferowe skóry. Przejścia te są tak wąskie, że trzeba przez nie przechodzić niemal na czworaka. Wewnątrz, wokół ścian są wąziutkie rusztowania o wysokości $\frac{1}{4}$ arszyna z gałęzi talnikowych, pokrytych reniferowymi skórami. Służą one całej licznej rodzinie jako siedzenie i spanie. Wewnątrz stoją kobiety wyprostowane do niemożliwości, dlatego, że większą część dnia zajmują się gotowaniem i innymi domowymi zajęciami, a mnóstwo czasu spędzają przy ognisku w kucki. Pomimo że w urasach przez cały czas palą się ogniska, to zimą jest tu bardzo zimno, dlatego śpią, nie rozbierając się i przykrywają się reniferowymi skórami. Pożywienie Tunguzów to reniferowe mięso, ryby, ptactwo, takie jak dzikie kaczki, dzikie gęsi, łabędzie chwymane w okresie ich linienia. Ryby łowią w jeziorach za pomocą sieci, które kupują u Jakutów; sami nie potrafią ich zrobić, tak jak nie potrafią też robić innych myśliwskich narzędzi, zwracając się po poradę do Jakutów i we wszystkim ich naśladować. Na Tunguzkach spoczywają wszelkie obowiązki związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego: one rąbią drewno na opał, kłody do budowy urasy, a także je stawiają bez pomocy mężczyzn, których całe zadanie polega tylko na przywiezieniu z lasu już porąbanych drzew oraz talnika na rozpałkę. Mężczyźni natomiast doglądają reniferów zaprzęganym także do sań, na których przewożą cały swój dobytek. Bywa, że podczas koczowania z jednego miejsca do drugiego, na saniach tych Tunguzki nierzadko rodzą zimą pod gołym niebem i często przy czterdziestostopniowym mrozie, lecz kończy się to pomyślnie.

Tunguzi są biedni i starają się żyć w pobliżu Czukczów, u których najmują się do wypasu reniferów, za co tamci płacą im tymi zwierzętami, a gdy zdobędą już ich wystarczającą ilość, zakładają własne gospodarstwo. Takie zbliżenie się Tunguzów do Czukczów polepszyło ich byt materialny i niektórzy z nich już posiadają niewielkie stada tych zwierząt. Ponadto zajmują się także handlem wymiennym z rosyjskimi kupcami. Polują także na pieśca, którego skóry wymieniają z kupcami jakuckimi na herbatę cegiełkową, tytoń, topory i inne wyroby żelazne, a tylko jedno futro zostawiają sobie, żeby zapłacić jasak. Tunguzi są z natury pokorni i posłuszni. Żyją ze sobą zgodnie, kłótnie się między nimi prawie nie zdarzają, a o sprawach karnych nie mają prawie pojęcia. Złość, zawiść i nienawiść są im właściwie nieznane, lecz czasami po nadmiernym spożyciu wódki wpadają w taką furję, że jeden drugiego zabija. Przystępstwa tego nie trzymają w tajemnicy, a winny od razu zgłasza to staroście lub starszyźnie plemiennej i jest sądzony według prawa karnego.

Tunguzi wyznają prawosławie, przygotowują się do komunii, a sakramenty przyjmują tylko raz w roku, kiedy parafialny kapłan robi objazd po okręgu; jednak są bardzo zabobonni i w tajemnicy wciąż praktykują szamanizm, są silnie związani z tą tradycją. Wśród kobiet tunguskich można spotkać takie, które przepowiadają przyszłość, dobro lub zło. Odgrywają one rolę szamanek cieszących się ogromnym szacunkiem nie tylko wśród Tunguzów, lecz także wśród Czukczów, szczególnie tych bogatych, którzy goszczą je u siebie, solidnie wynagradzając oraz kierując się ich przepowiedniami nie tylko odnośnie koczowania i wyboru nowego miejsca do osiedlenia, lecz także proszą o radę w sprawie sprzedaży reniferowych skór, temu czy innemu kupcowi. Zmarłych chowają w małych trumnach i każdy gospodarz posiada taką, specjalnie przygotowaną na ten cel, którą wozi na saniach podczas swego koczowniczego życia. Składa się ona

z trzech, cienkich desek o długości jednego sążnia i szerokości mniej niż ½ arszyna. Grzebiąc zmarłego nie zamykają jej wieka, a tylko przykrywają reniferową skórą.

Lamuci żyją tylko w okręgu wierchojańskim i kołymskim. Liczą 2000 osób, z czego większa część przypada na okręg kołymski. To koczujące plemię różni się od innych zręcznością, nadzwyczajną ruchliwością i uczciwością. Lamutów można bez wątpliwości nazwać góralami Kraju Jakuckiego, dlatego że ciągle biegają ze strzelbami na plecach po górskich grzbietach rozciągających się łańcuchem wzdłuż prawego brzegu Kołymy do Morza Lodowatego. Są oni szczerze oddani rosyjskiemu rządowi; a to uczucie oddania jest równe nienawiści do Czukczów. W przypadku jakiś wrogich zamiarów wobec rosyjskiego rządu albo obrazy zadanej społeczności rosyjskiej przez czukocką Lamuci są zawsze gotowi bronić interesów Rosjan, głównie z chęci do bitki z Czukczami, licząc na swoją zręczność oraz celne wystrzały z broni. Sprzyjających okoliczności do bójki z Czukczami Lamuci wyczekują każdego roku w twierdzy aniujskiej w czasie jarmarku czukockiego, proponując policji swoją pomoc w nadzorze porządku z zewnętrznej strony twierdzy. Oczekiwania te jednak prawie nigdy nie spełniają, ponieważ Czukcze stali się ostatnio dużo spokojniejsi i nie przejawiają już dawnej gwałtowności, a ta ich wojownicza cecha zanikała stopniowo przy częstych kontaktach z rosyjskimi kupcami.

Lamuci polują na zwierzęta futerkowe, dzikie renifery (choć mają też swoje domowe) za pomocą tylko jednej broni (strzelby) i nie zaopatrują się w inne myśliwskie urządzenia, jak robią to pozostali tubylcy mieszkający w tych stronach. Niewielu Lamutów zajmuje się rybołówstwem w górskich rejonach rzek, gdzie zazwyczaj mieszkają zimą i latem. Nie mają stałego miejsca zamieszkania a podczas koczowania wybierają okolice sprzyjające myśliwstwu, szczególnie takie, gdzie jest pełno czarnych wiewiórek. Ze wszystkich tutejszych plemion oni jedyni nie używają sań w celach koczowniczych, a przemieszczają się ciągle (mężczyźni i kobiety) wierzchem na reniferach i na nich przewożą cały swój dobytek. Nie posiadają większych stad, lecz każdy z nich posiada wystarczającą ilość reniferów służących do transportu i komunikacji. Lamutów cechuje ta osobliwość, że wśród nich nigdy nie było chorób zakaźnych, a o syfilisie nie mają najmniejszego pojęcia, o czym przekonałem się osobiście przy badaniach, które przeprowadziłem w latach 1875-1876. Ich fizjonomia jest szczególna i łatwo ich odróżnić od innych tutejszych plemion; prawie wszyscy mają proste czoło, cienkie usta, są niewielkiego wzrostu, nosy też mają małe oraz zaokrąglony podbródek; włosy dość rzadkie, proste i przeważnie ciemno-blond. Lamuci w ogóle są niewysocy i szczupli, jednak bardzo zręczni i ruchliwi. Pomijając ich wątłą budowę, są silni i w walce z niedźwiedziem jeden na jeden zawsze wychodzą zwycięsko. Mieszkają w urasach zbudowanych z długich kijów, latem obciążniętych rowdugą (rodzaj zamszu), a zimą niewyprawionymi skórami reniferowymi. W górze urasy znajduje się wielki otwór dla ujścia dymu, ponieważ wewnątrz pośrodku stale pali się ognisko. Z dwóch przeciwległych stron zrobione są dwa wyjścia: jedno jest zwrócone na północ, a drugie na południe. Choć w jednej urasie żyją czasami po dwie rodziny, to zawsze panuje w niej idealna czystość i porządek. W ogóle Lamuci są najczystszy i najschludniejsi ze wszystkich autochtonicznych ludów na tym obszarze, a przy tym uprzejmi i gościnni. Zawsze starają się schludnie przygotować jedzenie; składa się ona przeważnie z reniferowego mięsa, ale w okresach

biedy jedzą mięso wiewiórcze oraz rybę. Piją herbatę z cukrem, herbaty cegiełkowej nie używają wcale i nigdy się w nią nie zaopatrują. Zbożowe rosyjskie suchary oraz krowie masło stanowią ich przysmak, które kupują od Rosjan i Jakutów, a także podczas jarmarku czukockiego w twierdzy aniujskiej. Lamuci i Lamutki noszą odzież jednakowego kroju uszytą ze skór renifera oraz ozdobioną paciorkami oraz wielokolorową rowdugą.

Ubiór kobiecy różni się od męskiego bardziej wyszukaniem zdobnictwem, które nie jest tanie, bo na przykład żeński fartuch jest obszyty lamówką z kolorowych koralików, obwieszony kiściami kolorowego futra, a przyszyte pomiędzy nimi niewielkie kolorowe dzwonki brzęczą dość głośno przy najmniejszym ruchu ciała. Jakutki noszą także srebrne bransolety oraz wielkie srebrne kolczyki. Na szyję nakładają coś w rodzaju niewielkiej obręczy ze srebra bądź miedzi, na co zawieszają srebrne kręgi różnej wielkości, miedziane i srebrne koła oraz różne metalowe brząkaćka zakrywające całą pierś od jednego ramienia do drugiego.

Lamuci to naród nabożny, wyznają prawosławie. Przeważnie tylko się spowiadają, nie zawsze przyjmując komunie św., rzadko kiedy jedzą posiłki postne, a prawie ciągle suszone mięso renifera. Pomimo wprowadzenia chrześcijaństwa pozostały u nich ślady kultów pogańskich, jak na przykład kult ognia lub słońca, a także liczne przesady i zabobony, które praktykują w tajemnicy przed parafialnymi kapłanami. Podobnie jak Tunguzi i Czuczce wróżą sobie z palących się drzew na temat czekającego ich dalszego koczowania.

Obrzęd weselny u Lamutów jest obchodzony w następujący sposób. Po wstępnych rozmowach i obopólnym porozumieniu rodziców panny młodej ze swoimi krewnymi biorą ikony i prowadzą narzeczoną do urasy rodziny narzeczonego, obchodząc ją trzy razy z zewnątrz, a potem, po wejściu do środka przekazują kobietę mężczyźnie, w ogóle nie zwracając uwagi na jego rodziców, którzy w tym przypadku grają rolę zwykłych świadków. Obrzęd ten nazywa się u nich „połowicznym małżeństwem” i ma takie znaczenie, że po jego odprawieniu kobieta pozostaje u narzeczonego jako prawna małżonka, a dzieci, które rodzą się w wyniku takiego małżeństwa, uważa się za pochodzące z prawego łoża. Po tem oczekują na kapłana albo sami się do niego udają w celu spełnienia obrządku cerkiewnego. Lamuckim weselom towarzyszą nadzwyczaj skromne uczty, podczas których czasami urządzają tańce. Dzieci chrzczą, gdy odwiedzi ich parafialny kapłan. Umarłych grzebią w tajdze (w głuchym lesie), w pobliżu tego miejsca, gdzie znajduje się ich czasowy obóz. Robią dla nich zwykłe trumny i kładą do grobu, ponieważ ziemia jest stale zamrznięta i latem taje tylko na ½ arszyna. Dlatego zdarza się, że ciała pogrzebane kilkadziesiąt lat temu, wykopane przypadkowo, nie wykazują żadnych śladów rozkładu.

Z języka rosyjskiego tłumaczyła Anna Mrozowicka

*

Tekst pierwotnie opublikowany był w zbiorze pt. „Driewnaja i Nowaja Rossija”, 1880, tom XVIII, s. 641-733, pt. *Tri goda w siewiero-wostocznoj Sibiri za poliarnym krugom*. W roku 2007 Władysław M. Łatyszew przygotował zbiór tekstów T. M. Augustynowicza (1809-1891), Polaka, lekarza i przyrodnika pozostającego w służbie rosyjskiej, wielce zasłużonego dla badań przyrodniczych i etnograficznych na terenie Jakucji oraz na Sachalinie. Książka ta nosi tytuł *Żyżń ruskich i inorodcew na ostrowie Sachalin*, Južno Sachalińsk. Publikowany tekst pochodzi właśnie z tego zbioru, kolejne teksty autorstwa T. M. Augustynowicza zamieszczone zostaną w następnych numerach „Zesłańca”, potwierdzając, że wbrew rozbiorem Rzeczypospolitej i zesłaniami na Syberię dali Polacy tej ziemi swój trud, wiedzę i umiejętności.

OLGA ZDYBEK

MACIERZYŃSTWO I RODZICIELSTWO NA SYBERYJSKIM ZESŁANIU

Masowe deportacje przeprowadzane przez okupacyjne władze radzieckie na Kresach Wschodnich II RP w latach 1940-1941 należą do najbardziej traumatycznych doświadczeń polskich tego okresu. Tak postrzegały ją nie tylko ofiary zsyłek, co jest oczywiste, ale niemal cała tamtejsza ludność, patrząca na nieszczęście sąsiadów oraz obawiająca się rychłego podzielenia ich losu. Od czasu przeprowadzenia pierwszej deportacji, tj. od 10 lutego 1940 r. powszechny stał się strach przed wywózką, słusznie odbieraną jako represję o wiele szerszym zasięgu niż aresztowania poszczególnych osób. Stało się bowiem jasne, że kwestie winy lub niewinności, normy postępowania znane sprzed wojny, stan zdrowia, sytuacje rodzinne, zwykłe współczucie nie odgrywały przy przeprowadzeniu deportacji żadnej roli. Zataczała one coraz szersze kręgi. Przeważała tu zasada odpowiedzialności zbiorowej stosowana bezwzględnie wobec rodzin osób uznanych za wrogie nowemu ustrojowi lub tylko podejrzanych o to. Deportacje były bowiem formą represji zwróconą bezpośrednio w całe rodziny, bez indywidualizowania działań czy postaw członków, bez zwracania uwagi na położenie osób starych, chorych, małych dzieci. Były po prostu jedną z odmian znanych z praktyki życia w ZSRR czystek etnicznych. Widmo pociągów złożonych z bydłowych wagonów, które oczekiwały na stacjach na przymusowych pasażerów i strach przed nocną wizytą funkcjonariuszy NKWD powodował, że w czasach okupacji radzieckiej wiele rodzin przygotowanych było na najgorsze: spakowane najważniejsze rzeczy, przygotowane ubranie.¹

¹ B. Klukowski, *My deportowani. Wspomnienia Polaków z więzień, łagrów i zsyłek w ZSRR*, Warszawa 1989; S. Ciesielski, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, *Masowe deportacje radzieckie w okresie II wojny światowej*, Wrocław 1994; S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie 1940-1946. Zesłańcy lat wojny*, Wrocław 1996; A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II RP (1939-1941)*, Łódź 1997; tenże, *Deportacje dzieci i młodzieży w głąb Związku Sowieckiego w latach 1940-1941*, Warszawa 2008; A. Sudoł, *Początki sowietyzacji Kresów Wschodnich drugiej Rzeczypospolitej (Jesień 1939 roku. Wybrane problemy polityczne i organizacyjne)*, Bydgoszcz – Toruń 1997; D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940-1943*, Warszawa 1999; P. Żaroń, *Deportacje na kresach 1939-1941*, Warszawa 1990; E. Trela, *Polskie placówki oświatowe i wychowawcze w Związku Radzieckim w latach 1943-1946. Liczebność i rozmieszczenie*, Wrocław 1991.

W drodze na zesłanie

Strach, rozpacz i poczucie bezsilności dotknęły deportowaną ludność począwszy już od miejsca wywózki, gdy wywlekano z domów chorych, kalekich, starców, kobiety i dzieci. Dla dalszych etapów transportu charakterystyczne są porozłączane rodziny, pogubione dzieci, niepewność losu, doświadczenia śmierci i głodu. Warunki podróży były przerażające i uwłaczające godności człowieka. Do tego dochodził głód, brak wody, okropne warunki sanitarne, zimno, wszy, pluskwy, tyfus i wyniszczający nawet najsilniejsze organizmy dyfteryt. Pomimo tego, nierzadkie były przypadki rodzenia podczas transportu. Wspomina o tym między innymi B. Obertyńska:

Noc jest prawie zupełna. Wysoka łupkowata lampa przecina skośną smugą nasz wagon na pół. [...] Musi tu być dużo dzieci. Ciemność jest pełna ich powikłań tłumionych przez przyciszone głosy starszych. [...] Zimno, paliło się więc wszystko, co z posiadanych w wagonie rzeczy dało się spalić: skrzynie, paki, statki. Ale potem i to się skończyło. O piekle tej drogi trudno dać pojęcie. Dzieci zamarały po kilkoro jednej nocy. Sine, zeszywniałe trupki, wypychało się przez zakratowane okienka i wyrzucało na śnieg. Zdarzały się porody – w mrozie, na gołej podłodze. Byłe sznurek, byłe scyzoryk musiały przy tym wystarczyć. Nie było wody, aby te dzieci chrzczyć.²

Cierpienia i katusze psychiczne, na jakie narażano matki i odbierane im siłą dzieci, zdaje się, że nie znajdują sobie równych w tym „ludzkim” świecie. Staje się to znacznie bardziej zrozumiałe, gdy uświadomimy sobie czym jest dla młodego człowieka-dziecka rodzina, a w szczególności matka. Współcześni psychologowie i pedagodzy z pełną odpowiedzialnością podkreślają znaczenie i wagę matki w pierwszych doświadczeniach w życiu człowieka na całokształt jego przyszłego bytowania. W tym zaś szczególnie na poczucie sensu i celowości życia, poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia, skalę wartości, umiejętność brania i dawania, tworzenia szczęśliwych i trwałych związków, budowania przyjaźni, stawiania sobie jasnych celów i umiejętności dążenia do nich, a także wiele, wiele innych.³

Prawdziwy dramat przeżywały kobiety, które zostały deportowane z niemowlętami. Na skutek przeżyć i złych warunków bytowych od czasu aresztowania matki często traciły pokarm. Możliwość kupienia mleka podczas postoju na stacji należała do rzadkości (ludność miejscowa zwykle nie była dopuszczana do kontaktu z deportowanymi, ponadto miejscowi nie zawsze byli pozytywnie nastawieni do obcych, transportowanych pod eskortą). Matki na różne sposoby próbowały sobie z tym radzić. Najczęściej podawały maluchom do ssania jakieś rozmoczone lub rozpuszczone produkty (miód, cukier, bułka, mąka), wykorzystując przy tym rady innych, bardziej doświadczonych kobiet, z którymi dzieliły wagon. Niekiedy korzystały z podarunków ofiarowanych dziecku przez swoich nowych sąsiadów. Apolonia Korczowska, zesłana z całą swoją 13-osobową rodziną, w tym z miesięcznym rodzeństwem – bliźniakami wspomina:

² B. Obertyńska, *W domu niewoli*, Warszawa 2005, s. 297.

³ K. Kość, „*To o Was Bezimiennie*” *Przyczynek do rozważań o trudach macierzyństwa na zesłaniu*, „*Zesłaniec*” nr 13, 2003, s. 24.

Domagaliśmy się mleka dla dzieci, opinii lekarskiej, ale to wszystko było bezskuteczne. Czasem brakowało wody, żeby ugotować dzieciom coś do jedzenia. Dawano im mąkę rozbełtaną wodą i w ten sposób były karmione przez smoczek. Mama również nie miała pokarmu, bo sama głodowała. Silne organizmy miały te nasze maleństwa, bez powietrza, kąpieli, przy głodowym odżywianiu przetrwały miesiąc podróży w nieludzkich warunkach. Szczęście, że zabrałam z domu woreczek mąki.⁴

Inną relację na temat rodzicielstwa na zesłaniu stanowi opowieść Barbary Penc – jednej z zesłanych kobiet, która w momencie deportowania była w zaawansowanej ciąży. Jej mąż został prawdopodobnie zabity podczas aresztowania. Po trzech tygodniach podróży przy pomocy innych deportowanych kobiet urodziła dziecko w wagonie. Podczas jednego z postojów w miejscowości Penza zgłosiły one, że w wagonie jest kobieta, która dwa dni wcześniej urodziła dziecko. Początkowo konwojenci odmówili dostarczenia gorącej wody i mleka do wagonu dla położnicy i jej dziecka. W wyniku pertraktacji dali się jednak namówić, by wypuścić matkę z dzieckiem z transportu. Przyjął ich do siebie naczelnik stacji, wdowiec z kilkumiesięczną córeczką. U niego Polka spędziła całą wojnę, prowadząc dom i opiekując się dwojgiem dzieci – swoim i gospodarza.⁵

Najdotkliwsze cierpienia zesłanych kobiet-matek wiązały się ze śmiertelnością dzieci. Skala tego zjawiska była ogromna a dostępność środków zaradczych praktycznie żadna, co bez wątpienia pogłębiało rozpacz i przygnębienie ludzi. Śmiertelność dzieci niejednokrotnie doprowadziła zesłane kobiety do obłądki i pomieszania zmysłów. Jadwiga Jakubowska wspomina sytuację związaną ze śmiercią małej dziewczynki:

Gdy wróciła ciocia Lunia, Irenka była już śmiertelnie chora. Ktoś z daleka przywiózł chorej dziewczynce malutką brzożową gałązeczkę. Nie wypuszczała jej z rączek. Zastygła w stygnącej rączce i potem, gdy duszyczka uleciała od zmęczonego ciała... Ktoś wioził glinę w beczce. Ludzie poprosili o wiadro tej gliny. Po kilku godzinach, z gliny zebrano kubek wody. Umyto ciało czteroletniej męczenniczki... Ze stołu zrobiono trumienkę... Polskie dziecko spoczęło w dziękij, kazachskiej ziemi... Płaczu prawie nie było. Każda rodzina drżała o życie własnego dziecka. Na zimę kazano wykopać 300 dołów. Rozwarte paszczęki cudzej ziemi czekały niecierpliwie na nowe, straszne ofiary – dzieci. Gdy nadeszła wiosna, ani jedno dziecko nie zostało we wsi. Kilka matek odeszło od zmysłów.⁶

Niezwykłe dramatyczny przykład cierpienia matki i niemożności pogodzenia się ze śmiercią dziecka oddaje poniższy cytat, a wspomnieć należy, że w różnych syberyjskich wspomnieniach sytuacje związane ze śmiercią dzieci są równie bolesne i tragiczne:

Nie mogąc przeboleć straty, matki wyły jak zwierzęta. Każdy następny dzień podróży stawał się coraz trudniejszy do wytrzymania. Matka niemowlęcia, zrobiwszy lalkę z gałganów tuliła ją do piersi i karmiła szmacianą kulkę, jak żywe dziecko, śpiewając rozdzierającym głosem kołysanki. Zwariowała.⁷

⁴ Cyt. za: D. Bazuń, I. Kaźmierczak-Kałużna, M. Pokrzyńska, *Matki Sybiraczki – losy i pamięć. Polskie kobiety zesłane w głąb ZSRR*, Zielona Góra 2012, s. 80.

⁵ Ibidem, s. 84.

⁶ J. Jakubowska, *Z kresów do Kazachstanu – 1936 r.*, [w:] „Sybirak”, nr 12, 1994, s. 35.

⁷ K. Kość, op. cit., s. 26.

B. Obertyńska opisała przypadek, gdy zmarłą z wycieńczenia roczną Marysię Głowacką, matka do rana tuliła do piersi nie wiedząc, że piastuje trupa pod chustką.⁸ Podobnych sytuacji odnotowuje wiele sybirackich relacji, a jedną z nich sugestywnie przedstawiła H. Ordonówna:

Sytuacja w wagonie w miarę podróży stawała się coraz gorsza. Konały kobiety po kolei chore kobiety, a trupów mimo prób interwencji nie zabierano z wagonu. Sześć kobiet i czworo dzieci leżało znowu w gorączce [...] Trupy coraz bardziej żółkły i cuchnęły-chorzy majaczyli, a zdrowi wyglądali jak obłąkani. Dzieci zmarłych kobiet płakały zdzierając z trupów gałgany, którymi je mężczyzna nakrywał. Mimo głodu nikt nie ruszał chleba, którego dano nawet dość dużo [...] Na dalszych stacjach gdzie już widocznie awizowano przejazd „zadumionego” wagonu, wrzucano im chleb i wodę przez drzwi i nie pozwolono wysiadać [...] Nagle zabrakło wszystkim powietrza. Przepętniła się miara nieszczęścia. Obłęd ogarniał powoli jadących. Kobiety zaczęły rozdierać na sobie ubrania, wyjąc dziko, tarzały się po podłodze na półprzytomnie [...] oładnęła ogólna histeria. Miarowe stukanie kół przemieszało się z ludzkim wyciem tworząc okropną symfonię.⁹

Dzisiaj aż trudno sobie wyobrazić na jakie próby wystawiana była miłość macierzyńska tych kobiet-miłość, do której typowych cech zalicza się m.in. bezwarunkowość, wszechobecność i nieustanność w opiece o maleństwa Jak formuluje to E. Fromm:

Miłość matki jest szczęściem, jest spokojem, nie trzeba jej zdobywać, nie trzeba na nią zasługiwać. Ale fakt, że miłość macierzyńska nie jest niczym uwarunkowana, ma negatywną stronę. Na tę miłość nie tylko nie trzeba sobie zasłużyć-ale także nie można jej zdobyć, wywołać ani nią kierować. Jeśli istnieje jest błogosławieństwem, jeżeli jej nie ma wydaje się, że całe piękno uszło z życia i nie można uczynić nic, aby je zrodzić.¹⁰

Losy kobiet na zesłaniu w walce o przetrwanie rodzin

W sytuacji zesłania realizacja zadań wynikających z funkcji matki-opiekunki wymagała od kobiet często nadludzkiego wysiłku. Wiązała się również z przeobrażeniami osobowościowymi:

Nieśmiałość – musiały nauczyć się walczyć o swoje, ciche-zażarcie klócić się, dumne – kiedy trzeba prosić, a nawet błagać swych wrogów. Wiele [...] musiało przezwyciężyć własną niepewność, nieśmiałość, strach. Kiedy trzeba było przeobrazić się w zażartą obrończynię swoich dzieci.¹¹

Zanurzone w codzienności, do której zmusiła je deportacja, zesłane kobiety miały wrażenie bycia daleko od świata, tracąc niekiedy również poczucie czasu. W warunkach zesłania koncentrowały się przede wszystkim na celu podstawowym – zapewnieniu rodzinie warunków pozwalających na biologiczne przetrwanie.¹² Warunki w barakach były okropne! W małej izbie musiały

⁸ B. Obertyńska, op. cit., s. 377.

⁹ W.Hort, (H. Ordonówna), *Tulacze dzieci*, Warszawa 1990, s. 12.

¹⁰ A. Bogdański, *O sztuce miłości*, Warszawa 1994, s. 42.

¹¹ D. Bazuń, I. Kaźmierczak-Kałużna, M. Pokrzyńska, op. cit. s. 88.

¹² Ibidem, s. 88.

pomieścić się cztery rodziny. Matki jakimś cudem umiały stworzyć warunki egzystencji. Pierwszą potrzebą było wybudowanie w izbie pieca-kuchni. Wprawdzie w osadzie była stołówka, ale rodzice uznali, że gotowanie w domu wyniesie taniej i smaczniej.

Mężczyźni i kobiety pracowali w tajdze przy wyrębie drzew. Nieraz wybudowano kilka dodatkowych baraków i sytuacja lokalowa poprawiała się. W jednym pomieszczeniu mieszkała już tylko jedna-dwie rodziny. Latem, w dni wolne, matki brały starsze dzieci i szły do lasu zbierać jagody, borówki i żurawiny oraz grzyby. Najpopularniejsze były białe, olbrzymie, kształtem przypominające rydze. Przezorne matki soliły je i zimą podawały na obiad zamiast mięsa. Część ubieranych jagód przesmażały na powidła, ale większą ilość darów tajgi nosiły do pobliskiego kołchozu, gdzie na zasadzie handlu wymiennego dostawały ziemniaki, kasze lub zboże.¹³

Matki – Sybiraczki, które fatalnym zrzędzeniem losu znalazły się w sytuacji jak z koszmarnego snu, to, czemu teraz musiały stawiać czoła było niegdyś dla nich niewyobrażalnym horrorem. Do czasu wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku żyły spokojnie, czas i siły poświęcając rodzinie. Wiele z nich nie pracowała zawodowo, rzadko więc stykały się z machiną administracyjną, całym środowiskiem biurokratycznym, nie wspominając o politycznych prześladowaniach. Wszystkie sprawy urzędowe to była domena męża. Żyły w atmosferze kresowego spokoju, romantycznych nastrojów i krajobrazów. Wielonarodowa społeczność tamtych obszarów nauczyła je życzliwości, harmonijnego współżycia i ufności do otoczenia. Nie było tam szczególnego bogactwa, ale powszechnie panował dostatek, a kto znalazł się w biedzie zawsze mógł liczyć na pomoc i wsparcie rodziny czy sąsiadów.

Matki-Sybiraczki, żony urzędników państwowych, oficerów, zamożnych rolników-legionistów, nauczycielki, szlachcianki, którym przyszło zetknąć się nagle z przemocą, wyrwane z dotychczasowego środowiska, często pozbawione męskiej opieki, przeżyły szok, z którego musiały szybko otrząsnąć się by ratować siebie i swoich bliskich. Wywiezione do tajgi, tundry i na stepy znalazły się w ekstremalnych warunkach, w których przyszło im nie tylko żyć, ale przede wszystkim chronić życie swoich dzieci, walczyć o nie. Były same wobec piętrzących się trudności, głodu, gróźb i prześladowań, śmierci ukochanych dzieci.¹⁴ Mężowie wielu z nich zginęli w Katyniu lub zmuszani byli do katorżniczej pracy pracowali za drutami więzień i łagrów. Po „amnestii”, zwolnieni ze stalinowskich więzień, wypuszczeni z łagrów zaciągali się do armii gen. Władysława Andersa, a potem do dywizji im. Tadeusza Kościuszki. One, kobiety-matki zostały same, bez mężczyzn. Przymusowo osiedlone w kołchozach, sowchozach, miastach wykonywały tam ciężkie prace. Były drwałami, murarzami, traktorzystkami, dojarkami i sprzątaczkami. Choć nie starczało sił, choć padały z nóg, wykonywały te prace, bo za to dostawały 600 gramów chleba, którym mogły nakarmić dziecko. Praca zapewniała minimum egzystencji. Resztę niezbędną do przeżycia zdobywały w przeróżny sposób-sprzedając resztki rzeczy,

¹³ M. Czaplicka, *Determinacja matek sybiraczek w zmaganiach o przetrwanie rodzin i uchronienie dzieci od śmierci głodowej*, [w:] Sybiracy. *Martyrologia Polaków na Wschodzie*, red. A. Wirski, Koszalin 2000, s. 189.

¹⁴ I. Tańska, *Matki Sybiraczki*, „Zesłaniec”, nr 13, 2003, s. 53-54.

które udało się przywieźć z Polski, pracując dodatkowo, wynajmując się do posług.¹⁵

Zdobyłym pożywieniem-kawałkiem czarnego chleba czy kartoflem dzieliły się z dziećmi, one nie musiały jeść. Trzeba było ratować dziecko – tak rozumiały te dzielne, i jak się okazało, twarde kobiety. Ale one walczyły również nie tylko o życie swoich dzieci, ale także o ich godny los. Te, które miały wykształcenie organizowały samorzutnie nauczanie dzieci zmuszanych przez administrację sowiecką do uczęszczania do rosyjskich szkół. Gdy na Syberii zaczęły powstawać polskie szkoły i ochronki, te dzielne kobiety niosły przysłowiowy kaganek oświaty-uczyły mowy i historii ojczystej, wychowywały w duchu polskości. Uczyły patriotyzmu i odporności na wszelkie zło.¹⁶

Miejszem pracy wielu kobiet były tartaki, głównie te nastawione na produkcję podkładów kolejowych. Często zakład taki był wyposażony nadzwyczaj prymitywnie-zaledwie w jedną dużą piłę, napędzaną maszyną parową. Drewno do cięcia transportowane było przez kobiety wózkami na rolkach ciągniętym liną. Z reguły żadnych innych narzędzi nie było, a dalszą obróbkę wykonywano ręcznie siekierami. Wykonywały najcięższe i najprostsze czynności – od noszenia podkładów kolejowych i desek, po sprzątanie wiórów.

Prace w osadach wykonywały niemal wyłącznie kobiety, dzieci oraz osoby starsze częstokroć schorowane, niezdolne do ciężkiej pracy w lesie. Kobiety były zatrudnione m.in. w piekarniach, stołówkach, szpitalach i żłobko-przedszkolach jako pracownice pomocnicze, spadały na nie najbardziej uciążliwe zajęcia, wymagające wielkiego wysiłku fizycznego, a przynoszące niskie zarobki. Pewną zaletą takiego zatrudnienia była natomiast bliskość miejsca zamieszkania. Jedna z zesłanych tak wspomina pracę matki w piekarni:

Nie było łatwo nosić wodę pod górę w dwóch ciężkich, oblodzonych wiadrach. Brzegi były strome, przerebel zamarł prawie natychmiast. Trzeba było niemałej siły, aby dostać się do wody. Mama ślizgała się, padła, woda chlustała na boki, wlewała się do trzewików. Mokre ręce marzły i pękały na mrozie. Mama musiała obracać kilkanaście razy, aby wnieść dostateczną ilość wody. Nie skarżyła się. Przeciwnie – bała się bardzo, aby nie stracić tej posady.¹⁷

Równie wyczerpująca była trwająca niejednokrotnie do 14 godzin dziennie praca w łaźni, kuchni czy stołówce. Do obowiązków kobiet zatrudnionych w kuchni należało mycie naczyń, garnków, kotłów, szorowanie i zmiatanie podłóg oraz noszenie wody, nierzadko z odległego miejsca, a także palenie w piecach. Kobiety zatrudnione były także jako sprzątaczkę w pokojach robotniczych, w tzw. kantorze (biurze), a nawet w domach miejscowych funkcjonariuszy NKWD. Wiele z nich zajmowało się przygotowaniem drewna opałowego nie tylko dla kuchni, ale niejednokrotnie także dla komendanta osady. W warsztatach w „posiołkach” odbywała się również produkcja klepek beczkowych, miotełek do łaźni oraz wiązanie łozy, służącej jako pożywienie dla kóz. W zimie kobiety zajmowały się uprzątaniami śniegu z dróg i terenu wokół osiedli. Niekiedy matkom starały się pomagać młodsze dzieci, nie objęte obowiązkiem pracy.¹⁸

¹⁵ Ibidem, s. 53.

¹⁶ Ibidem, s. 55.

¹⁷ S. Ciesielski, G. Hryciuk, *Praca polskich zesłańców*, [w:] *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946*, red. S. Ciesielski, Wrocław 1997, s. 176.

¹⁸ Ibidem, s. 176.

Kobiety – matki, podobnie jak zdecydowana większość zesłańców, żyły z dnia na dzień, podejmując codzienną walkę o kromkę czarnego chleba, miskę wodnistej zupy czy wiaderko ziemniaczanych obierzyn. Jej wynik decydował o życiu rodziny. Czas deportowanych kobiet wypełniony był niemal w całości działaniami mającymi na celu przede wszystkim biologiczne przetrwanie ich i ich dzieci, niekiedy również innych osób pozostających pod ich opieką.¹⁹

Wychowywanie dziecka w warunkach zesłania oznaczało również dawanie przykładu, pozwalającego na nabywanie przez dzieci odpowiednich wzorców. Poza działaniami związanymi z zabezpieczeniem warunków bytowych kobiety w miarę możliwości organizowały lub uczestniczyły w działaniach, skierowanych na duchowe życie człowieka. Przystawanie wartości tradycyjnych następowało wówczas mimochodem – poprzez czynne uczestniczenie w działaniach podejmowanych przez matkę. Bardzo ważne w tym kontekście było np. obchodzenie świąt religijnych, często wspólnie z innymi zesłańcami. To głównie matki dbały o to, by zaznaczyć różnicę między dniami zwykłymi, a tymi wyjątkowymi, świątecznymi. Sposób ich celebrowania był bardzo różnorodny, zależał między innymi od ekonomicznych zasobów rodziny i od zakresu, w jaki zesłańcy byli kontrolowani przez władze sowieckie. W miarę swoich możliwości matki starały się jednak organizować bardziej uroczyste chwile wynikające z przypadającego w danym dniu święta religijnego, włączając dzieci do przygotowań:

Wigilię Bożego Narodzenia w tej kazaskiej wioszczynie w roku 1940 obchodziliśmy tradycyjnie. Zręczna Maryla wycięła z polskiej paczki tekturowej kontur choinki, dzieci porobiły wycinanki z papieru i pokolorowały je kredkami również przysłanymi z Polski. W ten sposób powstały aniołki, gwiazdki i inne ozdoby na drzewko. Starannie wydmuchiwane i przechowywane od dłuższego czasu skorupki z jaj były niewyczerpalnym źródłem pomysłów. Z kilku cudem zdobytych, na wpół przemarzniętych buraków ugotowało się barszcz, a suszone grzybki, przysłane przez przewidujących krewnych z Polski, umożliwiły zrobienie uszek. Starsza Pani przygotowała również coś w rodzaju kutii.²⁰

Święta religijne nie były dniami wolnymi od pracy; niekiedy nawet w dzień świąteczny wyznaczano zesłańcom celowo cięższą pracę. W tej sytuacji świętowanie sprowadzało się przede wszystkim do znalezienia czasu na modlitwę i opowieści o świętowaniu w Polsce:

Wszystkie zwyczaje tradycyjne, świąteczne, domowe i kościelne łączyły i zbliżały członków rodziny. Dzieci słuchały tego z zachwytem, starsi dyskutowali, śmiali się i często kończyło to się łzami. Kłopot polegał na tym, że poza opowiadaniem o świętach wielkanocnych, pasterce i innych świętach oraz zastawionych stołach, choince i prezentach nie można było zrealizować.²¹

Na zesłaniu przestały obowiązywać istotne wcześniej, także w wieku dziecięcym podziały zadań ze względu na płeć. Chłopcy równie często jak dziewczęta wyręczali matki w pracach typowo kobiecych i odwrotnie. Obecność matki i poczucie, że bezwarunkowo można na nią liczyć w trudnych zesłańcych warunkach, były dla dzieci szczególnie ważne:

¹⁹ D. Bazuń, I. Kaźmierczak-Kałużna, M. Pokrzyńska, op. cit., s. 89.

²⁰ Cyt. za: ibidem, op. cit., s. 133.

²¹ Ibidem, s. 133.

Wiedzieliśmy, że mama głoduje bez ciepłej strawy. Ja jako 11-letni syn chciałem jej jakoś pomóc. Brałem, co było, trochę ziemniaków, od czasu do czasu ryba suszona, jakiś tłuszcz (łój), w biegu wdrapywałem się na pociąg towarowy z węglem, który zwalniał bieg na naszej stacji, i jechałem do mamy, żeby ugotować jej zupę szczawiówkę. Stale chodziłem na tory, tam gdzie pracowała w upale lub w deszczu mama. Widziałem, jak jest strasznie zmęczona. Brałem od mamy łopatę lub kilof i starałem się jej pomóc, ażeby trochę odsapnęła.²²

Matki sybiraczki heroicznie walczyły o przeżycie, były nieugięte w walce o przetrwanie swoich dzieci. Wpajały im miłość do kraju rodzinnego i wiarę w życie w wolnej Polsce. Spełniały rolę nie tylko matek, ale także były głowami rodzin, jednymi żywicielkami. W walce z głodem i chorobami dzieci były wszystkim – lekarzem, pielęgniarką, kucharką, no i tym, kto jest główną osobą zarabiającą pieniądze. Uczyły nie tylko pierwszego pacierza, ale także poprawnego brzmienia hymnu polskiego i innych pieśni. Uczyły także mowy polskiej, alfabetu polskiego, pisanie i czytania.

Kobiety, które w tych tragicznych okolicznościach stawały się głowami swych rodzin, by zapewnić im przetrwanie, musiały przede wszystkim stłumić własne rozterki, lęki, stany depresji, zapomnieć o swych uczuciach, potrzebach, niszczącym wpływie na nie same warunków, w jakich się znalazły. Praca ponad siły, która na ogół nie zapewniała choćby minimum pożywienia, podkopywała zdrowie. Ciągłe obawy niszczyły nerwy, przedwześnie postarzały. Dzieci niejednokrotnie zauważały, zwłaszcza po jakiejś rozłące, jak ich zatroskane i przepracowane matki są osłabione i zniszczone. Nieśmiałe – musiały nauczyć się walczyć o swoje, ciche – zajązanie klócić się, dumne – kiedy trzeba prosić, a nawet błagać swych wrogów. Wiele z kobiet musiało przezwyciężyć własną niepewność, nieśmiałość, strach. Kiedy trzeba przeobrazić się w zażartą obrończynię swych dzieci.

Momentem wielkiej próby dla psychiki była śmierć najbliższych. Utrata męża wskutek choroby bądź wypadku, o które nie było trudno wobec łamania wszelkich zasad bezpieczeństwa pracy, a także śmierci na froncie była wielką tragedią. Działo się tak nie tylko z powodu osierocenia dzieci, niepewnego jutra, ale też głębokiego żalu po stracie najbliższej ukochanej osoby.

Większą tragedią, jeśli w ogóle takie wartościowanie nie jest zuchwalstwem, była dla kobiet śmierć dziecka. A niektóre przecież traciły je stopniowo wszystkie, mimo wielkich wysiłków ze swej strony, by je uchronić. W dodatku w warunkach zesłania nie było warunków, by należycie przeżyć swą żalobę, pożegnać zmarłego. To wszystko trzeba było znieść w imię uratowania innych dzieci, starszych krewnych, którzy sami by sobie nie poradzili. Widząc nad dziećmi śmiertelne niebezpieczeństwo niektóre matki podejmowały decyzję oddania pociech do domu dziecka, gdzie przynajmniej miały zabezpieczone codzienne pożywienie.²³

Nie mniej trudna i dotkliwa na zesłaniu była wszechogarniająca i zżerająca człowieka tęsknota za ukochanymi, w tym: matek za dziećmi, i dzieci za matkami świadczy o tym liczna korespondencja, która przepełniona jest żalem, rozdarciem i rozpaczą wynikającą z oddalenia i rozłączenia ze swoimi najbliższymi. Przez listy te wprost przelewa się żal i smutek, ale też i nadzieja

²² Ibidem, s. 161.

²³ M. Ruchniewicz, *Przetrwać i wrócić. Rola matki na zesłańczym szlaku*, [w:] „Zesłaniec”, nr 13, 2003, s. 48.

na rychłe spotkanie, którego jednak nie wszystkim dane było doczekać. Wszystkie jednak z nich stanowią niezachwiany dowód ogromu miłości, przywiązania i troski o swoich bliskich, a nierzadko również jedyną pamiątkę po tych, którzy nie wrócili, i którym nie dane było się spotkać. Może dlatego właśnie, czytanie tej cudzej korespondencji, wzbudza tak duże wzruszenie, że stajemy się przez to mimowolnymi uczestnikami tęsknoty, niepokoju, troski i cierpienia matek, które już nigdy nie przytuliły własnych dzieci, i dzieci, którym nie dane było nigdy więcej ujrzeć kojącego uśmiechu na twarzach własnych matek.²⁴ Namiastkę tego, co czuli odbiorcy i nadawcy tych listów oddaje następujący fragment listu:

Dzień dobry Kochana Mamusiu!

Jestem żywa i zdrowa. Bardzo się cieszę, że mogę z wami korespondować. Mam prawo wysłać jeden list miesięcznie, a od Was otrzymywać bez ograniczeń [...] ²⁵

Matki – Sybiraczki, przepracowane, niedożywione, głodujące zapadały na ciężkie choroby, umierały.

Jedna z Uzbekek, która nie widziała mamy przy pracy w polu, w czasie przerwy obiadowej zaszła do zagrody i zobaczyła mamę leżącą. Już nie żyła. Obok spał sflakany Januszek. Pogrzeb odbył się na wzór uzbecki. Posadzono mamę w wykopanej niszy, bez trumny i bez krzyża, po czym zatkano wejście kamieniami i usypano kopczyk. Prócz mnie i Januszka obecne były pani Gutowska z córkami, przyszło kilku Uzbeków. Co było przyczyną śmierci mamy, nikt nie stwierdził. Wówczas mówiło się, że serce mamusi nie wytrzymało i pękło. Umarła leżąc na prawym boku, twarzą do śpiącego obok, od strony ściany jej najmłodszego i wówczas jedynego w domu dziecka – Januszka.²⁶

Po pięciu, sześciu latach katongi wracały do ojczyzny przedwcześnie postarzałe, zmienione fizycznie, ale silne duchowo, zahartowane, nie lękające się trudów życia w wymarzonej Polsce. Brudne, wynędzniałe, z gromadką zawszonych, biednie ubranych dzieci, nie zawsze były w ojczyźnie witane życzliwie.²⁷

Na szansę przeżycia zesłania składało się kilka czynników. Po pierwsze kondycja rodziny w chwili deportacji. Wśród zesłanych, zwłaszcza w lutym 1940 r. kiedy do wagonów ładowano ludność wiejską, nie brakowało rodzin z kilkorgiem dzieci, często bardzo małych. Wyżywienie takiej gromadki dzieci, zapewnienie jej minimalnej opieki stawało się bardzo trudne. Ważne było także, czy w zesłanej rodzinie byli oboje rodzice. Nie brakowało bowiem przypadków, zwłaszcza podczas deportacji rodzin osób represjonowanych w kwietniu 1940 r., że w głąb ZSRR wysłano kobiety z dziećmi. Ojcowie tych rodzin byli już dawno nieobecni z racji przebywania w niewoli, aresztowania bądź ucieczki w obawie przed uwięzieniem. Trzeba także zauważyć, że deportacji podlegały rodziny osadników wojskowych lub kolonistów, w których ojcowie zmarli przed wojną a matka z dziećmi sama dalej gospodarowała. Los kobiet był nieco lżejszy w sytuacji, gdy towarzyszyli im mężowie, z którymi dzieliły się odpowiedzialnością, obowiązkami i zmartwieniami. W wielu jednak rodzinach

²⁴ K. Kość, op. cit., s. 36.

²⁵ J. Wołczuk, *Listy Sybiraków*, Wrocław 1994, s. 26.

²⁶ I. Tańska, op. cit., s. 55.

²⁷ Ibidem., s. 55.

ta nieco lepsza sytuacja ulegała zmianie już na zesłaniu z powodu śmierci męża, jego aresztowania, zgłoszenia się do armii polskiej bądź także przymusowego wysłania do pracy w odległe miejsca. Takie rodziny upodobniały się szybko do innych na wół osieroconych rodzin, gdzie cały ciężar przeżycia spoczywał na matce. Dla wielu kobiet, które przed wojną żyły w spokoju i co najmniej względnym dostatku, ale też jakby pod kuratelą swych mężów, przejście odpowiedzialności za los własny i dzieci był nowym doświadczeniem, w dodatku zaistniałym w wysoce niesprzyjającym uczeniu się samodzielności środowisku. Było nieco łatwiej, gdy kobiecie towarzyszyli jacyś krewni, np. rodzice lub teściowie. Warunki życia były tak dramatyczne, że nawet dla kobiet ze wsi, przyzwyczajonych do pracy fizycznej, egzystencja na zesłaniu była niezwykle ciężka.²⁸

Podstawowym odniesieniem, celem wszystkich wysiłków kobiet stawało się uratowanie dzieci. Dzieci, zawsze ogromnie ważne w życiu kobiet, wobec czyhającego na ich życie zagrożenia, stawały się jeszcze ważniejsze. Ich uratowanie wymagało całkowitego zapomnienia o sobie, bezprzykładnego poświęcenia. Cechy te powszechnie przypisuje się miłości macierzyńskiej, dzieje się to jednak w normalnych warunkach życiowych w sposób niejako stereotypowy, bez głębszej refleksji. Jak silne jest jednak uczucie do własnych dzieci, najdobitniej przekonać się można właśnie z lektury wspomnień kobiet walczących o swe potomstwo w ekstremalnie trudnych warunkach.²⁹

Walka ta w przypadku zesłanych Polek trwała każdego dnia z owych kilku lat spędzonych w syberyjskiej tajdze bądź kazachstańskim stepie. Rozpocynała się już w chwili wdarcia się do domów NKWD-zistów fałszywie ogłaszających „przesiedlenie do drugiego obwodu” bądź „połączenie z mężem”. Od szybkiego opanowania się, sprawnego pakowania rzeczy i żywności, zabezpieczenia dzieci przed zimnem zależały warunki, w jakich rodzina jechała na zesłanie. Męża często nie było lub też trzymany pod strażą nie mógł pomóc. Teoretycznie można było zabrać do 500 kg bagażu na rodzinę. Wszystko jednak zależało od szybkości w pakowaniu i dobrej woli strażników. Często pomagali w zbieraniu rzeczy, doradzali, ale też byli tacy, którzy zabraniali zabierać więcej rzeczy, a nawet kradli. Szok, jaki wywołała wywózka, nierzadko był nie do przewyciężenia, nawet dla kobiet silnych psychicznie.³⁰ Jadwiga Łęczczycka deportowana w kwietniu 1940 r. do Kazachstanu z trójką dzieci tak opisywała tę chwilę:

Wytrąciło mnie z równowagi. Odebrało spokój, konieczny do podzielenia w myślach rzeczy potrzebne i niepotrzebne. Zabierałam więc w popłochu wszystkie które wpadły mi w ręce. Pościel, ubranie, stare skarpetki z dziurami, lekarstwa, żywność, jakieś albumy z fotografiami, dokumenty, pudełko z nićmi i bawełną, mydło, flaszka wiśniaku. W pierzynę wcisnęłam budzik z urwaną wskazówką. Między suchary swój uniwersytecki dyplom razem z bańką smalcu. Jakieś grzyby suszone czy śliwki. Miód, który wylał mi się na koldrę, szalik. Rondelek z topionymi skwarkami. Patelnia...³¹

²⁸ M. Ruchniewicz, op. cit., s. 41.

²⁹ Ibidem, op. cit., s. 42.

³⁰ Ibidem, s. 43.

³¹ M. J. Łęczczycka, *Zsyłka. Lata 1940-1946 w Kazachstanie*, Wrocław 1989, s. 8.

W wagonach trzeba było jakoś urządzić kąt dla rodziny, zając się uspokojeniem i nakarmieniem dzieci. W najgorszej sytuacji znajdowały się kobiety wywiezione z noworodkami lub niemowlętami, nie mówiąc już o matkach, które swe dzieci urodziły w strasznych warunkach panujących w wagonie. Przynajmniej dostateczna opieka nad najmniejszymi dziećmi była wręcz niemożliwa: brakowało pieluszek, możliwości wykąpania dziecka, a przede wszystkim odpowiedniego dla nich pokarmu, gdyż często matki z powodu stresu nie mogły ich same karmić.³²

Tak malutkie dzieci w większości były z góry skazane na śmierć. Umierały w wagonach, po odebraniu zwłok rodzinie grzebano je byle gdzie, co dla ich matek było dodatkową torturą.

Pewnego dnia w naszym wagonie zmarło dziecko. Nie miało jeszcze roku. Rodzice zgłosili ten fakt. Kazano im wynieść dziecko z wagonu i położyć na śniegu. Zapewniono ich, że zostanie pochowane. Jednak widok leżącego na śniegu dziecka i rozpacz jego matki jest nie do zapomnienia.³³

Niektóre kobiety, przewidując czym będzie ta podróż w nieznaną, zdobywały się na dramatyczną decyzję. Jeśli tylko pojawiała się jakaś możliwość, oddawały swe dzieci krewnym. Były to rzadkie przypadki, gdyż musiał się na to zgodzić konwój. Rozstanie z dziećmi tak opisowała Polka deportowana z Łucka:

Serce mi zamierało z rozpacz, gdy je żegnałam. Ulgę mi sprawiła pewność, że zaraz dostanie ciepłe mleczko i nie umrze z głodu. Popędzana, ponaglana przez żołnierzy wracam pod eskortą do wagonu, a w ślad za nami biegnie szwagierka i prosi, aby jej oddali drugie dziecko, tzn. Marysię [...] To była ciężka próba dla mnie: wyboru między dobrem dziecka a egoistyczną miłością, żeby zatrzymać je i zginąć razem z dzieckiem [...] Dziej się wola Twoja, Panie. Zdążyłam ją tylko uścisnąć i podać jej ulubioną lalkę, gdy drzwi zatrzęsnięto. Przez zakratowane okienko patrzyłam w ślad za tym, co miałam najdroższego.³⁴

Mimo wielu lęków i tęsknoty kobieta ta w następnych latach wielokrotnie błogosławiła chwilę, gdy zdecydowała się pozostawić swe dzieci u krewnych, zwłaszcza w momentach, gdy widziała konanie dzieci i rozpacz matek.³⁵ Szok spowodowany wyrwaniem z dotychczasowego otoczenia i ciężką podróżą szybko przesłoniły następne wydarzenia. Bytowanie na zesłaniu tak dla dorosłych, jak i dla dzieci składało się z głodu, wyczerpującej pracy, chorób i nierzadko śmierci. Obowiązek pracy dotyczył wszystkich powyżej 12 roku życia. Uchylenie się groziło uwięzieniem lub pozbawieniem kartek żywnościowych, co oznaczało głodowanie i śmierć. Dzieci zatrudniane były przy pracach pomocniczych, porządkowych (zbieranie gałęzi, żywicy, wypas bydła, prace polowe, zbieranie jagód, odśnieżanie itp.) Przebywanie dorosłych poza domem przez większość dnia wymagało zorganizowania życia i opieki dla najmłodszych dzieci. Wielką rolę odgrywały w tym matki, które musiały uspokoić małe dzieci, zapewnić im choćby minimalny nadzór dorosłych osób. Zresztą dzieci te nie próżnowały, zbierały opał, nosiły wodę, sprzątały, opiekowały się swym

³² M. Ruchniewicz, op. cit., s. 43.

³³ Ibidem, s. 43.

³⁴ Ibidem, s. 43.

³⁵ Ibidem, s. 43.

najmłodszym rodzeństwem, aby tylko ulżyć rodzicom. Mimo wysiłków całej rodziny powszechnym doświadczeniem stał się głód lub w najlepszym razie ciągle niedojadanie. W wielodzietnych rodzinach racje żywnościowe nie wystarczały dla obdzielenia wszystkich. Dla dorosłego pracującego przydzielano 60-80 kg chleba, dla dzieci i niepracujących z powodu choroby czy wieku 40-20 dkg. Dieta składała się najczęściej z niskiej jakości chleba, wodnistych zup z garstki mąki i odrobiny ziemniaków, warzyw, jadalnych roślin polnych, leśnych. Składniki potrzebne dla prawidłowego rozwoju dziecięcych organizmów, tłuszcze białko, witaminy niemal nie występowały. Skutkowało to zaburzeniami rozwoju i najrozmaitszymi chorobami atakującymi wycieńczone organizmy (m. in. zapalenia płuc, tyfus, tzw. kurza ślepotą, owrzodzenia ciała z powodu awitaminozy). Brak środków czystości, plaga różnych insektów (pluskwy, wszy) były codziennością. Patrzenie na głodowanie własnych dzieci było ogromną udręką. Umniejszanie własnej porcji, by nakarmić dzieci było codziennym doświadczeniem. Na zdobycie żywności i utrzymanie minimalnej czystości matki poświęcały niemalże cały swój czas po pracy. Dopóki wywiezieni posiadali pożądane przez tubylczą ludność przedmioty zdobycie jedzenia było łatwiejsze. Niektóre z kobiet, zmuszone sytuacją sprzedawały dosłownie wszystko, pozostając w przysłowiowej ostatniej koszuli, byle tylko przedłużyć życie dziecka. Handel wymagał jednak odwagi i siły, gdyż należało złamać zakaz oddalania się poza wyznaczone osiedle i często iść w bardzo trudnych warunkach do odległej osady. Wizja zmarzniętych, głodnych dzieci czekających na matkę dodawała jednak nadludzki niemalże siłę. Zawziętość i desperacja, jaką wykazywały się matki, niejednokrotnie wyciągała ich dzieci już z objęć śmierci.³⁶

W sytuacji powszechnego głodu zapewnienie dzieciom minimalnej choćby porcji jedzenia było najważniejszym zadaniem. Nie oznacza to jednak, że matki zapomniały o innych potrzebach dzieci. Ich wielki niepokój budził brak możliwości edukacji, także religijnej oraz negatywny wpływ na dzieci, często pozostawiane bez nadzoru. Obawiały się, że doprowadzi to do całkowitej rusyfikacji ich pociech przysłowiowego zejścia na złą drogę. Starły się więc podjąć przeciwdziałania na miarę swych możliwości. Te bardziej wykształcone organizowały w wolnych chwilach domowe lekcje dla swych dzieci, korzystając z książek przywiezionych z kraju i własnej pamięci. Mniej wykształcone starły się przynajmniej rozmawiać dużo po polsku, ganić używanie słów rosyjskich, zwłaszcza wulgarnych.

Elementem tego domowego nauczania było także przekazywanie pieśni i piosenek, wierszy polskich poetów. W ten sposób wpajano dzieciom i młodzieży przywiązanie do polskiej tradycji i dumę z historii. Starano się także umacniać u dzieci wiarę w powrót do kraju, którą i władze radzieckie i tamtejsza ludność starały się wykorzenić. Starano się je zaszczepiać także przez własną postawę: uczciwość, grzeczność, współczucie do bliźniego. I choć ciężkie warunki życia zmuszały do różnych kompromisów z sumieniem, starano się jednak trzymać w większości reguł z dawnego życia, piętnować złe zachowanie tak Polaków, jak i Rosjan. Przekazywanie ich dzieciom, zwłaszcza młodszym, u których pamięć o domu zacierała się, nie było łatwe. Obcowały one bowiem

³⁶ Ibidem, s. 44.

z okrutnym światem, lekceważącym nie tylko uczucia i potrzeby słabszych, ale nawet ich życie. Brak szacunku dla drugiego człowieka wyrażający się w prześladowaniach, szyderstwach, pracy ponad siły i wreszcie desakralizacji śmierci dla młodych psychik musiał być niszczący. Rodzina musiała starać się wpływ tych doświadczeń jakoś pomniejszać. Często sama bliskość matki, ciepłe słowo, gest spokojne zachowanie działały kojąco na dzieci.³⁷

O macierzyństwie i jego różnych obliczach napisano już bardzo wiele. Również o relacjach matkach-dziecko i wpływie tychże na całokształt życia i przyszłości dorosłego człowieka. Po zapoznaniu się jednakże z bogatą i niezwykle interesującą literaturą zesłańczą, odniosłam wrażenie, że problematyka ta, we wspomnianym powyżej kontekście, nie doczekała się dotychczas odrębnego i bardziej szczegółowego opracowania, a jak sądzę, niewątpliwie jest tego warta. Współcześnie coraz częściej się podkreśla, że macierzyństwo (bycie matką) jest egzystencjalnym doświadczeniem kobiety, jest jej drogą do realizacji siebie jako człowieka.

Podczas pobytu na zesłaniu najważniejszym kierunkiem aktywności było fizyczne przetrwanie jego trudów. Pierwszoplanową rolą kobiet z dziećmi były działania związane z macierzyństwem, szczególnie funkcje opiekuńcze. Inne role społeczne, w tym rola żony i wiążące się z nią zachowania seksualne schodziły na plan dalszy. Ochrona życia już istniejącego stawała się priorytetem.³⁸

Bliższe kontakty damsko-męskie nie zawsze wiązały się ze ślubem. W relacjach zesłanych kobiet pojawiają się również wspomnienia nieformalnych związków Polek z miejscowymi mężczyznami.³⁹ Kolejny problem związany z kontaktami damsko-męskimi stanowią gwałty. Pomimo że deportowane Polki stawały się ofiarami gwałtu, raczej nie dzieliły się z nikim swoimi przeżyciami, przyjmując postawę milczących ofiar.⁴⁰

Wspomnienia świadczą o tym, że na zesłaniu były obecne kobiety w ciąży. Przede wszystkim należy pamiętać o kobietach, które zostały deportowane, będąc w odmiennym stanie. W ich wypadku rozwiązanie następowało jeszcze podczas transportu lub wkrótce po przybyciu na miejsce zesłania. Drugą kategorię ciężarnych stanowią kobiety, które poczęły dziecko już podczas deportacji. Poczęcie dziecka podczas zesłania nie należało jednak do częstych sytuacji. Nie tylko ze względów obyczajowych dotyczących zbliżenia kobiety i mężczyzny. Wiele deportowanych kobiet w konsekwencji przeżyć psychicznych, wygłodzenia organizmu i wysiłku fizycznego utraciło menstruację.

W sytuacji zesłania poród odbywał się zwykle w mało sprzyjających warunkach: brak higieny, odpowiednich akcesoriów, opieki specjalistycznej, nierzadko obecność osób postronnych i dzieci. Jedyna pomoc, na jaką w praktyce rodzące mogły liczyć, pochodziła od innych deportowanych kobiet. Pierworódkom pomagały zazwyczaj te bardziej doświadczone. Jednak wśród wspomnień można trafić na relacje o porodach, które odbywały się w szpitalach. Do takich wyjątków należą doświadczenia Zofii Orłowskiej zesłanej w piątym miesiącu ciąży. W swoich wspomnieniach opisuje jak wyglądało

³⁷ Ibidem, s. 47.

³⁸ Ibidem, s. 141.

³⁹ Ibidem, s. 147.

⁴⁰ Ibidem, s. 152.

życie na zesłaniu ciężarnej kobiety. Pomimo tego, iż była w ciąży, musiała wykonywać obowiązki praczki, dźwigając ciężkie i gorące naczynia z bielizną. Jak cytuje „obejrzałam się – nie było w pobliżu nikogo, kto by mi pomógł. Bardzo ostrożnie ujęłam gorące wręby, aby przesunąć gar trochę na brzeg, nic z tego”. Po tak ciężkim wysiłku poczuła, iż wewnątrz niej jakby coś obsunęło się ku dołowi, jednak po chwili odpoczynku wszystko wróciło do normy. W nocy kiedy spokojnie spała, obudziły ją potworne bóle zbliżającego się porodu. Były one coraz cięższe i dłuższe, mimo tego doczekała świtu i obudziła rodziców. Zawiadomiony kierownik osiedla, o tym, iż kobieta zaczęła rodzić, oświadczył, że nie może przeznaczyć furmanki aby zawieść ją do szpitala odległego o jakieś sześć-siedem kilometrów. Wyznaczył do opieki nad nią i towarzysztwa w drodze do szpitala inną kobietę, matkę trzech córek. W czasie drogi atakowały ją silne bóle porodowe, wtedy chwilę stawały i odpoczywały, a gdy bóle minęły biegły czym prędzej do odległego szpitala. Gdy o godzinie dwunastej dotarły na miejsce, natychmiast rodzącą kobietę wzięto i położono do wanny, a o godzinie pierwszej popołudniu przyszedł na świat chłopiec. Matka przyglądała się malutkiemu dzieciątku, które położna trzymała na ręku i myła je pod strumieniem wody wylewanej z dzbanka przez salową. Po kąpieli owinięto chłopca w pieluszkę i położono w wysokim łóżeczku na sienniczku wypchanym sianem i na poduszce wypełnionej sieczką ze słomy, a następnie okryto go złożonym w czworo czarnym, gryzącym kocem. Wymęczoną długą wędrówką i porodem kobietę ogarnęła senność, jednak obudziło ją wołanie jej własnego imienia. To była jej matka, która zaraz po wyjściu córki z domu wyruszyła jej śladem do szpitala. Jednak dowiedziawszy się o stan zdrowia córki i wnuczka, w spokoju mogła wracać do domu. Po pięciu dniach pobytu w szpitalu matkę wraz z maleństwem wypisano do domu.⁴¹ Kolejnym przykładem jest opowieść Czesławy Kowalskiej o okolicznościach narodzin jej brata:

Moja mama miała wtedy 41 lat. Nastął czas porodu. Ojca w domu nie było. Był w polu, z wołami. Byłam ja, moja siostra i mama. Wezwałyśmy do pomocy panią Pilną. Przygotowałyśmy ciepłą wodę, umyłyśmy mamę. Trzeba było prowadzić ją do szpitala. Było to niezbyt daleko, ale była noc, ciemno. W szpitalu przywitała nas położna, była w wieku mamy. Była bardzo uprzejma i grzeczna. Zaraz skierowano mamę do wanny z ciepłą wodą. Był tam zwyczaj taki, żeby przed porodem brać kąpiel. To podobno łagodziło bóle porodowe. I tak rzeczywiście było. Rankiem poszłam do szpitala. Z wrażenia nie mogłam znaleźć drzwi wejściowych, podeszłam więc do okna i ujrzałam mamę w łóżku z dzieckiem. Zastukałam w okno. Mama mówi – mamy małego Zbysia i pokazała mi go. Miał duże oczy. Od razu spodobał mi się. Pan Pilny został ojcem chrzestnym. Metrykę wystawiono w języku rosyjskim.⁴²

Obraz rodzicielstwa na deportacji jawi się jako ciemny, przygnębiający, często ze śmiercią w tle.⁴³

*

Obecność polskich kobiet na szlakach syberyjskich zesłań na stałe już wpisała się w karty historii. To dzięki nim kraj stawał się mniej odległy, gdy towarzyszyły zesłanym członkom rodziny. Żony podążały za mężami, mat-

⁴¹ Z. Orłowska, *Tajgo, pamiętna tajgo...*, Wrocław 1991, s. 20.

⁴² Ibidem, s. 156.

⁴³ Ibidem, s. 158.

ki zabierały swe dzieci lub pozostawiały je pod czyjąś opieką, za synami szli starzy ojcowie, a za braćmi siostry.⁴⁴ To dobrze świadczy o naszej pamięci dla nich, o naszej kulturze historycznej dopominającej się o pełniejszą panoramę ich losów przeżywanych w stepach Kazachstanu, tajgach i tundrach Sybiru. Pamięć ta przyobleczona jest w różne formy działalności Związku Sybiraków, którego członkowie, dawne „dzieci Sybiru”, o które tak troskliwie walczyły ich Matki – Sybiraczki, w podzięcie za ten trud wznoszą Im pomniki, w których drżem różny formy wdzięczności za opiekę tam na zesłaniu. Dla każdego z tych dzieci, dzisiaj sędziwych już Sybiraków pomniki te zachowują swoją czytelność, niosą pamięć o tamtych czasach pogardy, o których słyhać także we wspomnieniach, pieśni, wierszu i legendzie.



Pomnik pamięci Matkom Sybiraczek i ofiar Sybiru w Wysokiem Mazowieckim

Matki Sybiraczki stawały wobec konieczności dokonywania poważnych niecodziennych wyborów, które decydowały o losach całej rodziny. Świadomość tej nowej matczynej roli miały także dzieci i pozostali członkowie rodzin. Za przykład może służyć list syna do deportowanej z pozostałym rodzeństwem matki:

Musi się Mamusia na jakiś czas stać mężczyzną i nie drgać kobiecym sercem, tylko patrzeć twardo, a końca na pewno się doczekamy i to niedługo.⁴⁵

Matki Sybiraczki były bardzo związane uczuciowo ze swoimi dziećmi. Nędza i głód bardzo je zbliżały. Wyżywienie miało ogromne znaczenie. Przez

⁴⁴ K. Kość, op. cit., s. 17.

⁴⁵ D. Bazuń, I. Kaźmierczak – Kałużna, M. Pokrzyńska, op. cit., s.188.

wiele lat po powrocie do Polski rutynowym pytaniem było: „nie jesteś głodna?”⁴⁶, a także napomknięcia „nie wyrzucaj nawet skórki od chleba”! Matki – Sybiraczki to kobiety, które mogą być wzorem dla każdej matki (odpowiedzialność, patriotyzm, odwaga, uczciwość). Te cechy matki powinny przekazywać swoim potomkom. Matka Sybiraczka była dzielna, dążyła do tego, aby nie zatracić polskości, była dumna, że jest Polką i nigdy się Polski nie wypierała i wpajała to swoim dzieciom.⁴⁷

Kobieta pomimo wszystko starała się też troszczyć w miarę swoich sił o rodzinę. Prała rozlatujące się łachy, łątała je i zszywała, gotowała wymyślne potrawy z dostępnych produktów np.: zupa z pokrzyw, plewiła i podlewała ogródek, który był podstawą zimowego wyżywienia rodziny. Nie miała dużo czasu na modlitwę, na wychowywanie dzieci, na macierzyńskie i beztroskie zabawy z nimi. Często jedynymi zmartwieniami było bowiem zdobycie odzieni, jedzenia czy opału. Takie codzienne borykanie się z nędzą musiało niejednokrotnie oddalać myśli o ojczyźnie. Polskie matki troszczyły się jednak zawsze aby ich dzieci pamiętały o swoich korzeniach, swoim pochodzeniu. I obok troski o to by nie były głodne, by miały koszule czy buty na zimę, by pod wpływem zdeprawowanego środowiska nie zaczęły kraść, czy by w ostateczności z tej beznadziei się nie rozpiły. Martwiły się i dbały o to by nie zapomniały pacierza i ojczyzny. A, że dzieciom groziło zapomnienie języka ojczystego, kobiety czytały im powiastki z polskich książek, uczyły ortografii, opowiadały dzieje Polski. Gdy brakowało podręczników – uczono z pamięci, często bez ładu i składu czy porządku chronologicznego. W prymitywnej polskiej szkole, gdy nie było innych możliwości, za tablicę mogła służyć malowana białą gliną ściana, na której pisano węgielkiem, a dzieci przepisywały między szpaltami gazet. Dzieci były bowiem bardzo podatne na rusyfikację, zwłaszcza gdy chodziły do rosyjskiej szkoły. Bardzo szybko się asymilowały w nowym środowisku i zapomniały w ten sposób języka ojczystego. Dzieci bowiem też ponosiły ciężary zesłania. W tych nieprzyjaznych warunkach musiały szybko dorastać i troszczyć się o siebie.⁴⁸

Innym aspektem specyfiki macierzyństwa na zesłaniu jest problem osieroconych w trakcie transportu oraz pobytu na zesłaniu dzieci. Dzieci te, przedwcześnie dojrzałe, które widziały całą nędzę i koszmar tego świata, oddalone od rodzinnych domów, nieraz o wiele tysięcy kilometrów, zostały skazane na pastwę losu i niewdzięczną dolę tułacza. Obrazy przeżytych przez nie wydarzeń, a nierazko śmierci własnych rodziców, na zawsze już pozbawiły je bez troski i uroków dzieciństwa-stając się koszmarami prześladowającymi je do ostatnich dni życia. Czytając głęboko poruszające relacje i wspomnienia zesłanych na wschód Polaków, niejednokrotnie zastanawiamy się jak potoczyły się ich losy po powrocie do kraju. Czy założyli rodziny, czy mają dzieci, jak żyją, w co wierzą, jakie wartości wyznają? Niestety, te i wiele innych pytań pozostają bez odpowiedzi, gdyż większość wspomnień kończy się w momencie odebrania biletu powrotnego do kraju, bądź co najwyżej w momencie znalezienie się w Polsce.

⁴⁶ Ibidem, s. 199.

⁴⁷ Ibidem, s. 202.

⁴⁸ A. Gacka, *Tam na obcej ziemi – wytrwałość, heroizm, poświęcenie były już codziennością*, [w:] „Zesłaniec”, nr 13, 2003, s. 11.

Problem sieroctwa stanowi jeden z podstawowych problemów opieki na dzieckiem. Ponadto jest zjawiskiem, które naraża dziecko na wiele bolesnych przeżyć. Jak współcześnie zauważa Marzena Sendyk, wiodącym motywem chorobotwórczym sieroctwa jest nasilająca się trwoga oraz lęk przed rozstaniem powstały w wyniku niemożności zaspokojenia wrodzonych dzieciom potrzeb, takich jak przynależność uczuciowa i obdarzenie uczuciem jednej i tej samej osoby. Szczególnie niekorzystna jest wczesna i trwała separacja dziecka od rodziny, a głównie od matki. Stanowi to poważne zagrożenie dla jego rozwoju i prowadzi do wypaczeń w strukturze jego osobowości. Dodatkowej powagi takim sytuacjom, w przypadku dzieci deportowanych z ojczyzny, dodaje fakt, iż bardzo często były one naocznymi świadkami śmierci własnych rodziców. Doświadczenia takie zawsze pozostawały głęboko traumatycznymi.⁴⁹



Pomnik Pamięci Matki Sybiraczki w Stalowej Woli

Kiedy wymiar śmierci wkracza między dziecko i jego rodziców, dla dziecka oznacza to utratę iluzji i złudzeń, że rodzice chronią je przed bólem, separacją i śmiercią. Kiedy dziecko małe, czy duże traci ojca, matkę, brata czy siostrę, traci ono niezwykle cenny przedmiot miłości. Dodatkowo sytuacja zdaje się być skomplikowana, gdy dziecko oderwane jest od swoich korzeni-zarówno rodzinnych, jak i ojczystych-jak było w przypadku syberyjskich sierot. Dzieci te bardzo często nie miały nikogo bliskiego, i o ile nie zaopiekował się nimi nikt z polskiego transportu, czekał je żmudny i bolesny proces wynaradawiania.

W przypadku dzieci osieroconych na zesłaniu bardzo istotnym problemem było dodatkowo wyobcowanie społeczne, geograficzne i kulturowe, co pogłębiało poczucie osamotnienia dzieci, zagubienia i niezrozumiałości sytuacji, która stała się ich udziałem. Nie trudno sobie wyobrazić jaki wpływ mia-

⁴⁹ K. Kość, op. cit., s. 33.

ły te czynniki na przyszłe życie tych dzieci, na ich konstrukcję psychiczną, system wartości i relacje z bliskimi.⁵⁰

Nie mniej trudna i dotkliwa na zesłaniu była wszechogarniająca i zżerająca człowieka tęsknota za ukochanymi, w tym: matek za dziećmi, i dzieci za matkami. Świadczy o tym liczna korespondencja, która przepelniona jest żalem, rozdarciem i rozpaczą wynikającą z oddalenia i rozłączenia ze swoimi najbliższymi. Przez listy te wprost przelewa się żal i smutek, ale też i nadzieja na rychłe spotkanie, którego jednak nie wszystkim dane było doczekać. Jednak wszystkie z nich stanowią niezachwiany dowód ogromu miłości, przywiązania i troski o swoich bliskich, a nierzadko również jedyną pamiątkę po tych, którzy nie wrócili, i którym nie dane było się już w tym życiu spotkać. Może więc właśnie z tego powodu, czytanie cudzej korespondencji zesłańczej, wzbudza tak duże wzruszenie, że stajemy się przez to mimowolnymi uczestnikami tęsknoty, niepokoju, troski i cierpienia matek, które już nigdy nie przytuliły własnych dzieci, i dzieci, którym nie dane było już nigdy więcej ujrzeć kojącego uśmiechu na twarzach własnych matek.⁵¹

⁵⁰ Ibidem, s. 35.

⁵¹ Ibidem, s. 36.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Klara Rogalska – Z „*nie ludzkiej ziemi*” do Polski

Rok 1945, ucichły wiadomości o działaniach wojennych. Ci, którzy przeżyli front wracali do rodzinnych domów. Dla nas Polaków zabłysło światło w tunelu. Rozpoczęły się pertraktacje ze Stalinem w sprawie powrotu do Polski. Wyjazdem do Ojczyzny, wydawaniem dokumentów i wszelkimi sprawami zajął się Związek Patriotów Polskich. Władze sowieckie stwarzały różne trudności np. uważały, że dana osoba, która przed wojną mieszkała na Kresach Wschodnich, nie była narodowości polskiej lecz białoruskiej czy ukraińskiej.

Wreszcie moja rodzina – Ojciec, Mama i ja (2 braci i siostra opuścili „gościnną ziemię sowiecką” z wojskiem Generała Władysława Andersa) o pokonaniu wszelkich trudności uzyskała zgodę na wyjazd do Polski. Kołchoz, w którym przeżyliśmy sześć trudnych lat opuszczaliśmy jako ostatni, Ojciec był przedstawicielem Związku Patriotów Polskich i do jego obowiązków należało dopilnowanie, aby z podległych mu kołchozów wyjechali wszyscy Polacy.

Był początek lipca 1946 roku i jak w tę stronę, tak i teraz dojechaliśmy ciężarówką do stacji Pietropawłowsk w północnym Kazachstanie. Razem z nami jechały jeszcze trzy rodziny. Zegnała nas cała wieś. Trzeba przyznać, że na przestrzeni 6 lat zesłania żyliśmy się z tą ludnością, pomagaliśmy sobie

wzajemnie, była przecież wojna, a mężczyzn w 1939 roku, na potem w 1941 zabrano na front. Jednak tym razem bez konwojentów zajęliśmy miejsca w wagonach towarowych. Nikt nas nie poganiał. Były to takie same wagony, jakimi w 1940 roku jechaliśmy na zesłanie. Ale tym razem drzwi były otwarte, a na postojach mogliśmy wychodzić na perony. Na drogę otrzymaliśmy trochę konserw rybnych i mięsnych z darów UNRRA*, która przesyłała jedzenie i odzież dla Polaków na zesłaniu.

Po rozlokowaniu się w wagonach ruszyliśmy w drogę do Ojczyzny – radość nasza była nie do opisanego. Tylko w sercach tych, których bliscy spoczęli w mogiłach rozrzuconych po kazachstańskich stepach, pozostał żal. Wreszcie przejechaliśmy Ural. Mogliśmy podziwiać piękno i ogrom tych gór. Wjechaliśmy do Europy. Często na postojach podchodzili do nas ludzie i prosili o chleb. Z niektórych wagonów dochodziły śpiewy polskich piosenek patriotycznych i religijnych. Widzieliśmy też zniszczenia, jakie pozostawiła po sobie wojna. W przeciwnym kierunku jechały pociągi wojskowe, to zmęczeni trudami wojny żołnierze wracali do domów, do ojców, matek, żon i dzieci. Do granicy z Polską towarzyszył nam rosyjski konwój. Dopiero na granicy zasalutowali i pożegnali nas okrzykiem „praszczajcie” i odeszli.

Wreszcie byliśmy w upragnionej Ojczyźnie. Nie pamiętam nazwy miasta granicznego, ale wiem, że była wielka radość wyrażająca się śpiewem i modlitwą. A gdy zatrzymaliśmy się na jakiejś kolejnej stacji i otworzyliśmy drzwi, posypały się w naszą stronę kamienie, a ktoś krzyknął: „to wracają Żydzi”! Zamknęliśmy wagony i pojechaliśmy dalej. Wcześniej wiele osób wysiadło na grodzieńszczyźnie, z nadzieją, że zastaną tam swoje domostwa, tak jak przed wywózką.

Niestety rzeczywistość okazała się tragiczna, zamiast domów były tam tylko ruiny, czasem pozostała tylko stodoła. My jechaliśmy dalej. Wreszcie dotarliśmy do Warszawy. Zatrzymali nasz transport na moście kolejowym, pod którym płynęła Wisła. To, co zobaczyliśmy po otwarciu drzwi było przerażające. Cała Warszawa w ruinach. Dopiero teraz zdaliśmy sobie sprawę jak ogromne zniszczenia przyniosła ta wojna. Na moście stali żołnierze, podchodzili do nas, rozmawiali, pytali skąd i dokąd jedziemy? Jeden z nich podszedł do naszego wagonu i chciał żebym wysiadła. Miał pod Warszawą dom po rodzicach i chciał się ze mną ożenić. Mówił, że zawiozą nas na „ziemie odzyskane”. Oczywiście jego propozycji nie przyjąłem i potraktowałem ją jako żart. Gdy pociąg ruszył zaczęliśmy się zastanawiać, co to są te „ziemie odzyskane”?

Wreszcie dojechaliśmy do Poznania. Tu wyjątkowo pociąg zatrzymał się na dworcu. Ludzie podchodzili do nas, podawali jedzenie, picie (lipiec był bardzo gorący) Niektórzy z ciekawskich robili nam zdjęcia. Część wagonów skierowano do Szczecina, nasz zaś pojechał na zachód. Dojechaliśmy do Myśliborza i tu kierownik pociągu prosił abyśmy wysiedli, bo to jest już koniec

* United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA) – Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy utworzona w 1943 roku w Atlantic City, z inicjatywy USA, W. Brytanii, ZSRR i Chin, której celem było przyzwanie z pomocą, po zakończeniu działań wojennych, krajom atlantyckim najbardziej dotkniętym wojną, między innymi Polsce. W 1947 roku organizacja została rozwiązana.

podróży, dalej już tylko granica niemiecka. Powstał popłoch, płacz, ze względu na świadomość, że „dopiero wyrwaliśmy się od Ruskich, a tu Niemcy”.

Kierownik uspakajał, ludzie z powrotem wsiadali do wagonów. W pewnym momencie mój Ojciec zauważył kobietę i mężczyznę z opaskami Czerwonego Krzyża. Oni również nas uspakajali i mówili, że tu jest Polska. Ulokowano nas w ogromnej sali budynku, w którym podczas wojny był szpital wojskowy. Na drugi dzień przyszli do nas przedstawiciele PUR-u (Polski Urząd Repatriacyjny). Przywieziono żywność, otrzymaliśmy pieniądze i zaczęto przydzielać mieszkania. Rozpoczynaliśmy nowe życie, ale to już inny temat.

Do Polski przyjechałam w dniu 22 lipca 1946 roku – w drugą rocznicę uchwalenia tzw. Manifestu Lipcowego (Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego) ogłoszonego w lipcu 1944 roku w Chełmie. Pierwsze kroki skierowaliśmy do kościoła, aby podziękować Bogu za szczęśliwy powrót do Ojczyzny z odległego Kazachstanu.

*

Zygmunt Fabiński – *Nareszcie przyszedł ten dzień*

Pamiętam jak podczas wigilijnego opłatka, który był ostatnim na zesłaniu, Mama dzieląc się z nami kromką czarnego chleba powiedziała, że w następnym roku będziemy już zapewne w rodzinnym kraju. Gdzieś od połowy roku 1945 zaczęli pojawiać się w naszym posiołku czerwonooarmiejcy powracający z wojny. Niektórzy z nich byli kalekami. Pamiętam jednego bez dłoni, którą urwał mu granat, jak mówił przysiadując na kołchozowym podwórzu. Często otaczała go gromadka dzieci, którym opowiadał o dalekim kraju, w którym walczył „z germańcami”! Ciekawił nas opis jego czynów bojowych, o których tylko nieraz wspominał.

Wśród powracających z frontu byli najczęściej Rosjanie, których mieszkało najwięcej w naszej osadzie, ale powracali też Ukraińcy oraz Kazachowie, bo wieś, w której mieszkaliśmy charakteryzowała się mieszkanką narodowościową. Pamiętam, że kiedyś pojawili się w niej Czeceńcy, których jak mówiono we wsi, przywieziono z Kaukazu. Ci trzymali się z daleka od pozostałych mieszkańców i nie pracowali w miejscowym kołchozie. Co ranka zabierał ich ciężarowy samochód bo pracowali daleko od osady przy jakichś robotach ziemnych, prawdopodobnie przy utwardzaniu drogi wiodącej do Pietropawłowska.

Powracający do wsi żołnierze potwierdzali, że wojna się skończyła! Ich powroty uprawdopodobniały słowa Mamy wypowiedziane podczas wspomnianej wigilii i napawały nas nadzieją na powrót do rodzinnego domu. Zresztą głośny kołchozowy megafon zbyt często objaśniał koniec wojny i zwycięstwo Związku Radzieckiego. Najczęściej nadawano jakieś przemówienia, okraszone ruskimi pieśniami. Miało to szeroki odzew i rosyjska rodzina, która mieszkała w sąsiednim baraku żyła nadzieją, że i jej syn niebawem wróci. Stało się jednak inaczej. Pewnego dnia otrzymała zawiadomienie, że poległ na wojnie. Podobne informacje nadchodziły też, co jakiś czas do innych mieszkańców osady. Kto widział podobne zmartwienia rodzinne, jest w stanie sobie wyobrazić jakie przykrości niosły te powiadomienia o mężach i synach poległych na wojnie.

Mimo tych powrotów z frontu, i końca wojny w naszym jednak życiu nic się nie zmieniło. Nadal chleb był na kartki, po który wystawiałem często przed kantorą razem z innymi równolatkami lub zbierałem łupiny po kartoflach, które leżały nieraz za stołówką. Mama chodziła do pracy w oborze i ciągle doiła krowy. Była zmęczona i podobnie jak inne polskie rodziny oczekiwała wiadomości o możliwości powrotu do Ojczyzny. Te jednak nie nadchodziły. Smuciłem się brakiem tych wiadomości i podobnie jak moi koledzy, z którymi przyjechaliśmy na zesłanie w odległy kazachski step gdzie mieszkaliśmy w brudnych, zapluskwionych i zawsonych, zimnych kołchozowych barakach.

Pamiętam jak zawędrowałem na zesłanie oraz dzień, w którym o świcie wyrwały nas ze snu, pokrzykiwania żołnierzy aby zbierać się prędej, pamiętam jakieś zagłądanie do szaf i żołnierzy z karabinami trzymanymi w rękach oraz płacz młodszej ode mnie siostry wyrwanej ze snu. Taki obraz mam w pamięci, widzę jak Mama brała ciepłe ubrania, jakieś jedzenie i prosiła, aby nas zostawiono w spokoju. Jej płacz i zdenerwowanie nic nie dały. Przed chałupą stała już furmanka, a w niej siedział znajomy Ukrainiec, gospodarz z niedalekiego sąsiedztwa, który zawiózł nas do remizy strażackiej, w której było już trochę podobnych do nas ludzi wygnanych z własnych domów. Ukrainiec ten współczuł nam i zapytał jadącego z nami żołnierza czy może na chwilę zatrzymać się przed swoim domem, skąd starsza kobieta wyniosła zawiniątek, w którym jak się potem okazało były kawałki słoniny, chleb i smalec owinięte w kolorową kapą. To ona towarzyszyła nam w drodze na zesłanie, chroniąc przed zimnem, a potem na zesłaniu ratowała nas od chłodu. Mocno obszarpana powróciła z nami do Polski, chociaż nie do wsi opodal Tarnopola, gdzie mieszkaliśmy przed wywózką w osadzie, w której byli tak jak i my tzw. osadnicy wojskowi. Oni też tej samej nocy zostali wywleczeni ze swych domów i pojechali na Syberię. Tata mój walczył w oddziałach Józefa Piłsudskiego i posiadał jakieś odznaczenia, których nie odnaleźli wspomniani żołnierze przeszukujący dom. Pozostały więc w domu, który opuściliśmy owej nocy, gdy nas aresztowano. Tata tego fatalnego dla dnia był poza domem, bowiem nie wrócił z Tarnopola, gdzie pojechał na targ by kupić uprzęż dla młodego konia. Potem ukrywał się przez wiele lat pod zmienionym nazwiskiem i zmieniał miejsce zamieszkania. Tym nowym nazwiskiem podpisywał także listy, których parę dotarło do Kazachstanu. Spotkaliśmy się z nim po wojnie, gdy wróciliśmy z zesłania.

Na ten powrót czekaliśmy aż do 1946 roku. Pamiętam jak kiedyś przyszła nasza rosyjska sąsiadka, której syn zginął na wojnie i powiedziała do Mamy, że będziemy wyjeżdżać do Polski. W rzeczywistości tak też było, ale najpierw pytano mieszkających w osadzie Polaków czy chcą tam wracać i chętnych wpisywano na listę. Wszyscy mieszkający w naszym „posiołku” wpisali się na ten wyjazd. Decyzja ta była chyba najwidoczniejszym rysem naszego stosunku do „sowieckiego raj”, w którym cierpieli także sami Kazachowie, mimo iż od wieków był to ich kraj. Kołchozem, w którym pracowali Polacy zarządzał Rosjanin. Byli też w nim Kazachowie, najczęściej opiekujący się bydłem wypasany w stepie. Świetnie jeździli na koniach, a do pomocy mieli chłopców, nieraz rekrutujących się z polskich zesłańców. Pamiętam, że sam chciałem być pomocnikiem pastucha, bo przez całe lato można było wędrować po stepie, zamiast mieszkać w brudnych barakach i wyrzucać gnój z chlewów. Byłem jednak za mały do tego by zostać takim pomagierem. Był nim natomiast mój

starszy kolega, który nauczył się doić krowy, gdy pasły się w stepie i mleko zaspakajało jego głód. Miał przy sobie pudełko po konserwach, do którego po kryjomu doił krowę. Wiedział o tym sędziwy Kazach pilnujący tego wypasu, nie karcił go jednak za to, ale przestrzegł, aby nikomu o tym nie mówił i uważał na rosyjskiego kierownika kołchozu, który mógł go poważnie ukarać, nawet więzieniem lub wysłaniem do pracy w kopalni. Pamiętam dobrze swoje po tej opowieści wrażenie, które napawało mnie nadzieją, że jak podrosnę to też zostanę pomocnikiem pastucha. Nie znam więcej odpowiedników podobnych konkretnych sytuacji i generalnie nie słyszałem od starszych osób, że ci mieszkańcy stepów byli nieprzyjaźnie nastawieni do Polaków, którzy zostali tu zesłani. Czy mogło być inaczej? Zapewne nieraz było!

Pomocnikiem pastucha jednak nie zostałem, bo skończyła się wojna i coraz częściej przebąkiwano o tym, że Polacy wyjadą. Sposobiła się też do tego Mama, która nieraz suszyła na słońcu kromki chleba, by mieć je na drogę powrotną, i nie wiem, jakim sposobem uzbierała trochę mąki. Przynieśli też coś z jedzenia dobrzy Kazachowie i Rosjanie, z którymi byliśmy barakowymi sąsiadami. Wreszcie nastąpił długo oczekiwany moment powrotu. We wsi pojawił się jakiś Polak, który rozmawiał z rodakami i zbierał od nich dane osobowe potrzebne do list wyjazdowych. Nas była trójka – Mama, siostra i ja. Po pewnym czasie od tej wizyty dostaliśmy trzewiki i jakieś odzienie. Pamiętam, że otrzymałem szerokie spodnie, o długich nogawkach. Podwijałem je parę razy by nie przeszkadzały w chodzeniu. W spodniach tych wróciłem do Polski, ale jeszcze przed podróżą Mama obcięła część długich nogawek.

Oczekiwanie na wyjazd przedłużały się. Nastął maj 1946 roku i dość niespodziewanie przyszedł list od Taty. Informował w nim, że nastąpiła zmiana granic, a Tarnopol, Stanisławów, Lwów i okolice nie należą już do Polski, bo są w granicach Ukrainy, a my, gdy wrócimy do kraju to zamieszkamy gdzieś w zachodniej jego części. Wyjechaliśmy z Kazachstanu w maju. Odjeżdżających Polaków żegnała cała wieś. Dowieziono nas ciężarowym samochodem do Pietropawłowska, a stamtąd w wagonach towarowych podążyliśmy do upragnionej Polski gdzie oczekiwał na nas Tata i reszta rodziny. Ten krótki opis zesłańczego bytowania to obraz prawdziwy, skrótowy, bez szczegółów, ale też bez jednostronności. Drugi wątek życia po powrocie z zesłania, to już inny temat o zróżnicowanej faktografii ludzkiego losu.

*

Jadwiga Chorąży-Kwapiszewska – Wspomnienia wojenne córki leśnika z Puszczy Białowieskiej (Fragmenty)

To było naprawdę.

Prawie pół wieku milczenia o ludziach niewinnych, zrywanych w środku nocy, przestraszonych i pędzonych na Sybir całymi rodzinami z małymi dziećmi i garstką dobytku, często przypadkowego.

Już teraz można o wszystkim mówić i pisać. Wiele jest książek i publikacji na ten temat. Sybiracy chcą mówić i dużo mówią. Jest to na pewno jakaś

forma odreagowania duszonych w sobie przeżyć. Choć szczegóły przejść są różne, to przeważnie zaczyna się „10 lutego 1940 roku”. [...]

O zsyłce leśników z Puszczy Białowieskiej do Gromatuchy opisała bardzo szczegółowo Pani Aniela Parowacz pod pseudonimem Anna Mironowicz we wspomnieniach „Od Hajnówki do Pahlawi” wydanych przez „Editions Spotkania”.

Pani ta była tam, na Syberii moją nauczycielką. Jako dorosła osoba miała szansę więcej zapamiętać, a i patrzyła innymi oczami niż dziecko. Po przeczytaniu jej wspomnień, wiele we mnie odżyło. Stała w oczach bezwzględna tajga, która może jako okaz przyrody, jest piękna dla patrzących na nią ludzi sytych, właściwie odżywianych i spokojnych, że po tej przygodzie wrócą do ciepłych domów. Myśmy mieli wszystko na odwrót i w tej okropnej bezsilności trzymała nas jedynie wiara, że tylko Bóg może nas wrócić na „Ojczyzny łono”.

Chcę opisać tylko to, co sama pamiętam oraz to, co moi rodzice przeżywali i relacjonowali mi później. [...]

Wybuch drugiej wojny światowej zastał nas w Hajnówce, gdzie ojciec był nadleśniczym Nadleśnictwa Hajnówka.



Nadleśnictwo Hajnówka, zdjęcie wykonane w 1937 roku.

Po drugiej stronie ulicy było Nadleśnictwo Leśniańskie, gdzie mieszkali państwo Eleonora i Michał Tomaszewscy. Pan Michał był nadleśniczym w tym Nadleśnictwie. Pani Ela była częstym gościem mojej Mamy, szczególnie przed urodzeniem mego braciszka, bo sama nie miała potomstwa i przeżywała to oczekiwanie z wielką radością. Mama ją bardzo lubiła i ceniła, ale okropnie obawiała się, że zapatrzy się na jej nos, który stanowił najmniej udany element jej twarzy. Długo potem się śmiano w rodzinie, że Staś ma nos pani Eli, dopóki nie ukształtował mu się własny dojrzały format.

Parę dni po wybuchu wojny przyszło rozporządzenie, że wszyscy mężczyźni leśnicy mają ewakuować się w stronę granicy wschodniej. Mama powiedziała, że samego ojca nie puści i jedziemy całą rodziną razem. Naszą pięknie utrzymaną parę koni (kasztan i gniady) zabrało (za pokwitowaniem) wojsko polskie, więc ojciec kupił silnego siwka. Zaprzężono go do wozu, naładowano trochę rzeczy i suchego prowiantu, usadowiliśmy się na wozie i pojechaliśmy do Hancewicz (położone między Łunińcem a Baranowiczami) gdzie mieszkali wujostwo Mościńscy (młodsza siostra Mamy) z babcią Julią. Dojechaliśmy do Prużany, kiedy dowiedzieliśmy się, że sowieci przekroczyli naszą wschodnią granicę. Był to „nóż w plecy” i pamiętny dzień 17 września 1939 roku.

Dalsza podróż była bezcelowa, musieliśmy zawrócić z powrotem do domu. Wszędzie były już białoruskie patrole i częste legitymowanie. Pamiętam, jak dziś, scenę kiedy wywleczono ojca, postawiono go pod ścianą jakiegoś budynku i przykładano mu rewolwer do skroni. Błada Mama usiłowała coś im wytłumaczyć. Bardzo przeszkadzały im „białe ręce” ojca. Na szczęście nasz stangret poświadczył, że ojciec nie był „krwiopijcą” i puścili nas. Pojechaliśmy dalej do Hajnówki. W domu zastaliśmy istne pobojuwisko. Wiele rzeczy skradzionych, a reszta porozrzucana na stopy. Nam kazano się przenieść do sekretarzówki Nadleśnictwa Leśniańskiego i tam mieszkaliśmy do wywiezienia – 10 lutego 1940 roku.

Pan Michał Tomaszewski nie wrócił z ewakuacji (zginął w jakiejś strzelaninie z patrolami białoruskimi), a pani Ela była u nas częstym gościem. Wiem, że słuchali z ojcem Londynu, komentowali wydarzenia i ciągle czekali na decydujące ruchy państw alianckich.

Kiedy radio nic ciekawego nie nadawało, to pani Ela stawiała kabałę i starała się znaleźć jakieś pocieszenie. I w taki właśnie sposób dnia 9 lutego rozłożyła karty, spojrzała, zachnęła się i prędko je zebrała. Przerażona powiedziała do mojej Mamy: „Takiej karty jeszcze nie widziałam. Straszna jakaś podróż wyglądająca jak wielki pogrzeb!! Nie, to niemożliwe”.

A jednak o godzinie pierwszej w nocy zbudził rodziców łomot do drzwi. Ojca posadzili na krześle, z pistoletem przy skroni (tradycyjnie) no i słowa: „Przesiedlamy was do innego rejonu, zbierajcie się, furmanka czeka”. Ojciec błady, Mama roztrzęsiona, a żołnierz sowiecki popędza, żeby szybciej pakować się. Dwóch młodych żołnierzy Rosjan, którzy mieli pilnować nas zaczęli pomagać. Mama mówi: „Jak się mam pakować jak nie mam tyle walizek?”, a on rzecze: „Głupia”. Ściągnął z łóżka prześcieradło, wrzucił na nie pościel i związał tobolek. Mama oprzytomniała i przy jego pomocy wyrzucała z szafy odzież, bieliznę, albumy ze zdjęciami. Trafił się nawet wazon kryształowy – prezent ślubny, od chrzestnego ojca, z huty Niemen. Wiązali toboły w kapy, koce, a nawet w kilim 3,5x2,5 metra, który potem służył nam i za ściankę działową i za posłanie. Wrócił z nami w znacznej swej części, bo był wleczony przez lokomotywę i rozerwał się. Szybko załadowano nas na furę i zawieziono na dworzec. Mróz był tej nocy fatalny, Mama zmarła w nogi, bo miała tak zwane śniegowce na obcasach a w środku pantofle. Nie pozwolili jej iść przy saniach i efekt był taki, że odmroziła duży palec u nogi. Mnie ubrano w czarne walonki z kaloszami, w których gosposia chodziła doić krowy.

Na stacji włączono nas do wagonów towarowych. Byliśmy wcześniej i zajęliśmy górną półkę, mieliśmy więc okratowane okienko.

Po powrocie dowiedzieliśmy się, że okropne wrażenie czynił na patrzących nasz Stasiunio, wyglądający przez to okienko, ze smoczkiem w buzi (miał wtedy półtora roku). Tak właśnie wyruszał na zsyłkę jeden z najmłodszych Polaków (katorżnik).

Pierwszej nocy obudził nas straszny wrzask „z parteru”, to pan adiunkt z Leśniańskiego dostał ataku lęku w zamkniętej przestrzeni. Potem już tylko gwizd lokomotywy, stukot kół i na określonych stacjach odryglowywanie drzwi, wstawianie zupy w wiadrach, wrzucanie na podłogę worka z chlebem z informacją po ile na osobę. To wszystko już ludzie opisali, dlatego streszczam się.

Po paru dniach zameldowano do „opiekujących się” pociągiem, że potrzebny lekarz, bo Mamie spuchł ten odmrożony palec u nogi i okropnie bolał. Pamiętam jak wbiegła do nas na jakiejś stacji „doktoryca” w jasnym kożuszk, ciepłej czapie i w takich „śmiesznych butach”. Potem dowiedziałam się, że były to pimy – tłoczone z filcu bardzo twarde ale ciepłe. To chyba patent syberyjski. Ojciec w czasie tej podróży ze zdziwieniem zauważył, że przodująca władza radziecka nie odświeżyła nawet dworców od czasu pierwszej wojny światowej.

Z początku dużym przeżyciem dla rodziców było, jak wypuszczali nas: „panie na prawo, panowie na lewo”, potem wszyscy zobojeźnieli i każdy biegł gdzie było szybciej. Niesamowite wrażenie zrobiła na mnie wspólna łaźnia z odswawianiem. Te tłumy nagich kobiet o przedziwnych kształtach. W pewnym momencie stanęłam jak wryta. Musiałam mieć pewnie wytrzeszczone oczy, bo jedna taka rzekła: „Co? Baby nie widziałaś? To patrz” i zaczęła przerzucać fałdami na brzuchu z dołu do góry. Mama mnie odnalazła i pociągnęła za sobą.

W Nowosybirsku ojciec wrócił z wędrowki po peronie (był dłuższy postój) i powiedział: „Chodź, zaprowadzę Cię do Lali, bo w tym pociągu jadą państwo Kwapiszewscy, ich wagon mają odczepić, gdyż część pociągu pojedzie na południe.” Spotkanie i pożegnanie było krótkie, ale pamiętam dobrze kotkę Pusię, siedzącą na postaniu obok Mamy Kwapiszewskiej.

My pojechaliśmy w stronę Krasnojarska. Wyładowano nas na stacji Marinsk i załadowano na ciężarówkę. Dojechaliśmy do Makaraki. Jest to port na rzece Kija i spora osada. Po przenocowaniu w poczekalni portowej dalej wieźli nas saniami po lodzie zamrożonej rzeki Kiji.

Dowiedzieliśmy się później, że w tym rejonie częste były zamiecie śnieżne, ale zawsze w pewnym czasie ustawały na około 10 dni. Wówczas mobilizowano okoliczną ludność do odśnieżania rzeki, a następnie po lodzie transportowano zapasy żywności itd. w górę rzeki na cały rok. W ciągu roku tylko poczta kursowała na koniach, które ze względu na przyszcycę zmieniano co 25 kilometrów.

Gromatucha

Po ponad miesięcznej podróży z Polski dobrnęliśmy do posesiłka Gromatucha. Była to niewielka osada górnicza, wyeksploatowanej już kopalni u podnóża gór Sajańskich. Chałupa drewniana 4x4 metra z piecem ruskim musiała pomieścić trzy rodziny (12 osób). Jak się napaliło, a chatę obsypał śnieg, to było nawet zbyt ciepło, ale przez otwierane drzwi wchodził ostry mróz.

Nasz Stasiunio dostał biegunki, bo mleko od krów miejscowych, którego trochę Mama z trudem zdobyła, trzeba było mocno rozcieńczać dla naszych

zołądków, a o tym nie byliśmy dokładnie uprzedzeni. Przychodził do nas lekarz, stara pocziwina, nawet niezły fachowiec, ale leków nie było za dużo. Siedziba jego była przy szpitalu w miejscowości Udarnoje, za sąsiednią górą.

Wszystkie osady były tam w kotlinach górskich zwykle w dolinach rzek. Choroba nie ustępowała, dziecko słabło. Aż nagle wysoka gorączka powaliła go całkowicie. Lekarz stwierdził zapalenie płuc. Widocznie częste siedzenie na nocniczkę przy otwieranych drzwiach ze wspaniałym nawiewem mrozu zrobiło swoje. Z zapalenia płuc udało się Stasia wyleczyć, a wysoka temperatura zahamowała biegunkę. Przyznał się lekarz potem, że z samej biegunki by go nie uratował.

Potem nam wszystkim zaczęły dokuczać wrzody. Ja miałam nad piętą od strony wewnętrznej nogi, a potem kolejno po obu stronach kolan. Lekarz przykładał maść ichtiolową i nie pozwalał rozwijać przez kilka dni, a po zdjęciu tego opatrunku wyłaził „czop ropny”, ale twardy (jakby ktoś uciął około 1 centymetra ołówka). Zostawała dziura, która szybko zablizniała się. Blizny mam do dziś.

Ludzi pognano do ciężkiej pracy. Część do wyrębu lasu, z czym wiązały się również długie przemarsze w obie strony, a część poszła do kopalni. Mamę pozostawiono w domu, jako że dziecko nie miało czterech lat. Ojciec był inwalidą drugiej grupy (sztywny lewy łokieć, który był skutkiem napadu bandyckiego i ciężkiego postrzału sprzed wojny. Ojciec wracał wówczas z inspekcji lasu) i komendant nie bardzo wiedział, co z nim zrobić. Przydzielili go do sortowania rudy. Potrzebny był brygadier do zapisywania dniówek, więc byli ojca gajowi i leśniczowie wybrali go do tej pracy jako swego zaufanego. Za pieniądze zarobione w kopalni dostawało się „złote bony” i prawo wstępu do innego sklepu. Tam był chleb czasem bielszy, odzież, a nawet dżem morelowy. W zwykłym sklepie rublowym tylko czarny chleb i proszek gorczycy, który można było rozmoczyć w wodzie i posmarować suchy chleb. Może dlatego do dziś nie lubię musztardy.

Zorganizowano dla nas szkołę. Najpierw pół roku uczyliśmy się wszyscy razem, niezależnie od wieku, języka rosyjskiego. Potem zaczął się program normalnych przedmiotów, ale po rosyjsku. Byłam wtedy zdruzgotana. Przeczytanie i zrozumienie treści jakoś szło, ale wypowiedzenie się w obcym języku było bardzo trudne. Z matematyki też często na początku puszczałam łezkę przy zadaniach gdzie jedną rurą ciecz dopływa a dwoma odpływa. Mama przy pomocy algebry chciała szybko rozwiązać, a ojciec spokojnie siadał, czytał zadanie (znał dobrze rosyjski, gdyż zdawał maturę w tym języku w Mozyrzju), tłumaczył i świat stawał się różowy.

Na wiosnę władze powiedziały, że jeśli wam ciasno to możecie sobie pobudować nowe chaty. Sprowadzili potrzebne narzędzia i wyznaczyli miejsce w poprzek stoku jednej góry, sporo ponad korytem rzeki. Ludzie młodzi zdecydowali się od razu, bo była to szansa opuszczenia zapluskwionych pomieszczeń. Rodzice byli nastawieni sceptycznie, gdyż ojciec miał nie w pełni sprawną rękę. Ale zdarzają się czasem nieoczekiwane wydarzenia. Przyszedł do nas młody leśniczy (z innego nadleśnictwa) pan Stanisław Sokół i zaproponował ojcu, żebyśmy wspólnie postawili chatę. Rodzice byli zdziwieni, że nie wstąpił do spółki z kimś młodszym, ale on powiedział, iż przekalkulował sobie wszystko na zimno. Wycinać drzewa będziemy wspólnie w większych brygadach a pan będzie pomalutku okorowywał pnie, bo ma pan więcej czasu. Ojciec już nie był brygadierem w kopalni, ale o tym incydencie opowiem później.

Zaczęła się budowa. Wszyscy bardzo się spieszyli, żeby przed zimą ukończyć domy. Ci, co mieli dorosłych synów, to rwali do przodu, ale też i pomagali słabszym. Podziwiałam zrobiony przez rodzinę Królów ręczny trak. Zbieraliśmy suchy mech i obtykaliśmy szczeliny między balami. Dużo wskazówek dawali miejscowi ludzie odnośnie potrzeb dostosowania się do wymagań klimatu i sposoby na przeżycie. Jak sobie przypominam, to nasz dom miał 4x6 metra. Miał dwa okna szklane (nie wiem skąd one były, może nam dali?) i drzwi zbite z desek przez naszych panów. Okna były na ścianie dłuższej i wychodziły na stronę osiedla, a drzwi na środku ściany przeciwległej wychodziły na stronę wznoszenia się góry. To było ważne, bo za domem zrobiło się korytarzyk z chojaków (ściany i daszek) i po zasypaniu tego śniegiem mieliśmy tunel, przez który można było wychodzić. Nasz kilim, o którym już wspominałam, został powieszony na belce i dzielił wnętrze na „dwa pokoje”. Na przedłużeniu tej ścianki stał żelazny piec z rurą do góry, aż ponad dach. Dach był też ciekawostką, bo rolę blachy czy papy spełniały płaty kory brzozywej, które trzeba było bardzo misternie zdejmować z uciętego pnia drewna, aby uzyskiwać duże i całe płaty.

Zaczęła się zima bardzo wczesna, bo we wrześniu już padał śnieg. Tam śniegi padają na nie zamrożoną ziemię i dlatego wiosną na południowych stokach, na urwisku rzeki można zobaczyć wyłazające rośliny i kwiaty, a nad nimi w pewnym odstępie gruba warstwa zbitego śniegu. Nas zasypywało coraz mocniej, aż tylko komin wystawał. Do okien mieliśmy przekopane dojścia do spodu okna oraz tunel na chojakach, który trzeba było przedłużyć zwykłym przekopem w śniegu. Nie chodziło się wtedy po wodę do ruczaju, tylko topiło się śnieg.

Pamiętam jak w czasie zamieci (purga) patrzyliśmy od środka na okno, a ono było zasypywane równomiernie po centymetrze w górę, tak że co godzinę lub wcześniej trzeba było wyjść i odkopać okno i wejście do tunelu. Po takiej zamieci śnieg był po paru dniach na tyle ubity, że chodziło się o „piętro” wyżej.

Dni pogodne były bardzo mroźne, często do -40 stopni Celsjusza. Wtedy oczywiście nie chodziliśmy do szkoły. Pamiętam, jak przyszła do mnie koleżanka i miałyśmy iść do kogoś w pobliżu. Dowiedzieliśmy się, że jest właśnie -40 stopni Celsjusza i Mama przestrzegała nas, żeby zakryć usta i gdyby czubek nosa zbieleł, to natychmiast rozcierać. Ja byłam bardzo ciekawa, jak wygląda świat przy takiej temperaturze. Słońce rzucało światło bardzo jaskrawe poprzez wysokie cedry, wśród których szła droga. Śnieg lśnił i biel jego raziła w oczy. Zerkaliśmy tylko na czubki swoich nosów i prułyśmy szybkim krokiem do celu.

Ponieważ przed zimą nie zdążyliśmy zaopatrzyć się w opał na cały sezon, więc ojciec poszedł wyżej na górę za domem, upatrzył drzewo, które będzie się najlepiej palić i z panem Sokołem ścięli drzewo, ściągnęli niżej i popiłowali. W lecie ojciec chodził i szukał tego pnia, bo chciał go obciąć przy ziemi, długo go szukał i nie mógł go znaleźć. Aż pewnego dnia poszedł w to miejsce i jakoś zadarł głowę do góry z innego powodu i aż krzyknął ze zdumienia. Zawołał nas i pokazał ile śniegu było w zimie. Ten niby pień miał prawie cztery metry.

Jeszcze na jesieni władze sprowadziły krowy i sprzedawali po przystępnej cenie, czy też na raty. Wiem tylko, że rodzice coś sprzedali z rzeczy przywiezionych z Polski i nabyli z Sokołami krowę, która okazała się nie cielna, wbrew

zapowiedziom, i była powyżej średniego wieku. Mleko jednak było całą zimę, a pod koniec przynajmniej dla Stasia. Ten ostatni był ciekawski i wesolutki, szczególnie przy jedzeniu. Tak długo się kręcił i rozprawiał, aż trącił łokciem kubek i mleczko poleło się wzdłuż ławy, przy której miał spożywać posiłek. Wołał wtedy głośno i radośnie: „fancyk”, bo tak nazywał zmywak lub ściereczkę. Zaczęliśmy go pilnować, ale wystarczył moment nieuwagi i spektakl był powtórzony. Mama już prawie płakała, bo tego mleka było jak na lekarstwo, a jako lek stanowiło cenne pożywienie dla rosnącego malucha. Z pożywieniem to w ogóle były kłopoty. Rodzice po kryjomu chodzili za naszą górę do rosyjskiego sowchozu i jakąś rzecz, z przywiezionych z Polski, wymieniali na ziemniaki. Przynosili je w plecakach zrobionych z worków. Miarą wymiany było wiadro. Ojciec dwa wiadra, a Mama jedno wiadro przynosili na plecach. Droga była trudna. Od strony kołchozu najpierw długo szło się prawie po nizinie, a potem wysokie podejście na naszą górę. Trzeba było iść przez ten szczyt (był on bardzo długi), bo tędy szła przesieka ze słupami od telegrafu, który dawał naszemu komendantowi jedyną możliwość szybkiego kontaktu z władzami. Idąc przez las można było zabłądzić lub narazić się na spotkanie z brunatnym misiem.

Na przednówku ziemniaki gotowało się w łupinach żeby jak najmniej się zmarnowało. Kiedyś mieliśmy ziemniaki wielkości orzecha laskowego i zdejmowanie z nich skórki było bardzo żmudne. Ważnym pożywieniem i lekarstwem przeciw szkorbutowi była tak zwana kołba, o smaku cebuli, którą Rosjanie nawet kisili jak kapustę. Był to syberyjski czosnek. Wtedy jeszcze mieliśmy sól, tak więc pożywienie niewiele lub wcale nie okraszone miało jakiś smak. Nie tak jak potem w Kazachstanie, lebioda ugotowana na wodzie bez soli, mąki i okraszy, do której można by było tylko w wyobraźni dołożyć sadzone jajeczko na masełku. A wyobraźnia nie przestawała działać – może to nas podtrzymywało na duchu. Ojciec wraz z innymi inwalidami był zawsze wzywany do kopania grobów dla tych, którzy musieli zostać na zawsze w tajdze syberyjskiej.

Tu chcę wrócić do sprawy odejścia ojca z „urzędu” brygadzysty. Z początku ta praca wydawała się normalna. Zapisywał obecnych, przyznawał dniówki do rozliczeń, itp. Po krótkim czasie ludzie zaczęli chorować, słabnąć i ojciec chcąc pomóc, starał się pewne rzeczy tuszować. Raz komendant zwrócił mu uwagę, więc się tłumaczył, że pewnie coś przeoczył, ale w duszy nie miał zamiaru się poprawiać. Zaczął się jednak gryźć, bo żył w rozdwojeniu, wierząc, że nie znajdzie się donosiciel. A jednak się znalazł. Na szczęście ktoś z ludzi uczciwych uprzedził ojca, więc przygotował się na rozmowę. Ta jednak była krótka, zakończona decyzją, że funkcję tę przejmie (ten co donosił) jeden z byłych gajowych z ojca nadleśnictwa.

Z jednej strony był zadowolony, że bez wielkiej awantury przestaje pełnić tę trudną funkcję, a z drugiej było mu bardzo przykro, bo właśnie ten człowiek zawdzięczał mu wiele. Był to jeden z młodszych gajowych pochodzenia białoruskiego. Nie wiem czy rok, czy dwa przed wojną zachorował na gruźlicę. Miał żonę i chyba dwoje dzieci. Ojciec, bojąc się, że władze wyższe mogą go zwolnić z tej służby i rodzina zostanie w nędzy, nic nie meldując, poprosił gajowych, których rewiry przylegały do jego, aby podzielili się jego obowiązkami na czas pobytu jego w sanatorium i jeszcze potem, aby mógł wrócić do sił. Ludzie się chętnie zgodzili, bo ojciec był przez nich bardzo lubiany i szanowany.

Człowiek ten (ja nie chcę wymieniać jego nazwiska) w kopalni znów zaczął kasać i pewnie pomyślał, że pracując jako brygadzysta, nie będzie musiał cały dzień przebywać w otoczeniu lejącej się wody po ścianach sztolni. Ludzie jednak mieli mu to za złe. Po paru miesiącach on zachorował na dobre i umarł. Ojciec oczywiście kopał dla niego dół, ale na pogrzeb nie poszedł. Okazało się, że mało kto go odprowadził. Po pewnym czasie ojciec ma sen, że właśnie on wchodzi do naszego domu i staje w drzwiach. Ojciec mówi: „Wszelki duch Pana Boga chwali”, a on odpowiedział: „I pan Go chwal panie Chorąży”. Ojciec obudził się wstrząśnięty i powiedział: „Chyba przyszedł po mnie”. Chodził markotny i zastanawiał się czego on chciał. Po paru dniach ojciec powiedział, że wieczorem przy „Ojcie Nasz” nastąpiło olśnienie, przecież „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” i zrozumiał, że musi mu przebaczyć. Miał potem sen, że stanął ten człowiek w drzwiach z uśmiechem „od ucha do ucha”. Ojciec odetchnął, bo spełniając właściwy uczynek z jednej strony, z drugiej zaś odsunął od siebie myśl, że zostawi samą żonę z dziećmi na tej strasznej ziemi. Ojciec miał jeszcze jeden ciekawy sen. Śnił mu się mąż najstarszej siostry Antoni Mielniczuk, kochany szwagier i przyjaciel, a mój ojciec chrzestny. Pływał on w jakiejś głębokiej i ciemnej toni i nagle znikł i już się więcej nie wynurzył. Rano stwierdził ojciec, że coś złego przytrafiło się wujkowi i pewnie nie żyje. Rzeczywiście w tym właśnie czasie w 1941 roku ciężarówka uciekających wojsk rosyjskich przygniotła go do parkanu, gdy wieczorem wracał z pracy z dyżuru kolejowego, powodując wylew wewnętrzny. Żył tylko kilka godzin.

Wczesną wiosną, to chyba w maju zaczęli nasi panowie szykować ogród pod ziemniaki. Najpierw odgarniało się śnieg, potem karczowało pniaki i korzenie. Rodzice przynieśli ziemniaki i każdy z nich był krojony na kawałki, tak aby w każdym z nich było jedno oczko. Zdziwienie nasze nie miało granic, kiedy taki kawałek dawał plon dużego wiadra ziemniaków, a każdy z nich prawie wielkości ojcowskiej dłoni.

Podziwialiśmy tą syberyjską ziemię, która była tak płodna. Na wiosnę wystarczyło zagłębić się w las za naszym domem, a przechodziło się z polanki na polankę. Każda z nich była zasłana innym kwieciami i w innym kolorze – białe, żółte, błękitne, różowe ale dwie sąsiednie były zawsze inne. Wtedy byłam zauroczona marzyłam, żeby to kiedyś opisać. W lecie rosły nazywane przez nas baldachimy lub dutki. Roślina podobna do rabarbaru, ale miała zielone „rury”, bo w środku puste i chyba białe lub jasne, wysokie, czasem wzrostu człowieka, bardzo mięsiste i soczyste. Zakończone liściem tak wielkim jak ćwierć dużego parasola. Te dutki były przysmakiem krów. Na innych górach gdzie trzeba było iść kilka kilometrów, rosły maliny, czarne jagody, poziomki, itp. Szło się godzinę lub dwie, a w piętnaście minut można było narwać wiadro malin. Było ich dużo i były olbrzymie. Kiedyś Mama z kobietami poszła po czarne jagody w stronę góry Taskiń, był to najwyższy szczyt w tej okolicy. Tam miała swe źródła nasza rzeka, sprzed domu było widać tuż pod jej szczytem takie jakby „białe oko”. Miejscowi mówili, że jest to jezioro zamrożone z wiecznym śniegiem.

Był taki inżynier Zorin w naczalstwie, chyba dyrektor kopalni, który okropnie dokuczał Polakom, a kobiety nasze kłóciły się z nim jak tylko mogły. On kiedyś powiedział, że do swojej Polski pojedziecie jak na Taskile stopnieje

śnieg. No i w 1941 roku w lecie stopniał, a że byliśmy już „wolni” więc Zorin od kobiet uciekał bo mu odwdzięczały się z nawiązką.

Otóż w czasie tej wyprawy po czarne jagody nasze kobiety zauważyły, że dróżka jest mocno wydeptana, a iść dalej nie można było w pozycji wyprostowanej. Najpierw myślały jak iść dalej, aż przyszło im do głowy, że tędy chodzi ktoś na czterech nogach czyli niedźwiedź. Można sobie wyobrazić jak szybko zmieniły kierunek trasy na odwrotny.

Powydzierano się nam obuwiu a Polacy byli zawsze pełni inwencji. Zdobyli brezent na wierzchy „pantofli”, a na zelówki stare opony samochodowe. Pamiętam, że ojciec wycinał zelówkę z części z bieżnikiem, trochę większą. Oczyszczał coś ze środka, aż do „nici” (kort) i przyszywał, jakąś dratwą, do niej starannie uszyty w rękę, przez Mamę, wierzch pantofla.

Muszę jeszcze opisać swoje wrażenie, jak jeszcze wiosną, nie pamiętam już z kim zapędziliśmy się na szczyt naszej góry, żeby zobaczyć co widać z drugiej strony. Wokół, jak sięgnąć okiem otaczały nas łańcuchy gór jedne za drugimi. Wtedy pomyślałam, że jest ich dziesiątki i że z tego obwarowania chyba wyjść się nie da. Myślałam: „O Boże, stąd chyba bliżej do Ciebie niż do Polski”.

Wiosną 1941 roku Mama wysłała kilka listów do naszej rodziny mieszkającej na wschodnich terenach Polskich, obecnie zajętych przez sowietów. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy zamiast listów przyszły chyba trzy paczki, przeważnie ze słoniną, a grubą na „cztery palce” (takiej w tamtym kraju najstarsi ludzie nie widzieli). Z tych listów najbliżsi dowiedzieli się, że żyjemy. Do tej pory nie wiedzieli co się z nami stało. Uważali nas za zmarłych lub zaginionych. Te paczki zdążyły przyjść przed czerwcem 1941 roku czyli przed czołem frontu. Słoniną krasiliśmy skromnie, bo żeby krasić trzeba mieć co, a poza tym szykowaliśmy się już do drogi. Później w wagonie Mama wymieniała z żołnierzami rosyjskimi plasterki słoniny na plaster chleba i dzięki temu żyliśmy dalej.

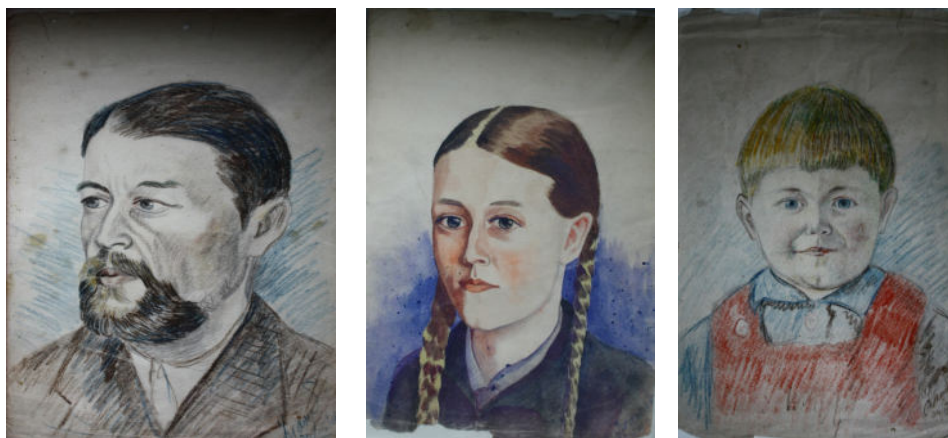
Wszyscy nauczyliśmy się płukać złoto. Dorośli i dzieci szukali szczęścia. Do tego służył „łatok”, czyli jakby niecka, składająca się z dwóch płaszczyzn nachylonych do siebie pod kątem i w połowie długości, tworzących poprzeczny rowek. W nim powinny osiadać kawałki złota, czyli samородki, w czasie potrząsania piasku z wodą. Specjalnie pisać powinny, bo wcale tak dużo tego nie było. Ktoś coś wypłukał, to musiał to zdać i za to otrzymywał „złoty bon”. Nie czuliśmy zupełnie innego znaczenia tego złota. Jako kruszec wydawał nam się bezwartościowy. Pamiętam młyn, przy głównej drodze, w którym „podejrzaną” o złoto rudę, mielono i oddzielano złoty pył i samородki. Widziałam jak niesiono do komendantury ten cenny „pył” wiaderkiem po marmoladzie z przykrywką.

Jeszcze muszę wspomnieć, jak ruscy wozacy „wspaniale” klną. Kiedyś idąc do szkoły napotkałam kilka załadowanych furmanek. Nie pamiętam już dlaczego nie mogłam ich wyminąć, a podążaliśmy w tą samą stronę z taką samą prędkością. Wozy grzęzły, a wozacy klęli. To trwało na pewno więcej niż 10 minut, a żadne przekleństwo nie powtórzyło się. Później usłyszałam słynne powiedzenie, że „wyrugatsa można lisz tolko na Ruskom jazykie” [prawdziwie zakląć można tylko po rosyjsku].

Muszę jeszcze opowiedzieć, jak nasz Stasiunio wybrał się „do świata”. Ktoś mu opowiadał, że sierotkę stara zła macocha wygoniła w świat. Staś był niegrzeczny i Mama powiedziała, że za ten czyn czeka go lanie. On się zbuntował.

wał i orzekł, iż pójdzie „do świata”. Mama powiedziała „dobrze”. Wzięła kawałek chleba (na jego oczach) zawinęła w chusteczkę robiąc węzełek i przynagliła, żeby prędzej wyruszał, bo się ściemni. Stasiunio wziął węzełek i wygramolił się za drzwi. Uszedł parę kroków i zaczął mówić do siebie: „Pójdę do świata, nie zobaczycie mnie już więcej” i tu zaczął lekko płakać. Ale, jak powiedział „nie zobaczę już nigdy Mamusi i tatusia” to rozpląkał się na dobre i wrócił. Innym razem, jak nabroił, Mama rzekła, że powie Sokołowi, a on na to: „nie bojem Sokoła, Sioku oć, oć” i rozpląkał się. Pan Sokół ucieszył się bardzo, że Staś się go nie boi. Uwielbiał naszego malucha, bo swoich dzieci nie mieli. Po wojnie w 1962 roku odwiedził nas w Warszawie. Przyjechał ze swą drugą żoną z Kanady. Wtedy miał już córkę i syna. Spotkanie nasze było wzruszające, ale najpierw zapytał Stasia, już żonatego „czy mnie się nadal nie boisz?”.

Po przyjeździe do Gromatuchy, nasi ojcowie na wzór poprzednich zesłańców na Sybir, zaczęli zapuszczać brody, jako protest chociażby w stosunku do własnego sumienia. Pewnego dnia (nie potrafię określić dokładnie w czasie) może to był 1941 rok, ale już w nowym domu, zjawił się u nas Rosjanin, starszy człowiek, jakiś wędrowca. Nie wiem, czy wracał po odbyciu jakiejś kary? Rodzice znali rosyjski, szczególnie tata, więc z nim długo rozmawiali. Musieli go ugościć jedzeniem, bo w dług wdzięczności koniecznie chciał nam zrobić portrety. Ja miałam kredki, bo wzięłam ze sobą teczkę szkolną i był blok rysunkowy. Sportretował więc ojca, Stasia i mnie. Mama bardzo nie chciała. Wszyscy uważaliśmy, że taty wizerunek był najwierniejszy z „modelem”.



Zbliżało się lato 1941 roku. Chociaż plotki o szybkim wyjeździe się nasiliły to nasze kartofle rosły i robiliśmy zapasy na zimę z czego się dało. Wiadomość o wojnie z Niemcami (22 czerwca – tę datę pamiętam z piosenki śpiewanej później) wywołała poruszenie. Wtedy ojciec uznał, że to może być początkiem, torującym drogę do powrotu. Wówczas jeszcze uważaliśmy, że Niemcy to nie „dzicz wschodnia” i że potrafią uszanować prawa człowieka.

W około 2 tygodnie po podpisanej przez generała Sikorskiego dla nas amnestii, komendant Kopyszew zrobił zebranie i oficjalnie ogłosił, że jesteśmy wolni. Nie będą nas pilnować, ale i nie odpowiadają za nas. Możemy nawet wyjechać dokąd chcemy, ale na własny koszt. To wszystko było radosne, ale też przerażające. Pozostanie w tej mroźnej tajdze (jak pani Mironowicz nazwała –

zimne, mroźne piekło) w wydzierającej się odzieży, mając już tylko ziemniaki, kołbę, orzeszki cedrowe, nie gwarantowało przeżycia. Straszne też było odcięcie od świata. Perspektywa wyjazdu też nie układała się różowo. Wyjechać można było tylko kursującymi dwoma łodziami po rzece. Łodzie te dowoziły coś do kopalni, a wracały puste i można było się nimi zabrać, ale rejs ich w obie strony trwał pięć dni. W górę rzeki ciągnęły je na linach konie, idące brzegiem. Na każdą łódź mogły się zabrać dwie lub trzy rodziny z tobołami. A wyjechać chcieli wszyscy. Młodzi, krewcy mężczyźni bardzo się spieszyli do polskiego wojska, toteż postanowili budować tratwy. Rzeka Kija nie była łatwa do spływu. W dolnej swej części miała wysokie kamienie – jak katarakty, a w jednym miejscu nadwieszoną skałę, pod którą wiry wciągały mniej doświadczonych flisaków. Ojciec opowiadał, że słyszał potem od tych, co przejechali tę trasę, iż wiedząc od miejscowych i od przewoźników o tych niebezpieczeństwach, zatrzymywali się, wysiadali z dobytkiem i szli brzegiem przez góry możliwymi przejściami; tratwy zaś puszczały i potem je wyławiali sobie znanym sposobem. Jak się która rozbiła, to przepadło, robiono nowe.

Sokołowie wyjechali, oboje byli w wieku poborowym. My byliśmy zapisani w długą kolejkę do oczekiwania. Wtedy zrobiło się markotno. Coraz większa cisza w posiołku, coraz więcej pustych chat, szczególnie na naszej „ulicy”, gdzie budowali się ludzie silni i zdrowi, a my byliśmy wyjątkiem.

Czekaliśmy parę tygodni, a mnie się wydawało, że parę miesięcy. Ojciec ciągle chodził na „przystań” sprawdzić jak posuwa się kolejka. Kiedyś wrócił z wiadomością, że włączono trzecią łódź i już możemy jechać. Pakowało się szybko, bo nie było już tak dużo rzeczy, ale każda na wagę złota. Nie pamiętam już, czy ostatnią noc mogłam spać z wrażeń. Ale pamiętam, że spojrzałam ostatni raz na Taskiła z triumfem. W całej naszej podróży i dalszej wędrówce nasze losy były związane z panią Wiktoria Leopoldową, jej córką (z pierwszego małżeństwa) Janką Horbacewiczówną i synem Marianem Leopoldem. Ojciec jego niestety postanowił zostać na Gromatusze wraz ze swoją matką, a po jej śmierci poszedł do wojska generała Berlinga.

W podróży starałam się zapamiętać jak najwięcej widoków. Właściwie płynęliśmy, jak po Dunajcu, tylko było więcej do oglądania. W tej porze roku góry wyglądały pięknie. Każda z nich, w zależności od nasłonecznienia, miała szatę innego koloru. Od różnych rodzajów zieleni poprzez żółć aż do czerwieni przeplecionej brązem. Szczęśliwie udało się nam przepłynąć koło miejsc niebezpiecznych. Ta nadwieszona skała (o której wspominałam) zwana „Mior-twaja Jama” była w miejscu sporego rozlewiska. Ale z jednej strony płycizna, a z drugiej ten występ skalny. On był chyba półtora lub dwa metry nad lustrem wody. Woda pod tą skałą była ciemnozielona, prawie czarna i z daleka wyglądała na spokojną. „Chodziły” pod nią zdradliwe wiry (kipiel) i czuło się od niej chłód. Przewoźnicy w olbrzymim skupieniu starali się nie zbliżyć do niebezpieczeństwa, a my oczywiście modliliśmy się, każdy jak umiał. Przejazd między głazami, też był niebezpieczny. Kosztował wiele wysiłku i uwagi. Raz było takie miejsce, że przed nim wysadzono nas na ląd. Musieliśmy iść brzegiem, ale niestety pod stromą górę, bo ta wylazła nam na drodze. Po piaszczysto-kamienistym podejściu, trzeba było podciągać starszych, no i Stasia nie „wypuszczać z rąk”. Na szczęście przeprawa zakończyła się pomyślnie (myśleliśmy, co będzie jak łodzie rozbiją się i stracimy cały nasz dobytek).

I dobrnęliśmy do portu rzecznego w Makaraki. Stamtąd już nie pamiętam jak dostaliśmy się do stacji Tiażyn. Z biletami nie było łatwo, bo oni mieli zwyczaj sprzedawania tylko tyle biletów ile było miejsc siedzących (czy nawet leżących). Problemem był bagaż, bo trzeba było nasz kosz (taki od bielizny) i tłumok w kilimie oddać do wagonu bagażowego.

Denerwowaliśmy się, czy nam tego nie skradną, ale nie było wyjścia. Mimo wszystko morale było wyższe, niż teraz, bo w Buzułuku odebraliśmy wszystkie rzeczy.

W Czelabińsku mieliśmy przesiadkę. Nie pamiętam, czy długo tam koczowaliśmy, ale pamiętam, że tata musiał *kompansiarować* bilety (czyli przestemplować). Pamiętam jak prawie biegliśmy po peronie do właściwego pociągu. Mama trzymając za rękę dziecko, dźwigała walizkę, ojciec miał walizkę i coś jeszcze trzymał w swej chorej ręce (sztywny lewy łokieć). Ja targałam bardzo ciężką ojca pelisę, a w drugim ręku czarną teczkę ojca, w której były między innymi srebrne sztucce. W tej właśnie chwili zrównał się ze mną chłopak znacznie większy ode mnie i mówiąc: „ja ci pomogę” szarpnął teczkę, a właściwie ja już ledwo ją trzymałam. Chwilę szedł koło mnie, więc pomyślałam, że nie muszę krzyżeć, bo on chyba jest uczciwy i poczułam ulgę. Nagle skoczył w bok z peronu, przebiegł przez tory i zniknął. Rodzice byli za mną już tylko o parę kroków, ale nie było czasu na dłuższe zastanawianie się. Jakoś wleźliśmy do pociągu, a ja długo nie mogłam ochłonąć. Miałam wrażenie, że to moja wina, że za słabo trzymałam tę teczkę – a to przecież był fachowiec. W pociągu jechali żołnierze rosyjscy i wtedy Mama wymieniała z nimi resztki słoniny na chleb.

Dojechaliśmy do Buzułuku, gdzie mieściły się władze polskie. My koczowaliśmy na dworcu, a ojciec poszedł tam dowiedzieć się, gdzie nas mogą skierować. Wrócił bardzo smutny, bo oni byli przerażeni, że nas tylu Polaków przyjeżdża. Nie mogli udzielić należytej pomocy, ale pamiętam, to niestety tam ojciec zetknął się z arogancją. Przyniósł trochę cukru i kakao. Powiedzieli, że kierują wszystkich na południe, gdzie jest na tyle ciepło, iż można przeżyć, mając już słabą odzież. Na drugi dzień rodzice poszli tam do kaplicy, byli na Mszy św. I skorzystali ze spowiedzi i komunii św.

I tak pojechaliśmy do Kazachstanu ze skierowaniem na Farab.

*

**Danuta Żukowska, Bogusław Żukowski –
Zesłańcze wspomnienia z Gramatuchy
w relacji dzieci gajowego z Hajnówki (Fragmenty)**

BOGUSŁAW: Miejscem naszego przeznaczenia, był syberyjski *pasiołek* Gramatucha nad rzeką Kiją. Leżał w bliskim sąsiedztwie większej wsi, określanej przez Rosjan jako *uczastok* [wieś z administracją] o nazwie Udarnoje. Udarnoje to była duża wieś z pocztą, komendanturą NKWD, szachtą kopalni złota i zakładem obróbki rudy złota. Był tam też mały szpital i szkoła.

DANUTA: Udarnoje to było takie serce naszego kompleksu, była tam cała administracja oraz najważniejsze władze. W obręb administracyjny wsi

Udarноje wchodziły też trzy mniejsze osady: Kija, Spasobnyj i nasza Gramatucha. Żyło tam około trzy tysiące ludzi. To wszystko byli zesłańcy i to nie tylko Polacy. Najwięcej było Rosjan. Wszyscy byli zesłańcami. [...] Nawet pilnujący nas NKWD-ziści, też byli z wyrokami. Nie byli więc tam z własnej woli. [...]



1936 r., Hajnówka. Rodzina Żukowskich: ojciec Leonard, matka Sylwestra; od lewej córki: Danuta, Jadwiga i Róża, na rękach matki syn Bogusław

BOGUSŁAW: My, Polacy, mieliśmy status „*spiecpieriesielieńców*“ [przesiedleńców o specjalnym statusie]. Wydzwięk tego słowa w języku rosyjskim mówi sam za siebie: karnie przemieszczeni przesiedleńcy, którzy wymagają specjalnego nadzoru. NKWD-ziści mówili, że przywieźli nas tu, w tajgę, na *pieriewospitanije* [powtórne wychowanie, resocjalizacja], żebyśmy poprzez ciężką pracę mogli stać się *nastajaszczimi sowietskimi grażdananami* [prawdziwymi sowieckimi obywatelami].

DANUTA: Nasza wioska była położona w takiej jakby kotlinie, na wzgórzu okolonym z trzech stron górami a w dole tej kotliny płynęła rzeka. Na przeciwnym brzegu rzeki leżało Udarnoje również otoczone górami. [...]

BOGUSŁAW: Wokół chaotycznie porozrzucane były domki – takie typowe syberyjskie chatynki, liche, wykonane z grubo ociosanych beli drewna, które uszczelniane były mchem i gliną. Chatynki te kryte były drewnem i korą brzozy. Domki były malusieńkie. W nich rzadko kiedy osadzana była jedna rodzina, najczęściej dwie a nawet trzy. Lepsze kwatery z reguły dostawali Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy.

DANUTA: Ta nasza rzeka to była taka górską krzycząca rzeka. Nazywaliśmy ją Kija. Nie wiedzieliśmy – w każdym razie my, dzieci – że rzeka ta nazywa się tak jak nasza osada: Gramatucha i że stanowi jedynie dopływ Kiji. Dorośli na pewno to wiedzieli, ale nie my, dzieci. Ona była bardzo głośna, pełna takich małych spięrzeń i wodospadów. Nawet latem, przy upałach, nie kąpaliśmy się w niej. Nie było o tym mowy... Ona tak szybko płynęła i z taką mocą... Wiosną przy roztopach to niosła ze sobą nie tylko wielkie kamienie, ale i głazy. [...] Nigdy nie zamarała. Nigdy też nie ustawał szum tej rzeki. O okolicy mówiliśmy, że straszy nas widokiem z oddali zawsze ośnieżona góra Taskiła a odgłosem wiecznie hucząca rzeka.

BOGUSŁAW: W Gramatusze była małeńka szkoła i barak wybudowany przez Polaków, który miał służyć jako rodzaj świetlicy – miejsce spotkań z władzami. Był tam też budynek, w którym mieszkał komendant NKWD, a nawet małeńki, nieogrzewany niczym domek (jakieś 2x2 metry) zwany kozą. To był po prostu areszt, w którym w pewnych okolicznościach osadzano mieszkańców.

DANUTA: Do Gramatuchy przybyliśmy wieczorem. Przydzielono nam kwatery. Zaraz pierwszego ranka komendant zarządził zbiórkę wszystkich kobiet i mężczyzn, aby przekazać im obowiązujące zakazy i nakazy. O prawach to raczej nic nie mówił, bo ich po prostu nie było.

– Wy tu będziecie mieszkać po wsze czasy i Polski już nie zobaczycie – tak zaczął swą przemowę komendant. – Wy jesteście dumne polskie pany, ale tu będziecie pracować tak, jak my wam każemy. Będziecie pracować w kopalni złota lub przy wycince tajgi i spławianiu drzewa rzeką Kija.

Dalej komendant poinformował, że z osady nie wolno się oddalać ani chodzić po górach a na opuszczenie wioski trzeba każdorazowo uzyskać zezwolenie. Na zakończenie wskazał pobliski las, gdzie wolno ścinać drzewo na opał, dał Polakom 2-3 godziny na napalenie w chałupach i kazał niezwłocznie stawić się do pracy. Większość Polaków tego dnia po raz pierwszy poszła do pracy.

BOGUSŁAW: Zamknięcie w „kozie” w kilkudziesięciostopniowym mrozie, bez prawa otrzymania jedzenia i picia było nieludzką karą. Na jak długo zamykano takiego nieszczęśnika decydował komendant. Różne mogły być powody takiego osadzenia. Jednym z nich było przyłapanie na samowolnym oddaleniu się z miejsca zesłania.

Komendant robił obchody, sprawdzając po chatach, czy wszyscy zesłańcy są tam, gdzie być powinni. Korzystał też chętnie z donosów. On miał pełną świadomość, że ludzie ten zakaz naruszają i chodzą na wymiany. Wiedział, że Polacy przywiezione z domu rzeczy zamieniają na żywność. Przymykał na to oko, jak miał dobry humor, lub gdy leżało to w jego interesie. Jeśli na taką wymianę szli Polacy do żon NKWD-dzistów, a towary, jakie im oferowali, były uważane za luksusowe, to tolerował to bez żadnych konsekwencji. Tam, gdzie nas zesłano, Gramatucha, to nie był teren zamkniętego obozu, nie było drutów, zaskieków, wierz wartowniczych. Wokół były tylko góry i dzika tajga.

DANUTA: „Najnowocześniejsze” to były tam dwa baraki naprędce przygotowane. My trafiliśmy właśnie do jednego z nich. On był budowany przez ludzi, którzy albo o budowaniu nie wiedzieli nic, albo bardzo się spieszyli. Dorośli mówili, że prawdopodobnie były stawiane szybko, na śniegu, żeby tylko zdążyć przed naszym przybyciem.

BOGUSŁAW: W naszym baraku były dwie lub trzy duże izby z oddzielnymi wejściami z podwórza. W jednej takiej izbie, tej nam przydzielonej, mieszkały cztery rodziny: trzy polskie, jedna białoruska i jeden samotny Polak. Wszyscy byliśmy przywiezieni tym samym transportem. Takie kwatery z mieszaniem zesłańców – mieszanie narodowości – było regułą.

DANUTA: Komendant od momentu naszego przyjazdu do Gramatuchy wyróżniał Ukraińców i Białorusinów. Lepiej ich traktował i dawał lżejszą pracę. Dlatego na przykład Pani Siemieniakowa dostała pracę sprzątaczką w sklepie – to była świetna praca! Co tam było do sprzątania? Prawda jest, że za to od razu większy „pajok” [racja żywnościowa] dostawała. To nie była praca, to była niezła fucha.

BOGUSŁAW: Przez faworyzowanie Białorusinów i Ukraińców starano się budować podziały między ludźmi mieszkającymi w jednym domu. Liczono na rewanż w postaci donosów. Czasami to się NKWD-dzistom udawało, a czasami nie! [...] W baraku było naprawdę ciasno. To było jedno pomieszczenie, jakieś 30 metrów kwadratowych. Mieszkało tam w sumie 20 osób.

DANUTA: W tej naszej chacie szczególnie rolę pełnił piec, niesamowity piec. Wyglądało to tak: wielka, prostokątna, drewniana skrzynia, wysoka na około 60-80 cm, od podłogi zapakowana rzeczonymi kamieniami i żwirem. Na tej konstrukcji leżała a’la piecyk, czyli metalowa rura spłaszczona na górze. To spłaszczenie służyło jako płyta grzewcza. Tam stawiano garnek na zagrzanie wody lub ugotowanie jedzenia. Od tej leżącej rury wprowadzona była mniejsza rura, która szła w górę do dachu i odprowadzała dym do komina. Ta napełniona kamieniami skrzynia była znacznie większa od tego prowizorycznego piecyka. Kamienie i żwir w skrzyni nagrzewały się od gorejącego pieca, długo oddawały ciepło. Ten piec był niewiarygodnie wydajny. Stawiane tam było obuwie i inne rzeczy do suszenia. Nad tą skrzynią z piecykiem na specjalnie wbitych gwoździach rozwieszano mokrą odzież.

W piecyku paliliśmy bez przerwy, żeby osuszyć nasze ciągle mokre ubrania. Nie było możliwości, żeby w tych warunkach buty wyschły w ciągu jednej nocy. Trzeba było je suszyć i suszyć..., żeby wreszcie ojciec miał suche obuwie, wychodząc rano do pracy.

BOGUSŁAW: Kiedy zaraz po przyjeździe polskie kobiety wypytywały miejscowych, jak przebiega tu życie, oni nas pocieszali, żebyśmy się zimą nie martwili, bo zima trwa tu tylko 10 miesięcy a poza tym, to tylko lato i lato...

DANUTA: Lato trwało tylko 2 miesiące, ale było zaskakujące. Takie szybkie, intensywne, upalne. Bywały dni wręcz bardzo gorące, gdy temperatura dochodziła do 40 stopni Celsjusza. Szybko nastawała jednak jesień, która trwała dwa tygodnie – tak najwyżej dwa tygodnie. Potem już były zwiastuny kolejnej zimy. W końcu sierpnia jednego i drugiego dnia poproszył śnieg. Szybko zniknął, ale od tego momentu było dużo, dużo chłodniej. W październiku to królowała już regularna zima.

BOGUSŁAW: W Gramatusze zima faktycznie trwała może nie 10, ale około 9 miesięcy. [...]

DANUTA: Temperatury w październiku, listopadzie spadały poniżej 30 stopni. W środku zimy regułą było, że temperatura wynosiła poniżej 40. Jak pękały cedry to mówiono, że to jest już poniżej 50 stopni. A my słyszeliśmy takie pękające cedry. Niesamowity trzask jest przy tym. Niesamowity... [...]

BOGUSŁAW: W Gramatusze był taki przypadek, że dom zasypało ze wszystkich stron tak bardzo, że przez dach wyciągano z niego ludzi.

DANUTA: Domki czasami były całe poprzykrywane śniegiem. Tylko dym uchodzący z komina wskazywał gdzie stoi dom. Jedni pomagali drugim. Jak jednym udawało się wyjść, to szli odkopywać tych, których zupełnie zasypało. Zasypani śniegiem, od środka nie mogli zrobić nic – zupełnie nic. Wtedy do każdego domu, do każdej tej chaty kopany był tunel w śniegu.

BOGUSŁAW: Na zesłaniu panowała jedna stalinowska zasada: „kto nie rabotajet, tot nie kuszajet” [kto nie pracuje, ten nie je]. Pracujący – jeśli wyrabiał normę – dostawał przydział na 400 gramów chleba dziennie. Małe dzieci i ich matki dostawały go po 200 gramów. Jak ktoś chorował, to nie pracował, więc się nim nie przejmowano. Tacy mieli utrzymać się w wiadomy tylko sobie sposób.

DANUTA: Praca w kopalni czy tajdze trwała od 12 do 16 godzin dziennie. Po 16 godzin pracowali ci, którzy nie wyrobili dziennej normy w ciągu 12 godzin. Dłużej pracowali również ci, którzy chcieli podrobić sobie trudnodnia [coś jak dzień roboczy], czyli podrobić te roboczogodziny, aby dostać większe bony na chleb. Ten dostawało się z przydziału. Sowiecka norma to: 400 g. dziennie dla pracujących i 200 g. dla dzieci i matek małych dzieci (tych, które nie ukończyły 4. roku życia). Precyzując: otrzymywało się nie chleb, tylko bony żywnościowe, które wymieniało się w sklepie na żywość – najczęściej był to chleb.

W sklepie (a raczej maleńkim sklepiku) do czasu, gdy były jeszcze jako takie dostawy, to można było kupić za te bony i inne produkty. Czasami można było dostać przerośniętą kaszę czy zjełczałą mąkę. Jak była dostawa tych produktów, to panowała wielka radość. Ich stan zawsze był marny. Prawdopodobnie ze względu na sposób transportu i zasady przechowywania. [...]

Pracowało się 6 dni w tygodniu. Jeden był wolny. To nie zawsze była niedziela. Dzień wolny, zwany dniem „wychodnym”, był ruchomy. Czasami wypadał w niedzielę, czasami nie. To komendant ustalał, kiedy miał być.

Były momenty, gdy pracowało się dłużej a potem „odbierało” się wolny dzień w innym dniu tygodnia. Często tym dniem manipulowano. Nie wiem czym było podyktowane to ruchome ustalanie dnia wolnego od pracy, czemu miało to służyć. Może dobrem wykonywanej pracy? Może wydajnością? Polacy jednak mówili, że komendant chce ich odzwyczaić od niedziel, bo to według niego taki kościelny dzień.

Latem Polacy organizowali niedzielne nabożeństwa. Zbierali się w jednym z domów, tam ustawiali prowizoryczny ołtarz i się modlili. Było to coś na podobieństwo mszy polowej. Kto się zmieścił do środka, to się zmieścił a pozostali uczestniczyli w uroczystości stając wokół domu. Faktycznie praca w niedzielę zaczęła wypadać częściej po maju. W tym miesiącu codziennie, tuż przed zmrokiem Polacy organizowali nabożeństwa majowe do Matki Boskiej. Mocno irytowało to komendanta. Dużo tych modłów było. Dużo ludzi na te nabożeństwa przychodziło. Ich śpiew gromkim echem rozchodził się wtedy po górach.

BOGUSŁAW: To była wczesna syberyjska wiosna, może nawet nie wiosna, ale jej pierwsze oznaki [dotyczy drugiej wiosny na zesłaniu]. Usłyszałem jak dorośli opowiadają, że po drugiej stronie rzeki ktoś widział już kołbę, czyli coś w rodzaju dzikiego czosnku, który na przednówku był jedynym źródłem witamin. Był wspaniałym lekarstwem na awitaminozę i szkorbut (dwie choroby, które siały wśród Polaków spustoszenie). Nie było jak dotrzeć na tę drugą stronę rzeki. Wokół leżały jeszcze wielkie zasy śniegu. Ja postanowiłem być dla rodziny użyteczny i zdobyć tę kołbę.

Wybrałem się po nią najkrótszą możliwą drogą. Myślałem, że rzeka pokryta jest grubym lodem – tak to z wierzchu wyglądało. Nie wiedziałem, że rzeka ta nigdy nie zamarza a pokrywające ją czapy śniegu tworzą jedynie takie złudzenie. Śnieżne nawisy, przykrywające rzeczne głązy, namarzały szeroko wokół kamieni jedynie cienkim lodem. Przeszedłem kilka kroków i lód się przede mną załamał. Wpadłem jedną nogą, zatrzymując się jednak drugą i rękoma na lodzie. Pędzący nurt rzeki, niosącej kamienie olbrzymią siłą wciągał mnie w swój wir. Na szczęście to zdarzenie zobaczyły idące drogą polskie kobiety... Narobiły rabanu, ale natychmiast zaczęły przytomnie działać. Położyły się jedna za drugą, tworząc swoistą rozplaszczoną drabinę. Rzuciły mi szal czy powiązane chusty (z czego była ta prowizoryczna lina nie pamiętam). Złapałem. Byłem małym, słabo odżywionym chłopcem, więc szczególnie ciężki nie byłem. Tak mnie uratowały...

DANUTA: Wiosna nadchodziła nagle, niespodziewanie. Budząca się do życia roślinność zadziwiała nas. To było coś niesamowitego. Spod śniegu wyłaziły rośliny i podnosiły bryły nie stopionego jeszcze śniegu a nawet lodu. Najbardziej oczekiwaną rośliną była tzw. kołba. Polacy mówili, że kołba to jak krzyżówka naszego pora, cebuli i czosnku (dojrzała kołba była wielkości naszego szczypioru a liście miała zbliżone do pory). Po długiej zimie ludzie byli wycieńczeni, dawał się we znaki brak witamin – szerzyła się awitaminoza, panoszył się szkorbut. Kołba, to był doskonały lek na szkorbut! Tą rośliną nacierano sobie dziąsła a jedzono ją w każdej postaci: surowej, gotowanej, parzonej. Byliśmy tak spragnieni witamin, że wyciągaliśmy te roślinki spod lodu dopiero kiełkujące.

Ludzie twierdzili, że mądra i dobra natura zasiała w tajdze tę wspaniałą roślinę właśnie dla głodujących Sybiraków. Ta kołba występowała jednak tylko wczesną wiosną. Kolejne rośliny, rosnąc, przykrywały ją. Trzeba było spieszyć się z jej zbieraniem zanim bujna roślinność tajgi jej nie zagłuszy. Kołba była dla nas skarbem.

BOGUSŁAW: Barak, w którym nas osadzono został pobudowany w tak nieszczęśliwym miejscu, że pewnej nocy, przy pierwszych wiosennych roztopach, został całkowicie podtopiony.

DANUTA: Po prostu nas podmyło. To był dramat. My przecież nie mieliśmy ani szaf, ani półek. Wszystkie rzeczy, jakie mieliśmy, które przywieźliśmy z Polski, były zmagazynowane pod naszymi narami. Nara to prycza – legowisko zbite z desek. Dla każdej rodziny była jedna taka prycza. Pod nią każda rodzina miała zmagazynowany swój cały dobytek. Na pryczy wykonywało się większość domowych czynności, na przykład Mama myła nas w miednicy, która stała na narze.

To była wielka rozpacz, kiedy ta woda zalała to wszystko. Coś strasznego. [...] Po tym incydencie komendant powiedział, że wie, że w tym baraku nie da się mieszkać, ale nic zrobić nie może. On nie ma kwater, które mógłby w zastępstwie przydzielić, więc nie da. Wtedy powiedział również, że jak chcą, to niech sobie sami wybudują – on da pozwolenie – niech sobie budują.

BOGUSŁAW: Ojciec skrzyknął się z dwoma dawnymi sąsiadami z Hajnówki i zaczęli budować dom. Wspólnie, po 12 godzinnej wyczerpującej szachcie w kopalni, cieli drzewa w tajdze, własnymi siłami, na plecach, ściągali to drzewo na miejsce budowy. Urządzili trawkę do piłowania długich bali drewna na pół lub na deski. [...]

DANUTA: [...] Nieraz już przy księżycu ściągali te drzewa. Trzeba było szybko budować, póki było lato, bo zimą, przy śniegu, już nic nie dałoby się zrobić. Oni prawie nie spali. Targali te drzewa na plecach z tajgi, przychodzili do domu i na chwilę zasypiali, bo zaraz tacy senni musieli iść pracować do kopalni. Mamusia płakała, że katorżnicy nie wytrzymają tego długo. Bardzo płakała. [...]

BOGUSŁAW: Wspólnie wybudowali dom składający się z trzech małych, ale oddzielnych izb. Każda z nich miała własne drzwi wejściowe, własne okno i własny piec. [...] Izby te były – jak na dzisiejsze standardy – malutkie.

DANUTA: Nasz dom to odtąd była ta jedna izba – jakieś 15 metrów kwadratowych. Po lewej stronie od wejścia stał piec. Po prawej stronie była garderoba, czyli gwoździe do zawieszania odzieży i umywalnia (miska i woda w wiadrze). Po przeciwnej stronie od wejścia, w rogach stały dwa łóżka – czyli prycze (nary). Rodzice spali z Bogusiem na jednej, a my we trzy: Jadzia, Róża i ja na drugiej. Pomędzy tymi pryczami było małe okienko a pod nim skrzynia, w której trzymaliśmy przywiezione z Polski rzeczy. To był cały nasz majątek. Ta skrzynia służyła nam też za stół. Nie było mowy, żeby z jakiś desek porobić taborety czy inne sprzęty. Nie było na to czasu, nie było i gdzie tego postawić. Do siedzenia mieliśmy naprędce ociosane pniaczki drzewa.

BOGUSŁAW: Pytanie o sanitariaty w tych warunkach wydaje się wręcz śmieszne. Nie było żadnych. Myliśmy się w miednicy. Do toalety chodziło się po prostu w najbliższy las. Wodę, zaczerpniętą bezpośrednio z pobliskiego potoku, przynosiliśmy do domu wiadrami.

DANUTA: Strasznie prymitywne warunki, ale... Mieliśmy tutaj swój własny kąpiel. Mieliśmy to „swoje”. Mogliśmy suszyć swobodnie obuwie i odzież. Okno było na przeciw drzwi i wychodziło na Taskiłę.

BOGUSŁAW: Z okna widać było górę Taskiłę [potocznie – Taskiła, nazwa geograficzna: Balszoz Taski]. Była ona symbolem uciemnienia Polaków. Górę pokrywała wieczna zmarzlina. Śnieg położony w jej rondlach (tak nazywano olbrzymie plamy bieli pokrywające jej stoki) nigdy nie topniał. Zawsze było białe. Nawet, gdy latem tajga była cała zielona, góra Taskiła z daleka świeciła bielą. [...]

– Pojedziecie, pojedziecie... Pojedziecie do Polski na pewno – śmiał się szyderczo komendant. – Wy tam pojedziecie, gdy na Taskile stopi się śnieg. Nie dawał nam nadziei...

DANUTA: To małe okienko Jadzia, niechcący, któregoś dnia wytłukała... Zimą śniegi były bardzo wysokie. Wtedy do każdego domu schodziło się najpierw w dół schodkami wykopanymi w śniegu, a potem, już do samych drzwi, podchodziło śnieżnym tunelem. Te śniegi – jak wszystko wokół – zasypywały również okno. A ono było jedynym źródłem światła. Trzeba było odrzucać wielkie zwały, żeby wpuścić do domu odrobinę dziennego światła. Ojciec nie miał kiedy tego robić. Wychodził z domu, jak było ciemno i wracał wycieńczony, zamarznęty, najwcześniej po 14 godzinach (droga do Udarnoje zimą w jedną stronę zajmowała około godziny a praca w kopalni trwała 12 godzin). Więc okno przeważnie odśnieżała Jadzia. Brnąc w śniegu (momentami zapadała się po pachy), okrążała dom i łopatą wykopywała duży lej pod oknem, który dopuszczał do izby światło dzienne.

Jednego dnia śnieg pokryty był warstwą lodu. Jadzia poślizgnęła się i z wielkim hukiem butami do przodu wjechała przez okno do domu wraz z łopatą. Wybiła okno. To był niezapomniany koszmar. Paraliżujący mróz natychmiast wdarł się do izby. W domu byliśmy tylko my, dzieci, i leżąca w łóżku chora Mama. W akcie rozpaczony w okno wsadziliśmy poduszkę. Dopiero, gdy ojciec przyszedł z pracy, zorganizował jakieś deski i nimi zabił „na stałe” zięjący mrozem otwór. I tak aż do wiosny nie mieliśmy żadnego światła dziennego, jedynie świecę. Szyba na okno to był towar wprost nieosiągalny. Nie można było iść i po prostu sobie kupić taką szybę... Bo niby gdzie? Nie pamiętam, przez jaki czas nie mieliśmy tej szyby, ale wydawało się, że trwa to wiecznie. Dlatego zużyliśmy więcej świec i mieliśmy w nich deficyt, w ogóle tych świec nie mieliśmy...

BOGUSŁAW: Świece były towarem deficytowym, bo służyły nie tylko do oświetlania pomieszczeń. Nimi nacierano odzież, żeby nie namakała i nie przemarzała na mrozie. Ale takie działanie było luksusem. Nie każdy mógł sobie na to pozwolić. Tak próbowano zabezpieczyć przed przemakaniem jedynie odzież tych, którzy pracowali w kopalni złota...

DANUTA: W tym klimacie, gdzie byliśmy, nie rosły żadne zboża, kompletnie żadne. Niektórzy próbowali uprawiać sałatę i inne warzywa, ale zanim one wyrosły, marzły przy pierwszych niespodziewanych przymrozkach. Rosły tam jedynie ziemniaki. To była jedyna uprawa, którą komendant się szczylił:

– Jak będziecie tu dłużej, to wykarczujecie lasy i będziecie sobie sadzić ziemniaki – mówił.

Kartofle były malusieńkie, bo przecież wegetacja była bardzo krótka. One nie tylko były małe, ale wodniste i lepkie, maziste jak klej. W tych ziemniakach nie wykształcała się skrobia, bo nie było na to czasu. Kiedy przekwitły, od razu trzeba je było wybierać z ziemi. Ale komendant nas pocieszał:

– Rosyjscy miczurinowcy [zwolennicy miczurinizmu] pracują nad taką odmianą ziemniaka, który wyrośnie i będzie duży w ciągu miesiąca.

– U nas, obywatelu komendancie, to włoskie orzechy były większe od tych ziemniaków – odpowiadali Polacy.

– Pożyjecie, zobaczycie, co tutaj będzie – prognozował komendant.

Początkowo, jak przyjechaliśmy, to mówiono, że można tymi ziemniakami zakleić sobie żołądek...

BOGUSŁAW: Dostawy chleba nie odbywały się regularnie. Ciągłe były jakieś zakłócenia. Przychodziły takie dni, kiedy tego chleba nie można było dostać zgodnie z przysługującym czy wypracowanym przydziałem. No, chyba, że za... Złoto! To był żelazny wyjątek. Przydziałowego chleba mogło zabraknąć, ale tego wydawanego za złoto nie. Ten był zawsze. Dlatego kobiety tak rozpaczliwie próbowały w rozlewisku rzeki, w tej lodowato zimnej wodzie, płukać miskami złoto. Ale o tym płukaniu to potem.

DANUTA: Początkowo chleb do Gramatuchy przywożono z Udarnoje. Dopiero później zaczęto go wypiekać w maleńkiej piekarni, która znajdowała się obok sklepu.

BOGUSŁAW: Niezwykle surowy klimat, głodowe racje żywności i mordercza, ponad ludzkie siły praca, wykańczały ludzi. Do tego dochodziły jeszcze coraz częstsze zakłócenia w dostawach mąki do wypieku chleba. Braki skutkowały tym, że te skromne racje chleba czasami w ogóle nie były nam wydawane. Chleb to było coś czarnego, lepkiego, rodzaj wręcz gliny – no, była to bryja!... Ale to był chleb.

DANUTA: Chleb to była czarna bryja, zakalcowaty, mokry, niewyrośnięty, ale jak on nam smakował! Bo to był chleb. O nim się myślało nie tylko w dzień, o nim się myślało i w nocy. Dzieci budziły się wtedy z głodu. O tak, z głodu się budziły... Dziś w to trudno uwierzyć, ale wtedy, tam, dzieci budziły się w nocy z głodu...

BOGUSŁAW: Zimą żywność dla całego kompleksu Udarnoje (wsi Udarnoje i pasiołków: Gramatucha, Spasobnyj, Kija) przybywała saniami ciągnionymi przez konie po zamrzniętej rzece Kija. Dostawy żywności nigdy nie odbywały się regularnie.

DANUTA: Zawsze było jakieś wytłumaczenie. Gdy nie było zimy, mówili nam, że nie ma dostawy, bo najlepsze dostawy są zimą po zamrzniętej rzece Kija. Jak była zima mówili, że zasy pył śniegowe, że purga, że zamieć śnieżna i mrozy... albo ogłaszali kwarantannę, bo konie chore. Zawsze było wytłumaczenie.

BOGUSŁAW: Chcąc przeżyć ratowaliśmy się tak jak i inni Polacy – wymieniając wszystko, co mieliśmy na jedzenie. To były różne, czasami zaskakujące rzeczy, jak: nici, haftki, agrałki czy zamki błyskawiczne. Zamek do spodni, to była na prawdę wartościowa waluta, za którą można było dostać nawet pół wiadra ziemniaków. Niektórzy wręcz wypruwali te zamki z własnych, często jedynych, jakie mieli, spodni, aby w zamian dostać coś do jedzenia. Majątkiem było praktycznie wszystko kawałek materiału, zwykła ścierka do podłogi. Wszystko miało swoją niebagatelną cenę.

DANUTA: Wszystko wymienialiśmy na te malutkie kartofelki – wszystko, co się tylko dało. Wymienialiśmy na jedzenie nawet te rzeczy, które były dla nas niezbędne, takie jak pościel, odzież, igły, nici, papier listowy, ołówki kopiowe – absolutnie wszystko podlegało wymianie. Te rzeczy były wielkim bogactwem i wymieniało się je na te małe maziste kartofle. Przynosiło się je zmrożone, więc taki kartofel ugotowany miał różowy kolor. Być może, gdy kartofle te były wykopywane z ziemi, były w kolorze zielonym. Ugotowane zawsze miały specyficzny smak, różowy kolor, mazistą konsystencję, bardzo mazistą... Ale cóż były na wagę złota. Faktem jest, że z wyżywieniem zimą było

dużo gorzej niż latem. Zimą było wręcz tragicznie. Latem ratowało nas runo leśne tajgi. Ono pozwalało nam przeżyć.

Daleko, bo aż pod górą wiecznego lodu – Taskiłą – były czarne jagody, zaraz po nich owocowały maliny a w lasach tajgi pojawiły się grzyby. Każdy, kto tylko mógł, kto żyw, szedł zbierać to, czym obdarzała nas natura. Przetworów niestety nie było jak robić, nie było cukru, nie było soli ani nie było. Jednak bardzo gorące dni pozwalały na podejmowanie prób suszenia tych darów przyrody. Nam udało się tego pierwszego lata ususzyć trochę malin i czarnych jagód oraz grzybów. A zimą nie było nic, czym można byłoby się poratować.

BOGUSŁAW: Jadzia z Różą poszły w tajgę na maliny. W tym czasie Danusia ze mną miała przebrać maliny zebrane poprzedniego dnia i ustawić je do suszenia na słońcu. Przebieraliśmy te owoce, siedząc na pieńkach w domu. Ta praca była dla mnie monotonna i szybko mnie znużyła. Przerwałem te nudę: złapałem garść malin, ścisnąłem w ręce, aż popłynął sok.

– Krew mi leci, krew mi leci!!! – wołałem.

Danka się rozzłościła. Nie dość, że jej przeszkadzałem, to jeszcze niszczyłem maliny. Zerwała się z pieńka i zaczęła mnie gonić. Uciekając, chciałem rzucić się na postanie, ale poślizgnąłem się na zgniecionych owocach. Uderzyłem czołem w kant pieńka. Trysnęła krew i zacząłem wyć z bólu. Odgrażałem się, że opowiem nie tylko tacie, ale wszystkim, jak to ona mnie skrzywdziła. Kiedy Danusia obiecała mi dać chleba z olejem, momentalnie zapomniałem o bólu. A to, jak odniosłem tę kontuzję, pozostało naszą tajemnicą. Jednak, gdy ojciec przyszedł z pracy, obejrzał ranę i uznał, że jest na tyle poważna, że trzeba natychmiast udać się do szpitala w Udarnoje i ją zszyć.

DANUTA: Szpital w Udarnoje to była nieduża chata z dwoma małymi izbami i przedsionkiem. Była tam zawsze czysta, wymyta, drewniana podłoga. Na niej stały taboreciki – takie prymitywne drewniane i łóżka drewniane. Lekarza tam oczywiście nie było. Był za to felczer, choć niektórzy mówili, że ten człowiek może nawet i nim nie jest. On był Rosjaninem, ale też z wyrokiem. Do tego szpitala kolejno trafiłam ja, Boguś i Róża.

BOGUSŁAW: W szpitalu nie było ani środków znieczulających, ani też dezynfekcyjnych. Na przykład mnie, 5 letniemu dziecku, rozbitą poważnie głowę szyto bez znieczulenia, na żywcą!

DANUTA: Ja do szpitala w Udarnoje chodziłam z Mamusią na opatrunki oka. Wszyscy przechodziliśmy dziwną aklimatyzacyjną grypę, dzieci chorowały na oczy i uszy. U mnie ta choroba się przewlekła. Inne dzieci jakoś wyszły z tego, a u mnie w oku wytworzył się przewlekły stan zapalny. Bandażowali mi to oko, opatrunek zsuwał się ciągle a zapalenie, jak było, tak było. Felczer, jaką maść miał, to taką pakował mi do tego oka. Jak nie miał nic, to wodą oko przemył i było na tyle... Tak mnie leczył.

Idąc wiosną z Mamusią na ten opatrunek, zabierałyśmy w garnek żupę dla taty, bo niedaleko była kopalnia złota – szachta, gdzie musiał pracować. Po drodze do szpitala zanosiliśmy mu żupę, a z powrotem zabierałyśmy pusty garnek. I raz, jak wracałyśmy, to usiadłyśmy z tatą i jego kolegą, bo akurat mieli przerwę. Oni w kopalni we dwóch pchali wózek, którym wywoziło się urobek z szachty złota. Więc, we dwoje usiedli do tego garnka i jedli żupę. Brygadier pozwolił im wtedy z nami odpocząć, bo pracownicy mieli jakąś przerwę prze-

widzianą na jedzenie swoich skromnych racji chleba. Brygadier też był zesłańcem. Oni wszyscy tam byli zesłańcami... Do tej szachty, gdzie pracowali, był taki wlot, taki tunel, ciemny tunel, ale... Były szyny. Po nich metalowymi wózkami wywożono urobek z wyrobiska kopalni. To były bardzo prymitywne warunki. W ten dzień, kiedy zanosiliśmy zupę tacie i jego koledze, Mamusia była w nienajlepszym nastroju. Tatusia towarzysz, a w zasadzie współtowarzysz niedoli, powiedział:

– Niech Pani popatrzy na tę roślinność. Przecież to jest przyroda niepowtarzalna, będziemy mieli, my i nasze dzieci, co wnukom opowiadać... To jest niesamowite, że śnieg schodzi i od razu zielona roślinność po prostu szybuje w niebo.

– Tak, bo gdyby nie ta bujna zielona roślinność, to biało by tu było od polskich kości – odpowiedziała. Mamusia.

BOGUSŁAW: Kopalnia złota to miejsce nieprzypominające w żaden sposób, jakiegokolwiek z kopalń istniejących w świecie. Urobek wywożono z tunelu w ziemi, prowizorycznie zabezpieczonego lichymi drewnianymi legarami. Była to po prostu duża dziura w ziemi.

DANUTA: Ten tunel był podpierany od góry jakimiś drewnianymi stemplami, czy jak to się tam nazywa i były takie boczne odgałęziające się sztolnie. Ja tam wchodziłam z partią panów (pracowników kopalni), którzy wyjechali z pełnymi wózkami na powierzchnię a po ich opróżnieniu wracali z powrotem.

– Chcesz zobaczyć? Chcesz pójść tu kawałeczek? – pytali.

No to dopóki to światło dzienne tam wpadało, to ja szłam, a potem to już się bałam, nie poszłam dalej.

– Dalej zobaczysz, jakie tam są boczne sztolnie, jak tam ludzie leżą i wydłubują rudę.

Te słowa napełniły mnie jakoś takim smutkiem, bo pomyślałam sobie, że mój ojciec też tak musi ciężko pracować. Oni tam mieli zmiany. Najpierw leżąc, nadłubali tej rudy do worków i kamieni na wózek, a jak był pełen, to wywozili to na powierzchnię. Wtedy mieli tę cenną chwilę na rozprostowanie kości. Z tego, co pamiętam, to było takie przerażające: bo tu światło dnia padało i ile oświetlało to oświetlało... A dalej panowała ciemność. Każdy z pracowników miał taki kaganek ze świecą, taki mały, czworokątny zawieszony na szyi, zwiślał na piersi. Ojciec przynosił czasami ten kaganek ze sobą do domu, żeby go wyczyścić. Świeca kopciła i trzeba było go czyścić.

BOGUSŁAW: Górnik nie pracował stojąc, tylko najczęściej leżąc. Często nie można było użyć kilofa tylko trzeba było posłużyć się żelaznym rylcem. Górnicy podążali za żyłą rudy złota, która z reguły była wąska, żeby posuwać się na przód, trzeba było drążyć wokół też i skałę – przynajmniej na szerokość leżącego człowieka.

DANUTA: Praca w kopalni była naprawdę katorżnicza, bo nie dość, że to były bardzo prymitywne warunki, to nie było odpowiedniej odzieży ochronnej. Tam było mokro, tam przecież woda cały czas się sączyła, kapiała a nieraz wręcz wybuchała, gdy kuli tę rudę a natrafili na jakąś żyłę wodną. Cieków wodnych w tamtych górach było bardzo dużo.

Latem to nie było takie straszne, bo gdy wychodzili mokrzy na powierzchnię to było ciepło. Więc przez te dwa miesiące, można mówić o jakimś względnym komforcie. Zimą to było przerażające, bo ta mokra odzież zamara-

ła na nich na zewnątrz, jak wychodzili. Zamarzała... Buty również zamarzały. Od razu na mrozie pokrywały się grubą warstwą lodu, również od spodu od podeszwy. Stanowiło to ogromne zagrożenie. Stawały się ciężkie jak kamienie, były mokre i śliskie.

A droga z Udarnego do wsi Gramatuchy była bardzo niebezpieczna: nierówna i wyboista. Wiodła po górach pełnych kamieni i korzeni drzew. Mamusia mówiła na nią „droga katorżników”. Była naprawdę straszna. Z chwilą, kiedy tatuś przychodził w tej zamarzniętej odzieży, to, rozbierając go, trzeba było bardzo uważać, żeby nie złamać tej odzieży. Jak się złamie ubranie a potem ono wyschnie, to będzie przecież dziura. Mróz skuwał to po prostu wszystko...

BOGUSŁAW: Poniżej wejścia do kopalni – to jakieś 300 metrów w dół w stronę rzeki – znajdował się zakład obróbki złota. Wydobywana z szachty ruda była znoszona workami do tego zakładu, głównie przez kobiety. Sortowano ją – to również była praca przeznaczona przede wszystkim dla kobiet, a następnie rozdrabniano za pomocą żelaznych bębnow i spiętrzonej wody. Woda ta była zbierana z mniejszych źródeł z gór i olbrzymią rurą doprowadzana do zakładu. Tak wyplukiwane drobiny złota były łączone w większe kawałki przy pomocy rtęci, które potem – nie wiem czy w Udarne, czy gdzie indziej – podobno przetapiano w płytki złota.

DANUTA: [...] Gdzie złoto uzyskiwano już w czystej postaci, tam nie pracowali Polacy, tylko zaufani ludzie komendanta – upoważnieni NKWD-ziści.

BOGUSŁAW: Między kopalnią złota a naszą wioską, Gramatuchą, istniało sztucznie uformowane rozlewisko rzeki, do którego spływała woda z zakładu wykorzystywana do mechanicznego rozdrabniania rudy złota. Woda ta w dużym stopniu spiętrzała wody naszej rzeczki, niosąc ze sobą odpady rudy. Na tym rozlewisku kobiety starając się nie stać w wodzie – co nie zawsze było możliwe – za pomocą drewnianych niecek (rodzaj miski) starały się wyplukać ziarenka złota. Z dna rzeki nabierało się w miskę piasek rzeczny z drobnymi kamieniami, okrężnymi ruchami wyplukiwało i te kamyczki, i piasek, żeby zobaczyć czy na dnie nie osadziły się drobiny złota. Te ziarenka trzeba było zdać do administracji. Tak pracowały wszystkie kobiety i Polki, i Rosjanki.

DANUTA: Płukanie złota nie polegało na wyplukiwaniu samorodków złota, choć i takie się zdarzały. Z reguły wyplukiwało się maleńkie drobiny, malusieńkie. Zbierało się je i większą ilość zanosilo do administracji, aby w zamian, w zależności od wagi, otrzymać bony żywnościowe. Te bony uprawniały do otrzymania żywności.

BOGUSŁAW: Wyplukane drobiny nie zawsze były złotem. Część z nich to był łyszczyk, popularnie zwany „złotem głupców”. W administracji przyniesione drobiny poddawano testowi, aby upewnić się czy na pewno są złotem. Spłaszczano je na małej, prymitywnej prasie. Złoto spłaszczało się pod wpływem nacisku, natomiast łyszczyk się kruszył. Polacy szybko zorientowali się, że przy tych testach są oszukiwani. Postanowili więc samodzielnie poddawać swoje znaleziska owej próbie jakości. Używali do tego moździerz, który przypadkiem, omyłkowo, został wrzucony przez dziecko jednej polskiej rodziny do bagażu i tak trafił na Syberię. Ten moździerz wędrował w Gramatusze po chatach, pożyczany z rąk do rąk.

DANUTA: Pamiętam, jak nasza Mamusia myła złoto. Jadzia też robiła to bardzo często, a Róża to tylko czasem, bo bardzo marzły jej w tej wodzie

ręce. Woda w rzece była bardzo zimna, jak lodowata. Nic dziwnego, rzeka ta wypływała jakieś 2-3 km powyżej, spod góry wiecznych lodów – spod Taskiły.

BOGUSŁAW: Jeśli kobiecie udało się na tych nieckach znaleźć kilka okruszynek złota, jak odstawiła to do administracji, to chleb mogła dostać zawsze. Widocznie mieli jakieś tam zapasy przeznaczone na ten cel i dla NKWD-zistów. To była żelazna reguła, która obowiązywała od pierwszego dnia naszego zesłania. „Dostać chleb” to tak naprawdę znaczy dostać bony żywnościowe, które należało wymienić na chleb. Bony za złoto uprawniały do otrzymania chleba dużo lepszego, jak ten nasz przydziałowy. Chleb za te bony był biały – z pewnością nie cały był z pszennej mąki, ale w sporym procencie. Był on też lżejszy, lepiej wypieczony. Podobny do chleba. Dlatego właśnie bony, za które się go dostawało nazywane były „złotymi bonami”.

DANUTA: To była żelazna zasada, ale funkcjonująca tylko do czasu.

BOGUSŁAW: Pewnego dnia jedna kobieta wypłukała bardzo duży samorodek złota. Polki potem między sobą opowiadały, że żadna z nich tak dużego kawałka czystego złota nie widziała, ale każda chciałaby taki znaleźć. Zrozumiały. Ta kobieta zamiast milczeć, a potem po cichu zdać samorodek do administracji i dostać należną jej (a na pewno dużą) ilość kartek na chleb, zaczęła krzyczeć ze szczęścia. Podbiegł do niej nadzorujący pracę NKWD-zista i kazał pokazać, co ona tam ma.

– To jest *sawieckaja sobstwiennost* [to jest własność sowiecka] – powiedział.

Odwracając się schował samorodek do kieszeni i odszedł. Wszyscy byli oburzeni, ale nikt nie zaryzykował starcia z wszechwładnym przedstawicielem NKWD...

DANUTA: Wraz z nadchodzącą jesienią 1940 roku (pierwsza jesień na zesłaniu) ten jedyny a pewny sposób zdobywania chleba (za „złote bony”) został w sposób naturalny wyeliminowany. Z jednej strony płukanie złota stało się niemożliwe z uwagi na spadającą temperaturę i nadciągające mrozy. Z drugiej topniały „państwowe” zapasy mąki i wypiekanie tego nadprogramowego, lepszego chleba było systematycznie redukowane. W tym czasie zdecydowanie pogorszyło się zaopatrzenie naszego maleńkiego sklepiku. Nikły w nim bezpowrotnie nawet te nieliczne, jak dotąd, artykuły żywnościowe. Nadciągała zima 1940/1941 roku. Wzrastał wielki niepokój wśród Polaków.

BOGUSŁAW: Pewne zdarzenie zapamiętałem na całe życie. Na podwórzu bawiłem się z chłopcem sąsiadów. Była z nami nasza Mama. W trakcie tej zabawy Mama tego chłopca zawołała go. Coś do jedzenia wepchnęła mu w rękę. Zazdrosnym i ciekawym okiem – jak to głodne dziecko – patrzyłem, próbując się domyślić, co on tam dostał, wpakował szybko do ust i przeżuwa.

– Nie patrz tam – łagodnie, ale stanowczo powiedziała Mama. – Od razu, po oczach, wszyscy poznają, jak bardzo jesteś głodny. Nie patrz, a i tobie kochanie będzie lżej... Nie patrz.

Od tego dnia wiedziałem, że głód widać w oczach. Od tego dnia starannie unikałem takich sytuacji. Odwracałem się, żeby nie patrzeć, jak ktoś inny je.

DANUTA: W zimie z 1940 na 1941 rok przyszedł do nas straszny głód. Najgorzej nasilił się zaraz po Nowym Roku. Wtedy były największe przestoje w dostawach i nie było nawet tego przydziałowego chleba. My sami byliśmy z dnia na dzień coraz bardziej wyczerpani, coraz bardziej słabi, niedożywieni a nasze skromne zapasy, też były już wyczerpane. Jak zabrakło nawet tego

chleba, to czarne dni były. To po prostu były czarne dni. Pamiętam, kiedy już nie było żadnej nadziei na zdobycie jakiegokolwiek pożywienia, to ludzie jedli wszystko, co nawet jadalne nie jest. Takim produktem była kawa żołądka. Rosjanie nie mieli kawy zbożowej a komendant twierdził, że palenie zboża na kawę to marnowanie zboża. „Radzieccy uczeni dowiedli tezę, że kawa żołądka jest o wiele smaczniejsza i bardziej pożywna od kawy zbożowej” – powtarzał. W sklepie zimą z artykułów spożywczych dostępna była tylko ta kawa żołądka. I myśmy próbowali tę kawę jeść... Człowiek głodny musi coś zjeść. Skutki tego były jednak fatalne – wymioty i ciężkie zaparcia. Niestety, wbrew teorii komendanta, zdrowiu to nie służyło...

BOGUSŁAW: Z wyczerpania, chorób i głodu ludzie zaczęli umierać. Jeszcze jesienią 1940 roku na prośbę Polaków komendant wskazał miejsce, gdzie mogą urządzić swój cmentarz.

DANUTA: Polacy sami organizowali każdy pogrzeb. Sami cieli na traku drewno na deski do trumien. Bo zawsze każdy Polak był pochowany w trumnie. Z tym, że jeśli ktoś umierał zimą, to często nie było takiego normalnego pogrzebu. Dokopanie się do ziemi, nie rzadko było niemożliwością. Zakopywano trumnę w śniegu, a gdy śniegi puściły i ziemia odtajała, to dopiero wtedy kopano grób i grzebano zgodnie z naszą tradycją. Jako dziecko to mi się wydawało, że tam jest las krzyży, że tam jest dużo tych krzyży.

BOGUSŁAW: Mama od Bożego Narodzenia 1940 roku była bardzo słaba. Już nie wstawała.

DANUTA: Dobrze zapamiętałam Wielki Piątek 1941 roku. W tym dniu Mama jakby przekazywała nam swój testament. W każdej modlitwie czy rozmowie – często – Mamusia powtarzała:

– Pamiętajcie, że jesteście Polakami. Pamiętajcie!

Ale tego dnia rozwinęła swoje myśli. Już wtedy się bałam, że Mama to mówi, bo wie, że umrze. A potem – tak jak przewidziała w nocnej rozmowie z tatusiem – on umrze w tej kopalni. Wydawało mi się to bardzo prawdopodobne. To było już po jego wypadku w kopalni, kiedy zawalił się na niego tunel, w którym pracował. Przywaliło mu nogi. Na szczęście, kiedy go odkopali okazało się, że nie ma żadnego złamania. Z tej opresji wyszedł cały, choć był bardzo potłuczony. Te obrażenia były na tyle mocne, że felczer dał mu zwolnienie od pracy. A to było tam czymś bardzo wyjątkowym.

W ten Wielki Piątek Mama powiedziała, że będziemy odprawiać drogę krzyżową. Zaczęłyśmy a ja się zbuntowałam, że nie chcę tej drogi krzyżowej. Tak sobie pomyślałam, że to nie fajna modlitwa, ciągle trzeba wstawać i klękać, wstawać i klękać. Poprosiłam więc Mamusię, żebyśmy w zamian zaśpiewały dwa razy gorzkie żale. I Mamusia się zgodziła. A potem powiedziała:

– Dzieci, słuchajcie! Zawsze się módlcie. Jak będziecie mieli bardzo źle, to się módlcie, bo będzie nadzieja, że będzie lepiej. Jak będziecie mieć bardzo dobrze, to też się módlcie, dziękując za dobro, jakie was spotkało. I zawsze pamiętajcie, że jesteście Polakami!

Ja w tym czasie, jak to dziecko, o głupotach myślałam. Przypomniało mi się dokładnie wtedy, jak Jadzia jeszcze w domu w Hajnówce nam (mnie i Róży) mówiła, że ona lubi chodzić na drogę krzyżową, bo nie ma długich włosów, jak inne dziewczynki. Dziewczynki, jak idą na drodze krzyżowej od obrazu do obrazu, to są za warkocze przez chłopców nieustannie ciągnane...

BOGUSŁAW: Nasza Mama zmarła 19 lipca 1941 roku.

DANUTA: Jakiś czas po śmierci Mamusi przyszła do nas pani Sokołowska. Przychodziła już wcześniej, pomagała w opiece nad Mamusią, masowała jej nogi, ziółka parzyła. Zawsze po pracy nas odwiedzała. Ona i jej mąż to było bezdzietne małżeństwo. Dla mnie razem wyglądali bardzo zabawnie. Pan Sokołowski był bardzo wysokim mężczyzną a jego żona wręcz odwrotnie, była bardzo niedużą kobietą. I tak, po śmierci Mamy idzie pani Sokołowska niedaleko naszego domu i widzi, jak gdzieś w kierunku rzeki siedzi na pniaczku skulony nasz Boguś. Głowę podparł oboma rękoma, jak stary, zgarbiony dziadek – tak to określiła potem pani Sokołowska opowiadając nam to zdarzenie – i płacze.

– Boguś, czego ty płaczesz? Dziecko kochane! – zapytała?

Boguś stanął na nogi i wyprostował się jak struna.

– To Pani nie wie, że moja Mamusia umarła? To Pani tego nie wie?!

Bardzo płakała pani Sokołowska, opowiadając nam to zdarzenie. Tak ją pięcioletnie dziecko rozpaczające za matką rozczuliło.

Komendant *pasiołka* chciał adoptować naszego Bogusia. Boguś to był taki, o nim wszyscy mówili, że to takie dzielne dziecko. I faktycznie, ja siedziałam i wyłam, że jestem głodna a on brał sanki i szedł jeździć, żeby coś robić, odganiać od siebie myśli o jedzeniu. Czasami szedł do traczki, gdzie ojciec z sąsiadami piłowali drzewo na nowy dom.

– Po co tutaj dziecko przyszedłeś? Tutaj huk, nie możemy rozmawiać – ojciec go pytał?

– Przyszedłem, bo pani Siemieniakowa przyniosła jakieś jedzenie a ja jestem głodny, więc tu sobie do was przyszedłem. Więc Boguś to taki dzielny był.

Komendant po śmierci naszej Mamy, namawiał ojca:

– Ty masz trzy dziewczyny, to masz trzy kłopoty, ty masz tyle kłopotów i masz jednego syna – oddaj go nam! My go wychowamy – to było bezdzietne małżeństwo – my go wychowamy na porządnego radzieckiego człowieka.

– Polacy nigdy swoich dzieci nie wydają. Ja, żebym miał ich nawet jeszcze czworo, to żadnego nie oddałbym. Absolutnie! – odrzekł mu ojciec.

BOGUSŁAW: Trzeba powiedzieć, że wśród Polaków zdarzali się też i tacy nasi rodacy, którzy zachowywali się niegodnie, żeby nie powiedzieć, że wręcz podle.

DANUTA: W Gramatusze był jeden taki przypadek. Chodzi tu o rodzinę o znamienitym, ziemiańskim, polskim nazwisku. Nazwiska nie wymienię tu celowo, bo byłoby to przykre dla wszystkich, którzy je dziś noszą a to przecież nie o to chodzi, żeby na kogoś nakładać piętno. Nazwijmy więc tę rodzinę symbolicznym nazwiskiem „X”.

BOGUSŁAW: Ta rodzina składała się z czterech osób: piękna, dystygowana, bardzo elegancka pani X, dwójka małych dziewczynek (jedna około roku a druga niewiele starsza) i pan X. Przed wojną byli to z pewnością ludzie zamożni, o wysokim statusie społecznym.

DANUTA: W Gramatusze zostali ulokowani (sami!) w stosunkowo dużym (jak na tamte warunki) domu. To był jeden z najlepszych, o ile nie najlepszy, dom z tych przeznaczonych dla zesłańców. Znaliśmy ich. Pani X przyszła któregoś dnia do Mamy i poprosiła o opiekę naszej Róży nad dziećmi. Ona była bardzo miłą osobą. Pani ta nie pracowała jednak, gdy wychodziła

z domu na zakupy nie chciała na ten czas dzieci zostawiać samych. Mamusia oczywiście się zgodziła. Róża chętnie chodziła do tego domu, bo Pani X była jej bardzo życzliwa i dobrze ją traktowała. Dostawała tam zacierki na prawdziwym mleku! Pan X – tak powszechnie mówiono – gorliwie współpracował z naszą komendanturą. Wśród Polaków był otwarcie nazywany szpiclem. Nie dla niego była praca w kopalni czy przy wyrębie lasu.

Pan X był urzędnikiem u komendanta. To chyba on odpowiadał za cenzurowanie korespondencji Polaków. Jakkolwiek, to Pan X był wprost obwiniany o donos na dwóch Polaków, którzy podjęli próbę ucieczki z naszej Gramatuchy. Byli to dwaj dorośli synowie polskiej, sześciuosobowej rodziny, której dwójka dużo młodszych dzieci została wraz z rodzicami w naszym *pasiołku*. Próba ucieczki miała miejsce w lutym lub marcu 1941 roku. Pogoda się klarowała. Było ciągle mroźno, ale słonecznie. Uciekinierzy specjalnie opuścili osadę w dzień wolny od pracy, tak, aby ich nieobecność została jak najpóźniej odkryta. Miało to opóźnić ich poszukiwania i w oczywisty sposób zwiększyć szanse ich przedsięwzięcia. Nadspodziewanie szybko zostali złapani. Nie wiadomo, co z nimi zrobili, nikt nigdy już ich nie widział. Ludzie między sobą mówili, że oni już nie żyją i wyrażali tylko nadzieję, że oby długo się nie męczyli!

BOGUSŁAW: To było niewiarygodnie wielkie poruszenie wśród Polaków. Nawet wśród polskich dzieci. Do szkoły w Gramatusze chodziła wtedy nasza Jadzia i Róża. Opowiadała nam potem Jadzia, że dzieciaki w ramach protestu nie chciały uczestniczyć w zajęciach. Jakby wszystkie zgodnie się zmówiły. Raptem wszystkie były nieprzygotowane, jeden nie mógł odpowiadać, bo bolała go głowa, inny miał chrypę, inny jeszcze nic nie widział. Każdy miał jakiś powód. To wtedy na jedynej ozdobie w klasie, wiszącym portrecie Stalina, pojawiła się „odważna“ dekoracja. Stalinowi ktoś dorysował na głowie rogi a do końcówek wąsów zabawne warkoczyki.

DANUTA: Po tej nieudanej ucieczce komendant natychmiast zwołał wszystkich Polaków do baraku spotkań – a'la świetlicy. Perorował głośno na temat szybkiego sukcesu udaremnienia ucieczki.

– Niech Polacy naiwnie sobie nie myślą, że ktoś spod Taskiły ucieknie – wykrzykiwał. – Władza radziecka ma bardzo długie ręce! Bardzo długie. Pamiętajcie!

Po tym wypadku Róża już nie chodziła do opieki nad dziećmi państwa X. Nie potrafię jednak powiedzieć czy dla tego, że nasi rodzice już się na to nie godzili, czy nie była o to proszona.

BOGUSŁAW: Na początku sierpnia 1941 roku „lotem błyskawicy” rozniosła się wśród Polaków wiadomość, że komendant zwołuje zebranie, bo ma do przekazania bardzo dobrą wiadomość. Część z nas bardzo się ucieszyła, myśląc, że sprawa dotyczy zwiększenia dziennego przydziału na chleb.

DANUTA: Komendant zakomunikował, że został zawarty pomiędzy rządem ZSRR a rządem polskim w Londynie układ zwany potocznie układem Sikorski – Majski (30.07.1941), na mocy którego polscy zesłańcy zostali objęci amnestią. Wśród Polaków zapanowała ogromna radość i niesłychany entuzjazm. Z niecierpliwością czekano na powrót z miejscowości Centralnyj dwóch wydelegowanych z Gramatuchy Polaków na zebranie informacyjne w tej sprawie. Po ich powrocie komendant zorganizował zebranie dla wszystkich

polских „Gramatuszan”, na którym Ci przekazali współrodakom szczegółowe warunki i sposób amnestionowania Polaków. Wielkie poruszenie i ogromne nadzieje wzbudziła wiadomość o tworzeniu się Polskiej Armii w Buzułuku.

Nastawienie do nas NKWD-dzistów, Komendanta i innych Rosjan uległo natychmiastowej zmianie. Wszyscy zrobili się życzliwi. Nagle okazało się też, że jest dużo łatwiej wypracować normę i otrzymać kartki na chleb. Udowadniało to tylko, że Polacy cały czas byli okradani z żywności wypracowywanej w morderczej pracy. Zaczęto nas agitować, żeby nigdzie nie odchodzić, gdzie indziej nie jest przecież lepiej! Tu, daleko od frontu, bezpiecznie jest. To tu powinniśmy zostać i pracować już jako wolni ludzie. Z tego, co wiem, większość, o ile nie wszyscy, Polacy odeszli z Gramatuchy i Udarnoje, jako ostatni zostali państwo X. Nie wyruszali w drogę z rodakami. Pan X bał się zemsty. Ktoś potem kiedyś powiedział ojcu, że stamtąd jednak wyjechali.

BOGUSŁAW: Nasza rodzina opuściła Gramatuchę* w dniu 2 września 1941 roku. Wyruszyliśmy przez tajgę, pieszo do miejscowości Centralnyj. Punktem docelowym naszej podróży był Buzułuk, miejsce formowania się Polskiej Armii.

Opracowanie relacji Dagmara Dworak

* Miejsce zesłania osada Gromatucha określane jest w relacji jako Gramatucha, zgodnie z brzmieniem używanym przez polskich zesłańców.

KRONIKA

• NIEZWYKŁE SPOTKANIE PO 73 LATACH...

Jedna polska rodzina mieszkająca na wschodnich terenach Polski a wojenne losy podobne do wielu innych..., syberyjska wywózka w dniu 10 lutego 1940 r. z Hajnówki w głąb ZSRR, sześciuosobowa rodzina Żukowskich; ojciec Leonard, matka Sylwestra i czwórka ich dzieci (córki; Jadwiga, Róża, Danuta i syn Bogusław). Sześć lat zesłania, z którego nie powróciła zmarła w miejscu zesłania matka rodziny.

Zainspirowana losami mego ojca Bogusława, a przede wszystkim jego marzeniem – zapalenia raz w życiu znicza na mogile matki – wyruszyłam wraz z nim w 2011 r. w podróż w tajgę w poszukiwaniu pasiołka Gromatucha i grobu babci. Niestety zatrzymała nas wtedy wysoka dzika roślinność syberyjskiej tajgi. Do celu zabrakło kilometra, dwóch dokładnie nie wiedzieliśmy ile... ale mimo, to „na tej ziemi” na symbolicznej mogile swojej matki, mój ojciec zapalił świece w 70-rocznicę jej śmierci.

Rok później, wczesną wiosną, gdy roślinność tajgi budziła się dopiero do życia, wraz z mężem, w zastępstwie mojego ojca, pojechaliśmy tam po raz kolejny. Odnaleźliśmy miejsce, gdzie była wioska Gromatucha, kopalnia złota w Udarnoje i polski cmentarz. W tajdze postawiliśmy krzyż¹.

Z materiału zpisanego amatorską kamerą w trakcie pierwszej podróży powstał film „Drogami Pamięci”. W lutym br., w kolejną rocznicę pierwszej syberyjskiej wywózki 1940 roku, film ten był wyświetlany na pokazie zorganizowanym przez Muzeum Wojska w Białymstoku. Wtedy dowiedziałam się, że na sali są dwie osoby – dawni zesłańcy z Gromatuchy; Kazimiera Janiszta z domu Dębczuk i Eugeniusz Simson urodzony tam na zesłaniu. Poznając się czuliśmy jakąś trudną do opisania więź. Wtedy właśnie zrodziła się idea, odszukania innych zesłanych do Gromatuchy osób i zorganizowania spotkania. Wydawało się to jednak mocno karkołomnym przedsięwzięciem, minęły przecież od dnia wywózki już ponad 73 lata. Ale udało się!

W poszukiwaniach pomogło wiele życzliwych osób i łut szczęścia. Dwie z dawnych zesłanek Irenę Wądołowską i Krystynę Grey udało odnaleźć się aż w Londynie. Kolejne osoby w Warszawie, Hajnówce i Białowieży. Mój ojciec i jego siostra Danusia mieszkają w Zielonej Górze. Tak stworzyła się niemała grupa osób chętnych do spotkania po latach. I stało się. W dniach 25-28 sierpnia 2013 r. poznali się ponownie w Białowieży na spotkaniu dzieci leśników Puszczy

¹ D. Dworak, *Drogami pamięci syberyjskiego zesłania rodziny Żukowskich 1940-1946*, „Zesłaniec”, 2013, nr 54, s. 84-92.

Białowieskiej, zesłańców syberyjskich, wywiezionych wraz z całymi rodzinami w dniu 10 lutego 1940 roku w głąb ZSRR – w jedno miejsce, tj. do małego pasiołka [osady] o nazwie Gromatucha (podnóże Gór Sajańskich).



Tablica w kościele pw. św. Teresy w Białowieży ufundowana w 2009 roku przez leśników. Fot. D. Dworak

Na spotkaniu było obecnych 13 „dawnych Gromatuszan” (dziś w wieku 73-87 lat) oraz kilka osób z najbliższych ich rodzin. Przyjechali by wspomnieć dzieciństwo i odwiedzić miejsca pracy swoich ojców. Dzięki pomocy, zaangażowaniu i opiece obecnych leśników Puszczy – Nadleśnictwa Białowieża, spotkanie to miało wymiar niecodzienny i dla jego uczestników na zawsze pozostanie wyjątkowym wspomnieniem. Każdy moment pobytu Sybiraków w Białowieży był szczególny; zwiedzili Białowieżę, jechali kolejką wąskotorową z Hajnówki do Topiła, w Hajnówce oglądali cerkiew pw. św. Trójcy oraz inne miejsca pamiętane z dzieciństwa, w Puszczy podziwiali Aleję Dębów Królewskich natomiast we wsi Budy pomodlili się przed leśną kapliczką poświęconą zesłanym na Syberię i poznali historię tej osady. W każdym z tych miejsc towarzyszyły im wspomnienia z dzieciństwa; z Puszczy Białowieskiej, z czasów zesłania i trudnej drogi, jaką pokonali wracając do Ojczyzny. Na zakończenie uczestniczyli w zorganizowanym przez Nadleśnictwo Białowieża ognisku na terenie Ośrodka Edukacji Leśnej „Jagiellońskie”.

Nie było wśród nich osoby, która nie uroniła łzy witana na tym niecodziennym ognisku przez chór leśników śpiewający „Hymn Sybiraków”, którego słowa gromkim echem niosły się w lasy tak bliskie ich sercom, przywołując pamięć dawnych leśników – ich Ojców. Nie sposób opisać wzruszeń towarzyszących temu niezwykłemu spotkaniu po latach, jak też trudno słowami wyrazić wdzięczność włodarzom Puszczy, którzy zgotowali nam tę niecodzienną i jakże wzruszającą przygodę.

W imieniu wszystkich Uczestników i ich Rodzin z całego serca przekazujemy nasze najserdeczniejsze podziękowania wszystkim leśnikom zaangażowanym w organizację tego cudownego spotkania. Dziękujemy, za idealną organizację, niewiarygodną serdeczność, wsparcie, pomoc i Wielkie Serce.



Chór leśników śpiewa *Hymn Sybiraków*, witając gości w OEL „Jagiellońskie”.
Fot. D. Dworak

Szczególne słowa uznania należą się Ryszardowi Ziemblickiemu, Dyrektorowi Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku, Andrzejowi Koniecznemu, pełniącemu obowiązki Nadleśniczego Nadleśnictwa Białowieża, Wojciechowi Antczakowi z OEL „Jagiellońskie”, Czesławowi Okołowowi oraz chórowi leśników, którego występ był niezapomnianym, wspaniałym akcentem na zakończenie tego wzruszającego spotkania po latach.

Minęło już wiele dni od tego spotkania a jego uczestnicy pozostają nadal w kontakcie, przeżywając je na nowo, ciesząc się każdą o informacją o losach współześląńców z Gramatuchy. Dla mnie natomiast jest to najlepsza nagroda za zaangażowanie i trud włożony w organizację tego przedsięwzięcia.

Dagmara Dworak

*

Poszukujemy i prosimy o najdrobniejszą informację o osobach i rodzinach deportowanych w dniu 10 lutego 1940 roku do „pasiołka” [osady] Gramatucha, nad rzeką Kija (spolszczona nazwa osady; Gramatucha, rejon Tisul, wtedy Nowosybirskaja Oblast, dziś; Kemerowskaja Oblast). Tworzymy listę wywiezionych a dodatkowo nie wykluczamy kolejnego spotkania w roku przyszłym. Prosimy też o przysyłanie swoich ześląńczych wspomnień, które będą sukcesywnie drukowane na łamach kwartalnika „Zesłaniec”. Kontakty:

e-mail: dagmara.dworak@gmail.com lub stanislaw.chorazy@poczta.fm
Telefon: 693-643-648 (Dagmara Dworak); 798-769-277 (Stanisław Chorąży)

- **SPOTKANIE W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ, ZEŚLANYCH DO „PASIOŁKA” GROMATUCHA**

Spotkanie odbyło się w dniach 25–28 sierpnia 2013 r. w Białowieży. Zobaczyliśmy się po 70-ciu latach i zewnętrznie byliśmy dla siebie obcy. Jednak wspomnienia przeżytej wspólnie zesłańczej niedoli od razu przybliżyły nas a wyjeżdżając z Białowieży byliśmy sobie bardzo bliscy. Spotkanie było wspaniale zorganizowane i dostosowane do naszego wieku oraz fizycznych możliwości. Wyjechaliśmy z Warszawy 25 sierpnia mikrobusem spod hotelu „Polonia”. Podróż trwała niecałe 4 godziny, z jednym niedługim „popasem”.



Uczestnicy spotkania przed budynkiem dawnego dworca kolejowego (Białowieża Towarowa), miejsca skąd 10 lutego 1940 r. wyruszały transporty zesłańców na Syberię.

Fot. Wanda Chorąży

Mieszkaliśmy w Białowieży w przytulnym hotelu „Gawra” zbudowanym na wzór myśliwskich dworców. Tu miały miejsce pierwsze, jakże wzruszające, „nocne rodaków rozmowy”, poznawanie się i snucie wspomnień z lat syberyjskiej tułaczki oraz powojennych życiowych dróg w Ojczyźnie. Nazajutrz wyjechaliśmy na zwiedzanie Białowieży. Pierwszym punktem programu była gościna w muzeum w Parku Pałacowym, ze wspaniałymi, zróżnicowanymi tematycznie ekspozycjami. Trudno opisać wrażenie, jakie zrobiła na każdym ta wizyta, przybliżająca jakże ciekawy, wręcz egzotyczny, świat puszczańskiej przyrody. To trzeba zobaczyć samemu, a tu dodam jedynie, że ta wspaniała ekspozycja muzealna obejmuje wszystkie puszczańskie zwierzęta od żubrów poprzez łosie, sarny, jelenie, wilki, bobry, szczury oraz ptaki, różne owady i „robale”. Najmniejsze z nich pokazane są w powiększeniu. Ten zróżnicowany świat fauny zaprezentowany został w naturalnych warunkach jego występowania, a fascynującego uroku ekspozycji dodaje trójwymiarowe zdjęcie tworzące panoramiczny, kolorowy i tajem-

niczy świat puszczy. Następnie zostaliśmy zauroczeni porcelanowym ikonostasem białowieskiej cerkwi. Odwiedziliśmy również kościół katolicki, gdzie zapewne w skupieniu każdy z nas powracał do zesłańczego życia, które tam na Syberii powierzaliśmy Bożej opiece! Dalej oglądaliśmy budynek dawnej Dyrekcji Lasów Państwowych, gdzie w latach 1932-1934 pracował nasz ojciec Józef Chorąży.



Odpooczynek po wycieczce kolejką wąskotorową z Hajnówki do Topiła.
Siedzą od lewej: Irena Wądołkowska, Krystyna Konert, Kazimiera Janiszta,
Danuta Żukowska, Alla Tarasiuk, Krystyna Grey.

Od lewej stoją: Bogusław Żukowski, Wiera Gąsiorek,
Jadwiga Chorąży-Kwapiszewska, Dagmara Dworak, Stanisław Chorąży,
Wanda Chorąży, Eugeniusz Simson.

Fot. Wojciech Antczak

Potem dojechaliśmy do przedwojennej pięknej stacji kolejowej Białowieża Towarowa, która jest już tylko zabytkiem. Pociągi nie kursują, a budynek dworca stał się restauracją. Byliśmy również na terenie Nadleśnictwa Białowieża, gdzie bardzo serdecznie powitał nas nadleśniczy Andrzej Konieczny powierzając opiece Wojciecha Antczaka, który troszczył się o nas przez cały okres pobytu.

A gdy nastał czas poobiedniego odpoczynku znowu dzieliliśmy się opowieściami o swoich losach, tych na syberyjskim zesłaniu i tych po powrocie do Ojczyzny. Ci, co mieszkali w Gromatusze blisko siebie, lub w jednej chacie, mieli o czym rozmawiać. Wieczorem Dagmara Dworak opowiadała o dwóch wyprawach w tajgę jakie odbyła szukając miejsca do którego nas wywieziono. Wśród zesłańców był jej dziadek Leonard Żukowski zesłany wraz z żoną i dziećmi. Niestety babcia Dagmary zmarła na Syberii, a pierwsza jej wyprawa wraz z ojcem odbyła się w 70-tą rocznicę śmierci babci. Dagmara zrealizowała film z tej fascynującej wyprawy, który był wspaniałym dopowiedzeniem do jej interesującej relacji.

Następnego dnia autokarem udaliśmy się do Hajnówki. Przed Nadleśnictwem obejrzelśmy wystawę starych fotografii ukazujących uroki tego skrawka bliskiej nam z dzieciństwa ziemi. Następnie kolejką wąskotorową wiodącą przez puszcę dojechaliśmy do stacji Topiło. W Hajnówce odwiedziliśmy nową cerkiew pw. św. Trójcy, którą wzniesiono na dawnej posesji Nadleśnictwa Leśna oraz budynku tzw. Sekretarzówki, z którego wywieziono rodzinę Chorążych. Z rozrzewnieniem wraz z bratem patrzyliśmy na miejsce po Nadleśnictwie Hajnówka, budynkach, które tam niegdyś stały i wielkim ogrodzie. W powrotnej drodze widziałam swoją szkołę. Przejeżdżając koło cmentarza zajechaliśmy na grób niani mego brata, która jak pamiętają jadące z nami na zesłanie „dziewczęta” przyniosła nam do wagonu ciepłą słodką herbatę z cytryną, a nasza mama nalewała ją wszystkim. Był to swoisty nektar dla ludzi wyrwanych w nocy i więzionych w wagonach na 40-stopniowym lutowym mrozie 1940 roku. Na cmentarzu zapaliliśmy światełka i odmówiliśmy wspólnie pacierz.

Po tym fascynującym zwiedzaniu Hajnówki odwiedziła nas przewodnicząca miejscowego Koła Związku Sybiraków Irena Kostera, której towarzyszyły dwie członkinie tego Związku dbające o to by czas nie zatarł pamięci o Polskich losach za Uralem. I znowu był to czas snucia wspomnień, okraszony smacznym ciastem, którym ugościły nas tutejsze Sybiraczki. A gdy nastał wieczór byliśmy w gościnie na specjalnie zorganizowanym dla nas przez Nadleśnictwo Białowieża ognisku. Przywitał nas chór leśników (w galowych mundurach) Marszem Sybiraków i pieśniami łowieckimi. Był bigos, kiełbaski z ogniska oraz herbata. Przygrywał akordeonista grając piosenki polskie, rosyjskie, ukraińskie i białoruskie. Śpiewaliśmy znane sobie utwory.

Atmosfera była wspaniała, poczuliśmy się jako jedna rodzina leśników. Chyba nasi ojcowie byli z nami duchowo. Przy pożegnaniu, które trwało bardzo długo, zostaliśmy obdarowani upominkami książkowymi o Puszczy Białowiejskiej, jej mieszkańcach i osiągnięciach badawczych Instytutu Leśnictwa. Byliśmy bardzo wzruszeni i za tę atmosferę z całego serca dziękujemy.

Jadwiga Chorąży-Kwapiszewska

*

Uczestnicy spotkania: 1. Chilecki Jerzy (ur. 1930), syn Pawła Chileckiego, gajowego z Białowieży; 2. Chilecka Wiera (ur. 1931), synowa Pawła Chileckiego, gajowego z Białowieży; 3. Chorąży-Kwapiszewska Jadwiga (ur. 1931), córka Józefa Chorążego, nadleśniczego Nadleśnictwa Hajnówka; 4. Chorąży Stanisław (ur. 1938), syn Józefa Chorążego, nadleśniczego Nadleśnictwa Hajnówka; 5. Chorąży Wanda (ur. 1946), synowa Józefa Chorążego, nadleśniczego Nadleśnictwa Hajnówka; 6. Gąsiorek Wiera (ur. 1929), córka Włodzimierza Bołbota, gajowego z Hajnówki; 7. Grey Krystyna (ur. 1927), córka Antoniego Kokoszko, gajowego z Idzianki koło Hajnówki; 8. Janiszta Kazimiera (ur. 1926), siostra Jana Dębczuka, gajowego w Dołubowie; 9. Konert Krystyna (ur. 1927), córka Józefa Przybylskiego, nadleśniczego Nadleśnictwa Garbatka Letnisko (Puszcza Koziennicka); 10. Moroz Jan (ur. 1933), syn Henryka Moroza, pracownika Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży i wnuk Piotra Simsona, gajowego z Białowieży; 11. Simson Eugeniusz (ur. 1941), wnuk Piotra Simsona, gajowego z Białowieży; 12. Szpakowicz Paweł (ur. 1935), syn Aleksandra Szpakowicza, gajowego z Białowieży; 13. Tarasiuk Alla (ur. 1938), córka Pawła Chileckiego, gajowego z Białowieży.

z Białowieży; 14. Wądołkowska Irena (ur. 1929), córka Antoniego Kokoszko, gajowego z Idzianki koło Hajnówki; 15. Żukowska Danuta (ur. 1932), córka Leonarda Żukowskiego, gajowego z Hajnówki; 16. Żukowski Bogusław (ur. 1936) syn Leonarda Żukowskiego, gajowego z Hajnówki; 16. Dagmara Dworak (ur. 1965), wnuczka Leonarda Żukowskiego, gajowego z Hajnówki, organizatorka tego spotkania po latach.

• **XIII MIĘDZYNARODOWY MARSZ ŻYWEJ PAMIĘCI POLSKIEGO SYBIRU W DNIACH 5-6 WRZEŚNIA 2013 ROKU W BIAŁYMSTOKU**

Stało się już tradycją, że na początku września każdego roku, w ramach obchodów Dnia Sybiraka, odbywa się w Białymstoku Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru, w którym udział biorą Sybiracy z całej Polski, delegacje z Grodzieńszczyzny i bardziej odległych miejscowości na Białorusi, z Wileńszczyzny, Ukrainy, Łotwy, Estonii i innych państw, a także Sybiracy oraz mieszkańcy Białegostoku. Najlicniejszą grupę stanowi zawsze młodzież szkolna i harcerze. Ideowym założeniem tegorocznego Marszu było uczczenie:

- 150. rocznicy powstania styczniowego;
- 85. rocznicy powstania Związku Sybiraków;
- 70. rocznicy bitwy pod Lenino;
- 25. rocznicy reaktywowania Związku Sybiraków.

W przeddzień Marszu, 5 września odbyło się uroczyste spotkanie Sybiraków i zaproszonych gości w Operze i Filharmonii Podlaskiej – Europejskim Centrum Sztuki w Białymstoku. Po odegraniu hymnu państwowego zebranych powitał prezydent Białegostoku dr hab. Tadeusz Truskolaski, jednocześnie przewodniczący Komitetu Organizacyjnego tegorocznego Marszu. Następnie zostały wręczone odznaczenia państwowe i resortowe. Przedstawiciel Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, radca Waldemar Strzałkowski dokonał dekoracji odznaczeniami państwowymi następujące osoby: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski – Włodzimierza Kowalczyka, Złotym Krzyżem Zasługi – Zygmunta Dzięgielewskiego, Srebrnym Krzyżem Zasługi – Henryka Koczana i Mikołaja Stasiukiewicza. Potem Jan S. Ciechanowski, kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych dokonał dekoracji medalem „Pro Patria” sztandary Związku Sybiraków w Chełmie, Krakowie, Łodzi, Olsztynie oraz Ogólnopolski Klub Pawłodarczyka. Wręczono także wyróżnienia indywidualne w/wym. medalem 34 osobom. Ponadto medalem „Pro Memoria” odznaczono 2 szkoły – Szkołę Podstawową nr 19 im. Mieszka I w Białymstoku oraz Zespół Szkół Sportowych im. Synów Pułku w Białymstoku a także 5 osób zasłużonych dla propagowania idei pamięci o losach zesłańców na Syberii. Po zakończeniu oficjalnej części wystąpił Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego, którego piosenki i muzyka zauroczyły uczestników tego spotkania wieńczącego pierwszy, tradycyjny już dzień sybirackiego święta.

Dodajmy tytułem kronikarskiej dokumentacji, że w godzinach porannych tego dnia na posiedzeniu Zarządu Głównego Związku Sybiraków, jego prezes w asyście Sekretarza Generalnego Stanisława Sikorskiego, odznaczył dwanaście osób złotymi i srebrnymi Honorowymi Odznakami za Zasługi dla Związku Sybiraków oraz pięć osób Honorową Odznaką Sybiraka.



Akt Przekazania Sztandaru

„Zmarłym pamięć, żyjącym pojednanie”

*Zarząd Główny Związku Sybiraków uroczystie przekazuje
Sztandar Zarządu Głównego Związku Sybiraków
do zbiorów budowanego przez Muzeum Wojska
w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru.*

*Sztandar jest symbolem pamięci Polaków,
zarówno tych wywiezionych na Sybir, tych pozostałych tam na
zawsze, jak i tych, którym udało się powrócić z zesłania.
Wierzymy, iż budowa Muzeum jest ważna i potrzebna, a opieka
nad sztandarem Związku Sybiraków zostaje przekazana w dobre
ręce. Żywimy nadzieję, że pamięć o ludziach, którzy przeżyli
gehennę zesłania przetrwa i będzie lekcją żywej historii
dla następnych pokoleń. Czynimy to z szacunku dla historii
i dbałości o patriotyczne wychowanie młodzieży. Nasze przeżycia
na Syberii niech będą przestrożą dla przyszłych pokoleń
i przesłanką do zgody, pojednania i pokojowej współpracy
pomiędzy narodami.*

PRZEKAZUJĄCY :

PRZYJMUJĄCY:

PREZES ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW

T. Chwieszczyński

SEKRETARZ GENERALNY
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW

Gr. Szczerba

DYREKTOR MUZEUM WOJSKA
W BIAŁYMSTOKU

Robert Sadowski

Białystok, 6 września 2013 r.

W dniu 6 września o godzinie 8-ej została odprawiona Święta Liturgia w Katedralnej Cerkwi pw. św. Mikołaja w Białymstoku, celebrowana przez Jakuba abpa Białostockiego i Gdańskiego. Następnie o godzinie 10-tej po odegraniu hymnu państwowego przez orkiestrę miejską pod batutą Franciszka Mocarckiego, uczestników Marszu zgromadzonych przy Pomniku Katyńskim, powitał prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków Tadeusz Chwiedź mówiąc o wielkim znaczeniu edukacyjnym i historycznym Marszu Sybiraków oraz o jego tegorocznych założeniach czczących powstanie styczniowe, bitwę pod Lenino i dzieje Związku Sybiraków.



Prezes Tadeusz Chwiedź przekazuje sztandar
Zarządu Głównego Związku Sybiraków
prezydentowi m. Białystok Tadeuszowi Truskolaskiemu. Fot. Alina Nowacka

Po błogosławieństwie katolickim i prawosławnym, zebrani przeszli ulicami miasta do kościoła pw. Ducha św., gdzie uroczystą Mszę św. celebrował Jego Eminencja abp prof. dr hab. Edward Ozorowski, w asyście księży kapelanów Sybiraków, zaś homilię wygłosił Krajowy Kapelan Sybiraków ks. Zdzisław Banaś. Po Mszy św. jej uczestnicy przeszli do Pomnika Grobu Nieznanego Sybiraka, gdzie po wysłuchaniu dumnej pieśni „Marsz Sybiraków”, napisanej przez Mariana Jonkajtysa oraz katolickiej i prawosławnej modlitwy za zmarłych Sybiraków – prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków, zgodnie z uchwałą nr 18/12 z dnia 14 grudnia 2012 roku przekazał sztandar Zarządu Głównego Związku Sybiraków tworzącemu się Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku jego dyrektorowi Robertowi Sadowskiemu. Następnie prezydent Białegostoku T. Truskolaski przekazał replikę tego sztandaru prezesowi Zarządu Głównego Związku Sybiraków, który wręczył go pocztowi sztandarowemu tego zasłużonego Związku kultywującego pamięć i tradycje dziejów polsko-rosyjskich. Uczestnicy i organizatorzy tegorocznego Międzynarodowego Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru otrzymali listy gratulacyjne od Prezy-

denta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego, Prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska, Biskupa Polowego Wojska Polskiego Józefa Guzdkę oraz Sekretarza Stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Czesława Mroczka.

Po przemówieniu okolicznościowym prezydenta Białegostoku i Apelu Poległych zakończonego salwą honorową żołnierzy 18. Białostockiego Pułku Rozpoznawczego nastąpiło złożenie wieńców i kwiatów oraz zapalenie zniczy na Grobie Nieznanego Sybiraka, w którym znajdują się urny z prochami ofiar zesłańców Sybiru. W tegorocznym XIII Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru wzięło udział około 13 tysięcy osób, w tym około 10 tysięcy stanowiła młodzież szkolna i harcerze z różnych stron naszego kraju. Uczestniczyło w nim ponad 270 pocztów sztandarowych, 220 osób przyjechało zza wschodniej granicy, najwięcej z Białorusi i Litwy. Przybyli też przedstawiciele Sybiraków ze Stanów Zjednoczonych, Australii i Kanady.

Staraniem organizatorów Marszu ukazała się interesująca publikacja pt. *Umarłym pamięć – żyjącym pojednanie*, Białystok 2013, która z pewnością utrwali u czytelników tradycje związków polsko-rosyjskich, a ponadto zapozna ze znakami pamięci dotyczącymi tej tradycji – sanktuaria Sybiraków, publikacje, sztandary, pomniki, tablice epitafijne, kaplice i inne. Jest w niej również informacja o powstającym w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru, opis kościoła Ducha św., wzniesionego w 1996 r., który jest miejscem upamiętnienia martyrologii polskiego narodu na Syberii, ściśle powiązany z Marszami Sybiraków. W kościele znajduje się Kaplica Męczenników Polskich zwana też Kaplicą Sybiraków, w której w każdą niedzielę Zespół Adoracyjny Sybiraków modli się w intencji pomordowanych i zmarłych na zesłaniu. Podsumowując, jest to publikacja dająca popularne zwrócenie uwagi na fragment naszych syberyjskich losów, ponieważ czytelnik może dość łatwo zorientować się w podstawowych kwestiach tej tradycji. Wyróżnia się ona bogatą szatą ilustracyjną a zamieszczone zdjęcia ożywiają lekturę. Podnoszą one jeszcze bardziej wartość tej publikacji, a ujęte w niej treści są jakże potrzebną prezentacją spraw ważnych oraz istotnych dla trwania pamięci o dziejach Polaków na Syberii. Przybliżeniu tych problemów przysłuży się także komunikatywna treść publikacji operująca schematem popularyzacji.

Jolanta Hryniewicka, Walenty Jabłoński

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Halina Wiśniewska, *Ścięte korzenie*, Wydawnictwo Archidiecezji Lubelskiej „Gaudium”, Lublin 2013, s. 104.**

Ścięte korzenie to książka o losach Polaków i Niemców deportowanych z Wołynia i Polesia do kazachstańskich wiosek Zielony Gaj i Jasna Polana. Ludzie ci nazywani specprzesiedleńcami czy osiedleńcami specjalnymi zostali wyrwani ze swojej „małej ojczyzny” z przyczyn między innymi narodowościowych i rzućeni w bezkresy Rosji. Halina Wiśniewska we *Wstępie* wyjaśnia przyczyny powstania swej publikacji. Pisz: „Celem książki nie jest pochwała bohaterów pracy, którymi byli, lecz opisanie prawdziwego życia ludzi oderwanych od swoich ziem i porzuconych na bezludnym stepie, zdanych wyłącznie na siebie” (s. 8). Nie tylko opisanie dziejów Polaków i Niemców na „nieludzkiej ziemi” przyświecało Autorce, da się zauważyć osobisty stosunek do wspomnień i dokumentów archiwalnych. Swym opracowaniem Wiśniewska oddaje hołd osobom z własnej rodziny i wszystkim, którzy doświadczyli deportacji.

Pierwsza część książki jest zatytułowana *Lata 1936-1941*. Przedstawia przebieg zsyłek z zachodnich terenów Ukrainy, obwodów: winnickiego, chmielnickiego i żytomierskiego do Kazachstanu i warunki życia w nowym miejscu osiedlenia. Autorka opisuje, jak deportowani byli lokowani w osadach mających tylko numer nie nazwę, jakim rygorom byli poddawani, jakie obowiązki im przydzielano. „Ich życie było podporządkowane regulaminowi, a prawa ściśle ograniczone” (s.13).

Materiały źródłowe, które posłużyły Wiśniewskiej do opisu losu zesłańców publikuje na kartach książki. Są to wspomnienia konkretnych osób, znanych z imienia i nazwiska oraz dokumenty urzędowe np. Rozkaz Ludowego Komisarza Służby Zdrowia Kazachskiej SRR o opiece medycznej nad przesiedleńcami czy Rozkaz operacyjny Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR № 00485. Wielki walor poznawczy mają przejmujące wspomnienia przesiedleńców. Dzięki tym relacjom poznajemy z „pierwszej ręki” doświadczenia zesłańczego bytowania.

Część druga książki nosi tytuł *Lata wojenne i okres powojenny*. Druga wojna światowa to nie tylko front i żołnierska walka, ale także reperkusje stosowane wobec ludności cywilnej. Tysiące osób znowu wysłano do Kazachstanu i wcielono do trudarmii. Autorka odślania męki, trudy i znoje, a przede wszystkim wyczerpanie, głód i chłód w obozach pracy. Czytając wspomnienia Rozalii Słowieckiej i innych specprzesiedleńców, którzy znaleźli się w trudarmii, ły same cisną się do oczu ze wzruszenia i natychmiast rodzi się pytanie, dlaczego „ludzie ludziom zgotowali ten los”? Praca w kopalniach, przy wyrębie tajgi,

budowie miast i kolei była katorżniczym trudem za czerpak polewki i dziesięć dekagramów chleba. „Były przypadki, że ludzie z głodu jedli trawę. Często przepłacali to życiem; ginęli dziesiątkami, setkami, chowano ich w zbiorowych mogiłach – jamach oznaczonych numerami” (s. 49).

Po wojnie, w 1946 roku rozwiązano robocze oddziały, co oznaczało koniec trudarmii, ale nie oznaczało końca zesłania. Autorka *Ściętych korzeni* odnotowuje: „wszyscy wywiezieni do pracy przymusowej nadal byli specprzesiedleńcami i wracali do swoich kołchozów jako chłopci pańszczyźniani” (s. 77). Sytuacja Polaków i Niemców na kazachstańskiej ziemi była nadal niełatwa, mimo tego, że Polska i wschodnie Niemcy stały się sojusznikami Związku Radzieckiego, przesiedleńcy nadal posiadali piętno „wrogów narodu”. Dopiero po 1956 roku ich sytuacja uległa poprawie. Odzyskali wolność, ale często nie mieli do czego wracać. Zapuscili nowe korzenie tam, gdzie zostali zesłani.

Książka Haliny Wiśniewskiej opowiada o tym, jak „wielka” polityka odcisnęła piętno na jednostkowych losach ludzkich. Autorka niewiele wprowadza własnych analiz i interpretacji, jakby obawiała się, że nie będzie w stanie w pełni przedstawić okrucieństwa bytowania na bezkresnych stepach dalekiej Rosji. Oddaje więc głos specprzesiedleńcom i ich wspomnieniami wypełnia znaczną część publikacji. Zaprasza do opowieści uczestników wydarzeń historycznych, którzy doświadczyli okrucieństwa zesłania, a nam Czytelnikom serwuje ciekawą lekcję historii.

Istnieje wiele wspomnień napisanych przez zesłańców w głąb Rosji. Każde wspomnienie, chociaż mówi o podobnych rzeczach, jest jednak inne, ponieważ ujawnia wyjątkowość przeżyć i doświadczeń jednostki. Książka Wiśniewskiej zawiera zbiór ludzkich wspomnień wzbogaconych dokumentami historycznymi i autorskimi komentarzami. Temat losów Polaków na Wschodzie jest ważny i warty ciągłego analizowania.

Małgorzata Dziura

- **Jan Szubert, *Pamiętnik częstochowianina – powstańca styczniowego*, oprac. Zofia Strzyżewska, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2012, ss. 175, fotografie.**

150 lat temu Jan Tomasz Szubert (1843-1937) mając 20 lat wyszedł do powstania przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Było to dokładnie w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r. W okolicach Częstochowy, Kielc i Piotrkowa brał udział w bitwach i starciach z wojskami rosyjskimi. Doświadczył wszystkich trudności powstania: widział śmierć swoich kolegów, zaznał z innymi strachu na polu walki, przeżywał klęski potyczek i trudności życia partyzanckiego. Podzielił też los wielu Polaków, którzy dostali się do niewoli rosyjskiej – więzienie, przesłuchania, a w końcu zesłanie na Syberię. Skazany został na trzy lata w rotach aresztanckich, a potem na wieczne osiedlenie na Syberii Wschodniej. Dzięki zabiegom matki, która po 9 latach uzyskała dla swojego syna ułaskawienie u cara wrócił jednak do rodzinnej Częstochowy. Zanim jednak to się stało musiał przebyć długą drogę z guberni jenijskiej. Drogę straszną i trudną, za której pokonanie trzeba było zapłacić z własnych pieniędzy. Przez kilka

miesiący trwał dramatyczny powrót do ojczyzny, pełen przeszkód, przeciwności, niebezpieczeństw i różnymi środkami transportu. Janowi Szubertowi udało się jednak dotrzeć do Częstochowy (14 września 1872 r.), gdzie zaczął na nowo układać życie, które wcale nie okazało się łatwe. Musiał pogodzić się ze śmiercią syna, chronić siebie i żonę w czasie I wojny światowej, podczas której ponownie nadszarpnął zdrowie. W czasach międzywojennych był osobą znaną w społeczności częstochowian ze względu na historię swojego życia, ale wspomnienia, które pozostawił po sobie zostały dopiero teraz wydane drukiem. Jedną z głównych przyczyn był fakt, że ich oryginał przechowywany w Dziale Rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie nigdy nie był opatrzony jego nazwiskiem i tylko dzięki Zofii Strzyżewskiej, która osobiście dokonała odpisu tekstu wspomnień oraz osób, które zdecydowały się pomóc jej w wydaniu źródła (ich nazwiska skrupulatnie zostały wymienione w podziękowaniach) zostały one ostatecznie zaprezentowane szerszemu kręgowi odbiorców.

Weryfikacja autora była zmuśnionym poszukiwaniem wśród tysięcy nazwisk polskich zesłańców tego jednego właściwego nazwiska. Badania te zakończyły się powodzeniem i należy tu podkreślić, że postępowanie w celu wykrycia, a następnie rzetelnego potwierdzenia autorstwa źródła zostało przeprowadzone z całą starannością warsztatu historyka i archiwisty (analiza wewnętrzna treści wspomnień, weryfikacja autora w oparciu o materiał archiwalny oraz porównanie charakteru pisma autora w oparciu o różne próbki pisma Jana Tomasza Szuberta). To cenne, że podjęto ten trud, gdyż prezentowany tekst ma znaczną wartość historyczną.

Źródło zostało wydane z wielką sumiennością edytorską przez Muzeum Częstochowskie. Świadczy o ogromnej pracy włożonej w jego przygotowanie do druku przez Zofię Strzyżewską, która zadbała o rozszyfrowanie olbrzymiej ilości nazwisk osób (w rękopisie część z nich to jedynie inicjały) oraz nazw miejscowości i zamieściła szczegółowe ich objaśnienia w przypisach. Treść stała się przez to bardziej czytelna i zrozumiała oraz zyskała na wartości informacyjnej. Odnosząc się do strony edytorskiej warto nadmienić, że wydanie zostało opatrzone w notę biograficzną o autorze i indeks nazwisk, co znacznie ułatwiło korzystanie z tego materiału. Rzetelnie poinformowano też czytelnika, że w pewnych koniecznych przypadkach sprawdzono i dokonano poprawek pisowni nazwisk oraz nazw miejscowych i geograficznych oraz topograficznych. W tekście drukowanym nie zasygnalizowano jednak, kiedy stosowano takie postępowanie. Należało to odpowiednio zaznaczyć (np. w przypadku poprawy nazw geograficznych), bo ma to zawsze znaczenie przy dokonywaniu przez historyka krytyki wewnętrznej źródła. Natomiast słusznie podano informacje o fragmentach nieczytelnych lub przekreślonych przez autora.

Dokonując oceny wspomnień Jana Tomasza Szuberta jako materiału dla historycznych opracowań należy zaznaczyć, że pod tym względem są one bardzo interesujące. Po pierwsze dlatego, że zawierają informacje o powstaniu styczniowym przekazane przez jednego z szeregowych żołnierzy, który wykonywał rozkazy, a przez to dał z tej perspektywy swoją ocenę podejmowanych decyzji i następujących po nich wydarzeń. Po drugie autor nie wyolbrzymiał swojej roli, przez co zyskał na wiarygodności. Ponadto spisał swoje wspomnienia w taki sposób, że czytając czujemy strach, który przeżywał na polu walki,

ciężar przesłuchań, trudy podróży i życia oraz tęsknotę na Syberii za ojczyzną. Czytelnik pozna więc wiele jego emocji i uczuć związanych z powstaniem, a następnie z pobytem na zesłaniu. Jan Szubert pisze językiem barwnym i z dużą erudycją, dlatego jego opis przeżyć to świetna lektura. Nie wiadomo niestety kiedy zaczął pisanie i dlaczego tego podjął się, co każdego badacza interesuje. Nie sprawia natomiast trudności określenie, kiedy skończył ostateczną wersję tekstu, bo rękopis opatrzony tytułem „Przed 60 laty”, a więc naniósł ostateczne uzupełnienia około 1923 r. Tytuł, który widnieje na okładce wydania drukowanego – „Pamiętnik częstochowianina – powstańca styczniowego” – został nadany przez wydawców źródła.

Przeważająca część wspomnień Jana Tomasza Szuberta dotyczy jego udziału w powstaniu i pobytu na Syberii. Jedynie kilka ostatnich kart poświęconych zostało okresowi po powrocie z zesłania do domu rodzinnego. Ta końcowa część to krótki opis historii życia jego rodziny. Analiza struktury i treści narracji oraz szczegółowość opisu pierwszej części wspomnień (z okresu powstania oraz z zesłania) sugeruje, że musiał korzystać ze sporządzonych notatek, gdyż poziom zapamiętania wydarzeń jest bardzo szczegółowy i dużo większy niż przy opisie wydarzeń po powrocie do domu z Syberii. On sam w pewnym momencie podał, że powrócił z Syberii do Częstochowy „ogołocy z wszystkiego, gdyż oprócz trochy bielizny, kilku książek i listów oraz notatek, żadnych innych rzeczy nie miałem”. Przywiózł więc ze sobą notatki i listy. Szkoda, że nic więcej o tym nie napisał i nie podał, czy to one stały się podstawą do sporządzenia ostatecznej wersji tekstu. Ta informacja, niezwykle ważna, pomogłaby rozstrzygnąć, z jakim typem tekstu mamy do czynienia, tzn. czy powstał on jako wspomnienie po wielu latach czy też spisany został w formie wspomnień, ale na podstawie zachowanego i wcześniej sporządzonego pamiętnika (tu pojęcie używam w znaczeniu wąskim).

Wysoko prezentuje się wartość informacyjna wspomnień odnosząca się do opisu pobytu na Syberii. Część zdarzeń podana przez autora dotyczy doświadczeń charakterystycznych dla wszystkich zesłańców postyczniowych: przeżyć związanych z podróżą na etapach (ogólny brak higieny, bójk, odgłosy kajdan, robactwo, choroby: ospa, tyfus i inne); ciężką pracą w miejscach osiedlenia; tęsknotą za krajem. To były doznania każdego zesłańca, chociaż nieco łżejsze dla osób ze szlacheckim rodowodem, które miały więcej środków finansowych przy sobie. Wartość szczególną posiadają specyficzne wydarzenia związane z samym Janem Szubertem: sposoby radzenia sobie z trudnościami dnia codziennego, strategie przetrwania, kontakty z miejscową ludnością i rodzaje podejmowanych zajęć zarobkowych. Cenne są też opisy Syberii, jej społeczeństwa i obyczajów w okolicach Aczyńska w guberni jeniisejskiej, gdzie on przebywał, a także sposób organizacji podróży powrotnej po zwolnieniu z zesłania. O miejscach, do których docierał pisał: „W chwilach takiego zachwyty, takiego niemego podziwu widokiem przykuwającym wzrok do tych obszarów zielonych wszelakich odcieni, jak w szmaragdzie grających i drgających od promieni słonecznych swoimi barwami i swoimi blaskami, i zapominało się o strzelbie i o tym, że czas upływa, że słońce się chyli ku zachodowi. I opanował jakiś smutek, żal, że to nie jest własne, nie swoje, że ten cudny kobierzec, rozpostarty na tej ogromnej przestrzeni i tymi przecudownymi rękami Stwórcy utkany kwiatami, nie jest tam, nad nurtami Warty lub Pilicy, lecz tutaj w takim oddaleniu, z dala od tych kochanych, drogich, którzy lepiej

jeszcze ode mnie umieliby ocenić ten wspaniały, choć pierwotny krajobraz. I przychodził, nasuwał się na myśl wyjątek z pieśni: „Ja wiem tylko, że wygnaniec, a ten piękny nie mój kraj!” (s. 110).

To bardzo dobrze, że wspomnienia Jana Szuberta ukazały się drukiem. Stanowią one bowiem ważne świadectwo udziału częstochowian w powstaniu styczniowym. Badacze historii regionalnej zyskali kolejny materiał źródłowy. Korzyścią jest także to, że otrzymaliśmy rzetelną edycję źródła mówiącego o polskich doświadczeniach Sybiru i jeszcze jeden dowód do dziejów Polaków w głębi Rosji.

Anna Zapalec

- **Mieczysław Karaszewski, *Mam marzenia*, Wydawnictwo Innowacyjne Novaeres, Gdynia 2013, s. 267.**

Mam marzenia, tak zatytułowana jest książka Mieczysława Karaszewskiego. Tytuł ten jest bardzo zwyczajny i jednocześnie wyjątkowy, ponieważ zawiera istotę człowieczeństwa. Czy bez marzeń możemy żyć? Jaką rolę pełnią one w naszym życiu? O czym marzymy? Kiedy marzymy? Zwykle nie odpowiadamy sobie na te pytania i nie snujemy filozoficznych rozmyślań. Po prostu mamy marzenia, coraz inne, nowsze, mniej lub bardziej możliwe do spełnienia. Tak, jak powietrze daje ciału życie, tak marzenia ożywiają naszą „duszę”. Co ożywia Autora tak zatytułowanych wspomnień możemy dowiedzieć się po lekturze tej książki.

Mieczysław Karaszewski, kiedy – używając określenia Stanisława Pigoń – „uprawił już z grubszą swój zagon życia”¹, spojrzawszy wstecz i rozpoczął snucie wspomnień. „Spisanie wspomnień to sposób na ocalenie od zapomnienia drogich nam ludzi, wydarzeń i miejsc, kawałek historii stron rodzinnych i kraju, cenna i trwała pamiątka dla najbliższych i nie tylko” (s. 9). Z myślą o następnych pokoleniach Autor przypomina dawne zdarzenia, przeżycia, ludzi. Wysuępuje myśli i przysłowia mogące być drogowskazem w trudnych chwilach. Wyjaśnia dlaczego warto realizować swoje marzenia i pasje.

Autobiografię rozpoczyna rozdział *O mnie*, w którym są tylko zasygnalizowane fakty z własnego życia. Rok i miejsce urodzenia, szkoła, studia i praca (w następnych rozdziałach jest dokładna charakterystyka różnych okresów życia). Następnie Autor koncentruje się na członkach swojej rodziny. Przybliża sylwetki swoich dziadków, rodziców, wujka Pawła Zworskiego, rodzeństwa. Wspomina różne okresy swojego życia. Na koniec pisze o pasji rodzinnego podróżowania.

Opowieść o ojcu i matce jest pełna synowskiej miłości, ale też wydarzeń, w których rodzice brali udział. Jest wzmianka o oddziale AK „Jerzyki”, z którym senior Karaszewski był związany, jego pracy zawodowej, działalności społecznikowskiej, wspólnych wyjazdach wakacyjnych, o towarzyskości ojca oraz jego poglądach i przekonaniach. „Tatę zapamiętam jako człowieka z zasadami” (s. 35) – stwierdza Autor. Biografia mamy jest związana z zesłaniem. Pisze: „Najtragiczniejsze chwile przeżyła na Syberii i w Kazachstanie

¹ S. Pigoń, *Z Komborni w świat*, Warszawa 1983, s. 70.

oraz w kopalni węgla w wielkim mieście ZSRR, w Karagandzie, gdzie bardzo ciężko pracowała” (s. 57). Praca ponad siły w kopalni, głód i chłód nadwątlili zdrowie pani Krystyny. Koniec wojny pozwolił na powrót do kraju. Jak potoczyło się dalsze życie mamy Autora dowiadujemy się z jego wspomnień.

Kolejny rozdział nosi tytuł *Deportacja – zesłanie – powrót rodziny z Syberii*, zawiera zesłańcze wspomnienia Pawła Zworskiego – wujka Autora oraz historię rodziny Zworskich po zakończeniu wojny. Rodzina Zworskich została wywieziona z Augustowa 13 kwietnia 1940 roku do północnego Kazachstanu. Co przeżyła? Czego doświadczyła? Jak radziła sobie w trudnych syberyjskich warunkach? Na te pytania znajdziemy odpowiedź w niniejszych wspomnieniach. Bagaż zesłańca jest pełen przykrych, a nawet tragicznych doświadczeń, ale też wiary w ludzi. Paweł Zworski wspomina: „Przekonałem się, że zło nie ma narodowości. Spotkałem tam, na stepach sadystów i wśród miejscowych, i wśród Polaków. Ale też spotkałem ludzi dobrych” (s. 89). W dalszej części tego rozdziału Autor przedstawia polskie losy swojej rodziny ze strony mamy. Mieczysław Karaszewski ma starszego brata i młodszą siostrę. Wspomina relacje braterskie i siostrzane, kariery zawodowe swego rodzeństwa, ich pasje i życie rodzinne. Tworzy niejako cały czas drzewo genealogiczne swojej rodziny.

W następnych rozdziałach wędrujemy wraz z Autorem po różnych etapach jego życia. Poznajemy okres dzieciństwa i lata szkolne spędzone w Nysie, wrocławskie studia, czas kawalerskich wyjazdów do różnych krajów i miejsc oraz służbę wojskową. Książka biograficzna nie może pomijać wewnętrznych przeżyć, emocji, uczuć. Autor opisuje moment poznania swojej przyszłej żony Eli, swój ślub, przyjście na świat swoich synów Alusia i Tomusia, proces wychowawczy. Stwierdza: „Gdy dziecko rośnie, poznaje świat, to wszystko zależy od nas: jak je wychowamy, czego nauczymy, jakie zasady wpojmy, czym zainspirujemy” (s. 200). Rola ojca jest bliska Autorowi. Jest dumnym tatą, który może godzinami opowiadać o swoich już dorosłych pociechach.

O życiu zawodowym Karaszewski nie pisze zbyt dużo. Wymienia zakłady, gdzie był zatrudniony, wspomina ludzi, z którymi współpracował, opisuje, jak został prezesem zarządu w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Prusinowicach, z nostalgią wspomina zakładowe wycieczki i wyjazdy. Mottem życia zawodowego są słowa: „Ciężka praca, szacunek dla innych i uczciwość to klucze do sukcesu i możliwości realizacji swoich marzeń” (s. 234).

Autobiografię kończy rozdział *Nasze rodzinne podróże*. Marzeniem Autora i jego rodziny było od zawsze podróżowanie i zwiedzanie nowych miejsc w kraju i za granicą. Wraz z rodziną i znajomymi odbył wiele ciekawych wojaży, z których pozostały wspomnienia i liczne fotografie. Wyprawa do Stanów Zjednoczonych i podróże po Europie były spełnieniem marzeń Autora. Karaszewski to człowiek z pasją, lubi sport, dobrą książkę, turystykę. Dzieli się z Czytelnikiem swoimi marzeniami i niejako zaraża pewnymi ideami. Uważa, że marzenia upiększają ludzi, warto marzyć, bo dzięki temu człowiek staje się lepszy, zyskuje zapał i sens życia.

Wraz z upływem czasu zacierają się rodzinne opowieści, odchodzą na zawsze świadkowie dawnych dni. W każdej rodzinie powinien znaleźć się ktoś, kto jak Mieczysław Karaszewski spisze losy swoich najbliższych, stworzy

drzewo genealogiczne, przypomni krewnych i powinowatych, a przy okazji ukaże szeroki kontekst wydarzeń społecznych, politycznych i kulturowych. Znajomość swoich korzeni kształtuje tożsamość jednostkową i daje poczucie wyjątkowości oraz scala rodzinę.

Książkę *Mam marzenia* z zapartym tchem zapewne przeczytają wszyscy, którzy znają Autora, ale mogą po nią sięgnąć ci, którzy planują spisać sagę własnego rodu i każdy, kogo interesują ludzkie losy i lubi wspomnienia.

Małgorzata Dziura

- ***Сводный научный каталог предметов материальной и духовной культуры польского народа из фондов историко-этнографического музея „Шушенское”***. (Podsumowujący naukowy katalog przedmiotów kultury materialnej i duchowej narodu polskiego ze zbiorów historyczno-etnograficznego muzeum „Suszenskoje”), red. Ł. G. Sażajewa, Suszenskoje, 2013, s. 87, ilustracje.

Założone w 1930 roku muzeum-rezerwat „Suszenskoje” zajmowało się początkowo gromadzeniem pamiątek związanych z Włodzimierzem Leninem. Znane było najpierw jako poświęcony mu dom-muzeum, a od 1970 roku upamiętniało jego syberyjskie zesłanie. Później muzeum zmieniło swój profil. Dziś ma charakter etnograficzno-historyczny i specjalizuje się w małych narodach Syberii. Zajmuje obecnie duży, siedmiohektarowy kompleks, który prezentuje tradycyjną architekturę i dokumentuje życie chłopów na przełomie XIX i XX wieku.

Zakres zainteresowań muzeum jest bardzo szeroki, dlatego też w swoich zbiorach posiada ono pamiątki po Polakach, którzy przybyli tu na osiedlenie w ramach represji po Powstaniu Styczniowym, a także zesłanych w latach 80. i 90. XIX wieku za udział w organizacjach socjalistycznych. Zdaniem S. Leończyka, najwięcej powstańców styczniowych znalazło się w guberni jeniejskiej. Ich ilość określa się na 33.719 osób. Większość z nich trafiła do okręgu minusińskiego. Osiedlali się w nim też późniejsi zesłańcy, skazani za przynależność i działalność w stowarzyszeniach socjalistycznych, których biografie są częściowo znane. Obecnie eksponatów pochodzących od Polaków i ich rodzin jest w muzeum ponad 150, ale gromadzenie tych obiektów miało miejsce już od początku istnienia placówki. Są one zdokumentowane i opisane w omawianym tu katalogu, który stanowi „próbę włączenia do naukowego obiegu kompleksu rękopisów, przedmiotów materialnych i ikonograficznych ze zbiorów muzeum w Suszenskoje”, w celu upowszechnienia wiadomości o personaliach, faktach, przejawach materialnej i duchowej kultury Polaków i ich zrusyfikowanych potomków. Bogaty materiał statystyczny, archiwalny, dotyczący kwestii prawnych, ekonomicznych i religijnych, ukazuje różne aspekty życia zesłańców i ich potomków, zwraca uwagę na charakterystyczne cechy tych ludzi i stopniową integrację z miejscowym otoczeniem. Teraz zasymilowani Polacy stanowią wraz z innymi mieszkańcami część lokalnej społeczności w zachodniej Syberii.

Zasygnalizowane problemy stanowią ważną część katalogu, który został wydany w Suszenskoje w 2013 roku. Nosi on tytuł *Podsumowujący naukowy*

katalog przedmiotów materialnej i duchowej kultury narodu polskiego ze zbiorów historyczno-etnograficznego muzeum „Suszenskoje”. W podtytule zawarto informację, że jest to wydanie, poświęcone 150-leciu Postania Styczniowego w Polsce 1863-1864. Publikację współfinansowało Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej. Naukową redakcją zajęli się Natalia Skorobogatowa i Sergiusz Leończyk.

Przeglądając to wydawnictwo nasuwa się wniosek, że podobnych prac jest w ogóle niewiele. Wymyka się on z przyjętej konwencji muzealnego katalogu, gdyż opis eksponatów zamieszczony został w szerokim kontekście dziejów Polaków na Syberii. Książka napisana jest rzeczowo i ze znanstwem, nie tylko dlatego, że jej autorzy posiadają szeroką, wyuczoną wiedzę w tej dziedzinie. Przyczyna jest też pewnie taka, iż wszyscy, zarówno Natalia N. Skorobogatowa, Tatiana Kikiłowa (współautorka), jak i Sergiusz Leończyk mają wśród swoich przodków Polaków, więc ich dzieje znają nie tylko z publikacji i archiwaliów. Jest przy tym bardzo cenne, że nie zapomnieli swoich korzeni i rozwijają w podejmowanych pracach polski wątek.

We wstępie N. Skorobogatowa określiła katalog jako unikalną publikację w historii Syberii, z czym wypada się zgodzić. Jej pierwszą część napisały pracownice muzeum, które dzięki kwerendom i wywiadom z właścicielami, doskonale znają obiekty i ich historię. Znalazły się tu rozdziały: Wstęp oraz opisy katalogowe, w których autorki wydzieliły przedmioty związane z życiem codziennym - wykonane w polskich fabrykach, wyroby zrobione w domu i chałupnicze. Oddzielnie potraktowały obiekty kultu, pocztówki, reprodukcje i książki polskich autorów. Są wśród nich eksponaty znaczące. Oczywiście, niewiele da się powiedzieć o sztucach czy naczyniach stołowych, poza ewentualną oceną zamożności czy gustu ich właścicieli. Wszystkie one jednak są świadectwem bytu i kultury przybyłych tu Polaków. Z kolei fotografie czynią te przedmioty mniej anonimowymi, pozwalają poznać samych zesłańców, jak i ich rodziny. N. Skorobogatowa pisze w katalogu, że najcenniejszymi eksponatami są modlitewniki w języku polskim i święte obrazy. Są też obiekty w zasadzie obce w kulturze polskiej, świadczące, że zesłani Polacy mieli także przedmioty miejscowego pochodzenia. Jako przykład podam chyba nieznaną na naszych ziemiach wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, o pełnej twarzy, bez dwóch blizn na policzku, podpisany Чистоввекка. W katalogu zawarta jest informacja, że jest to ikona wykonana w zachodniorosyjskiej pracowni, działającej w drugiej połowie XIX wieku, której mistrzowie nawiązywali do ludowej tradycji. Jej właściciel nie jest znany.

Inny przykład to drewniany kuferek, wykonany zapewne w Rosji, który służył Polakowi Jakubowi L. Kajrewiczowi. W podobnych, tyle że większych kufrach przewozili swój skromny dobytek polscy zesłańcy, wracający do kraju z ZSRR w latach 40. i 50. XX wieku. Skoro już jesteśmy przy Kajrewiczu warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden obiekt. Gdy skazano go „na zawsze” na pobyt na Syberii, kupił drewniany dom, znajdujący się obecnie na obszarze skansenu. Jego chata, teraz eksponat muzealny, ukazujący typowe budownictwo XIX-wiecznej wsi Suszenskoje, jest jednocześnie świadectwem, które dowodzi, jak ludność polska wrastała w lokalną społeczność i hołdowała miejscowym gustom.

Druga część katalogu zawiera spisy zesłanych Polaków oraz różne informacje, które udało się o nich zgromadzić. Dane te opracował Sergiusz Leoń-

czyk, część biogramów sporządziła także Natalia Skorobogatowa. Wśród podanych informacji, szczególnie cenny dla naukowców jest spis polskich powstańców 1883-1864 roku zesłanych do powiatu Szuszenskoje minusińskiego okręgu, jeniejskiej guberni, zestawiony według dokumentów GAIO. Sprostowania wymaga tu błąd drukarski podanej w tytule spisu daty 1883, gdyż zapewne chodzi o rok rozpoczęcia powstania styczniowego, czyli 1863. Dla porządku podaję też pełną nazwę archiwum: Gosudarstwiennyj archiw irkutojskoj obłasti. W katalogu jest ponadto szereg biogramów osób związanych z miejscowością Szuszenskoje oraz treść dotyczących ich dokumentów, uzyskanych podczas kwerend przeprowadzonych w różnych archiwach.

Informacje te znajdują się w rozdziale „Polityczne i administracyjne dokumenty o przebywaniu zesłanych Polaków w Szuszenskim powiecie”. W kolejnych zawarte są noty informacyjne o muzealiach, ofiarowanych przez zesłanych za udział w powstaniu styczniowym lub przekazanych przez uczestników kół socjalistycznych i partii „Proletariat” oraz biograficzne wiadomości o tamtejszych Polakach. Badaczy, zajmujących się historią Rosji, a także ludzi interesujących się naszym wkładem w zagospodarowanie Syberii, pewnie zaciekawili biogram Iwana Krafca, rzeczywistego radcy stanu, jakuckiego i jeniejskiego gubernatora, którego polskie pochodzenie budzi jak dotąd wątpliwości. Obszerna część katalogu poświęcona jest właśnie jego rodzinie. Nosi ona tytuł „Materiały o potomkach polskiego zesłańca I. I. Krafca” i zaczyna się od biogramu Iwana (1827-1895), pisarza witebskiego gubernialnego batalionu dynaburskiej komendy straży wewnętrznej. Za urzędowe przestępstwo został on zesłany na Sybir do krasnojarskiego okręgu na 25 lat. Później żył w Szuszenskoje, zmarł i został pochowany w Abakanie. Jego synem był Iwan Iwanowicz Krafca, który dosłużył się stanowiska gubernatora.

Warto jeszcze dodać, że większość eksponatów zgromadzonych w muzeum „Szuszenskoje” i opisanych w katalogu była eksponowana na wystawie, towarzyszącej sesji międzynarodowej „Problemy syberyjsko-polskiej historii i dialog kultur”. Wzięło w niej udział 25 naukowców, w tym również reprezentanci Polski. Zorganizowano ją w ramach obchodów 150-lecia powstania styczniowego w Polsce i dwudziestolecia założenia towarzystwa „Polonia” w Chakasji. Nie zbrakło też potomków powstańców, którzy, choć już nieliczni, stawili się na to spotkanie. Należy dodać, że podobne inicjatywy podejmowane są prawie corocznie. Sergiusz Leończyk w posłowie do „Katalogu” podkreślił rolę naukowych sympozjów, które upowszechniają wiadomości o stosunkach polsko-rosyjskich, obalają mity, zastępujące nieraz solidną wiedzę. Pisał tam, że w Minusińsku i Abakanie odbywają się konferencje, których uczestnikami są muzealni pracownicy i archiwiści. Sympozja organizowane w latach 2002-2005 dotyczyły „Polskiego tematu w pracy muzeów i archiwów Chakasji i Krasnojarskiego Kraju”.

W 2007 r. w Krasnojarsku odbyła się konferencja „Polska inteligencja na Syberii XIX i XX w.”, a w 2009 r. miało miejsce sympozjum w Omsku zatytułowane „Polska wieś na Syberii XIX-XX w.” Podobny cel mają wystawy poloników, których zorganizowano dotąd kilka. Prezentowana w muzeum „Szuszenskoje” ekspozycja będzie popularyzować rolę zesłanych Polaków i ich potomków w różnych placówkach na obszarze Rosji. A katalog stanowi istotne

uzupełnienie losów powstańców 1863 roku i ludzi represjonowanych w latach późniejszych, którzy przyczynili się do uformowania nowej syberyjskiej rzeczywistości.

Anna Milewska-Młynik

- ***Wspomnienia Sybiraków. Zbiór tekstów źródłowych. Część trzecia, pod red. Jerzego Kobrynia i Janusza Kobrynia, Bystrzyca Kłodzka 2013, ss. 589)***

Bystrzyckie Koło Związku Sybiraków (woj. dolnośląskie), na czele którego stoi nieprzerwanie od 1989 r. Jerzy Kobryń, od wielu już lat systematycznie pracuje nad utrwalaniem świadectw losu obywateli polskich w ZSRR w latach wojny i zesłania. To inicjatywa godna pochwały i poparcia. Członkowie Koła zdecydowali bowiem, iż swych działań na rzecz wpisania w pamięć zbiorową Polaków doświadczeń zesłańców-sybiraków nie ograniczą tylko do ufundowania tablicy czy pomnika, oraz rocznicowej akademii, ale podejmą także trud zbierania i popularyzowania materiałów autobiograficznych na ten temat. W warunkach nieubłaganego odchodzenia kolejnych świadków i uczestników tamtych wydarzeń jest to niezwykle ważne i nieodzowne. Pozwala bowiem zachować świadectwo ich przeżyć i doświadczeń w formie bardzo bezpośredniej i osobistej, umożliwia przemawianie własnym głosem na przekór niejako upływowi czasu. A taka forma przekazu najlepiej trafia do odbiorców, którzy śledząc losy zwykłych ludzi w niezwykłych czasach, poznają równocześnie historię narodową, przyczyny i przebieg przełomowych wydarzeń z przeszłości. Kierownictwo Koła zawsze wspierało różne projekty uczniowskie i studenckie dotyczące problematyki deportacji (doświadczyła tego m. in. autorka tego omówienia już w latach 1992-1993). Dbało także o przekazywanie relacji do Archiwum Wschodniego warszawskiego Ośrodka Karta czy Biblioteki Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu. Wreszcie samo podjęło się zbierania i wydawania drukiem świadectw trudnych losów sybiraków, spełniając tym samym gorące pragnienie swych członków, by ich życie nie zostało zapomniane, by miało szansę na utrwalenie i popularyzację. W poprzednich latach: 2008 i 2010 r., do rąk czytelników trafiły dwa obszerne tomy wspomnień i relacji, które zebrano przede wszystkim na terenie działania Koła. Te starannie wydane publikacje, z licznymi zdjęciami, spotkały się z uznaniem czytelników i recenzentów (pozytywnie oceniło je m. in. jury konkursu tygodnika „Polityka” na książkę historyczną).

W publikacjach tych zamieszczono także relacje sybiraków spoza bystrzyckiego Koła, jak i artykuły specjalistów dotyczące różnych zagadnień związanych z tematem. Podobny kształt i zawartość ma tom trzeci, liczący sobie tym razem prawie 600 stron. Umieszczono w nim ponad 50 relacji i kilka artykułów specjalistycznych. Wiele z nich opatrzone reprodukcjami zdjęć i dokumentów. Obok samodzielnie spisanych świadectw, znalazły się tu również relacje przeniesione z nagrań, spisane podczas wywiadów, jak i pozyskane w drodze konkursu dla szkół. Podobnie jak to już było poprzednio, wydawca udostępnił łamy publikacji także dla sybiraków z innych części Polski.

Wspomnienia dotyczą na ogół lat 40. XX w. Ich autorzy wraz z rodzinami byli bowiem ofiarami wielkich deportacji z Kresów Wschodnich, które władze radzieckie przeprowadziły w latach 1940-1941. W tomie znalazły się także wspomnienia polskich więźniów łagrów, którzy do ojczyzny powrócili dopiero w 1955 r. Okres uwięzienia i zesłania spędzili oni m. in. na osławionej Kołymie. Spójny zespół tematyczny tworzy 12 relacji wychowanków polskich i radzieckich domów dziecka. Są to dramatyczne świadectwa, doskonale charakteryzujące los osieroconych dzieci, próbujących przeżyć w ekstremalnych warunkach. Są to również świadectwa miłości do rodziców i tęsknoty za nimi, która teraz – po wielu dekadach – przybiera postać nieziszczalnego zwykle marzenia o zapaleniu znicza na grobie matki czy ojca. Ich autorzy przebywali w sierocińcach w ZSRR i po wojnie w Polsce. Tylko jedna osoba została ewakuowana wraz z armią gen. Andersa i znalazła się w polskim domu dziecka w Afryce.

Końcowa partia książki składa się z prac uczniowskich, które nagrodzono w konkursie dla szkół. Zorganizowano go pod auspicjami instytucji oświatowych i Związku Sybiraków w roku szkolnym 1997/1998. Konkurs miał na celu upowszechnienie wiedzy o zesłaniach wśród najmłodszych pokoleń. W tomie opublikowano wyróżnione prace, powstałe w szkołach dawnego województwa wałbrzyskiego. Są to spisane przez uczniów relacje sybiraków, zamieszkujących w ich otoczeniu, nierzadko dziadków młodych autorów. Z pewnością ich publikacja, choć tak późna, będzie dla nich niemałym źródłem satysfakcji.

Każda z tych opowieści, wykazując cechy charakterystyczne dla tego typu materiałów autobiograficznych, zachowuje bardzo osobisty styl i rytm narracji. Odzwierciedlają one temperament i postrzeganie świata osób wspominających. Trzeba przyznać, że choć coraz dłuższy okres dzieli nas od opisywanych wydarzeń, zachowały się one w pamięci wspominających w sposób bardzo plastyczny. W relacjach nie brak też wierszy, tych tak bardzo osobistych wypowiedzi, w których z pomocą poetyckiej frazy oddano niedole zesłania i codzienne bytowanie tysiące kilometrów od ojczystych stron. Są tu także obecne słowa wdzięczności za pomoc, jakiej doświadczano od miejscowej ludności, która sama żyła przecież w trudnych warunkach.

Uważnej lektury godne są również teksty specjalistów zajmujących się dwudziestowieczną historią ZSRR i formami jej upamiętniania. Irena Flige z petersburskiego „Memoriału” jest autorką dwóch ciekawych opracowań. W pierwszym zajęła się materialnymi formami upamiętniania na terenie Rosji polskich ofiar stalinowskiego terroru. W drugim przedstawiła analizę pomników i miejsc pamięci poświęconych generalnie ofiarom komunistycznej polityki represji. Natalia Kruk natomiast, w oparciu o materiały ze śledztwa przeciwko jej ojcu, pokazuje czytelnikowi metody pracy z takim źródłem i jego specyfikę.

Książka, podobnie jak jej poprzedniczki, poświęcona została pamięci rodziców autorów, bez których oni sami, wtedy dzieci, nie przeżyłyby zesłania i nie powróciły do Polski. Trudno o piękniejszy wyraz pamięci i hołdu, który równocześnie jest cennym i przydatnym materiałem historycznym.

Małgorzata Ruchniewicz

**„Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przede wszystkim radosna.”**

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarcza. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (± 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberią, gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

Wiesław K r a w c z y ń s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków